



CARRIE FISHER

PODDAJE SIĘ

scandalplus

*Moim dziadkom,
Rajowi i Maxene Reynolds
i moim rodzicom.*

scandal.org

„Łączenie się w pary to bardziej gorzki rozejm
niż umyślny uścisk”

CHARLES DARWIN

„Męczyzna oddziela miłość od życia,
a dla kobiety życie to miłość”

BYRON

„Miłość na jawie jest gorzka i straszna
w porównaniu z miłością we śnie”

FIODOR DOSTOJEWSKI

„*Bracia Karamazow*”

„Miłość jest długa, długą drogą”

TOM PETTY

1

Dinah Kaufman trzy razy traciła dziewictwo. Działo się tak nie dlatego, że było ono tak bardzo solidne i trudne do pokonania, ale ponieważ według niej utrata dziewictwa miała mieć wyjątkowe znaczenie. Potrzebowała aż trzech nieudanych podejść, by poczuć, że wciąż nie jest w stanie do końca zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi w tej grze. Wydawało się, że wszystkie jej problemy ujawniają się w seksie, na owej rzekomej drodze do miłości. W każdej innej sytuacji trudno było przypuszczać, że działo się z nią coś złego. Sprawiała wrażenie, jakby jej osobowość przerastała jedną osobę, a nie starczała dla dwóch. A przecież w miłości wszystko musi być jasne.

Dinah nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób dowiedziała się, co to jest seks. Pamiętała tylko, że któregoś dnia -musiała mieć wtedy jakieś siedem lat - wracając ze szkoły powiedziała mamie, że widziała, napisany na boisku do piłki ręcznej, wyraz „rznąć”.

- Co to znaczy? - zapytała, kiedy wracały do domu ich białym samochodem kombi. Matka zawahała się, po czym odparła:

- Wytłumaczę ci później, kiedy będę mogła narysować wykres.

Dinah nigdy nie doczekała się wyjaśnień. Jednak nie miała żalu do matki, szkoda jej było tylko tego, że nie zobaczyła tych wykresów.

Kiedy miała dziesięć lat, wpadła jej w ręce książeczka pod tytułem „Tylko dla dziewcząt”, w której, oprócz takich rzeczy jak opis cyklu miesięczkowego, było również wytłumaczone, jak ko-

bieta i męczyzna płodzą dziecko. Otóż męczyzna wkłada penis do pochwy kobiety i porusza nim w tę i z powrotem tak długo, aż wyrzuci z siebie całe miliardy plemników. Dinah wynioskowała, że kiedy dolna część ciała pochłonięta jest tym magicznym zajęciem, to górna zastanawia się nad imieniem dla dziecka.

- Może nazwiemy go Robert? - mówi on i po raz kolejny delikatnie się w nią zagłębia.

- A może Helena? - zastanawia się ona, lekko wykrzywając twarz.

Dinah miała w szkole koleżankę, Laurę Avchen. Gdy Laura dowiedziała się, na czym polega cała ta sprawa z wkładaniem penisa do pochwy, spytała:

- Czy jaja też wchodzą do środka, czy zostają na zewnątrz?

Jedyną rzeczą, jaką Dinah wyniosła z dzieciństwa, było przekonanie, że kiedyś na pewno stanie się dorosła i będzie wiedziała, jak ma postępować; że zdarzenia będą toczyć się same, kierowane jakimś wewnętrznym kodem, który strzeże rytmu ludzkich zachowań. Obserwowała dorosłych na przyjęciach u matki, kiedy stali z drinkami w dłoniach, rozmawiali i śmiali się pewni siebie. Wyglądali tak, jakby dokładnie wiedzieli, co robią i dlaczego. Jako dziecko, a potem jako podłotek, Dinah dzielnie i cierpliwie stawiała czoło wydarzeniom, trwając w przekonaniu, że dorosłość przyniesie jej w nagrodę pewność siebie i nieziemski spokój. Skończy szkołę, znajdzie pracę, pozna kogoś, wyjdzie za mąż, urodzi dzieci i zestarzeje się. Spokojnie, bez pośpiechu, wszystko w swoim czasie. Miała rację tylko co do jednego - udało jej się rzeczywiście skończyć szkołę.

Matka wychowywała ją na dziewicę, jakby dziewictwo było dobrze płatną pracą.

- Mężczyźni chcą tylko jednego. Kiedy im to dasz, natychmiast znikają z twego życia razem z szacunkiem, jaki miałaś dla siebie samej - mówiła.

Dinah wyobrażała sobie jak odchodzą od niej, zabierając jej godność, schowaną w niewielkiej torbie z jedzeniem na wynos; jak trzymają ją z dala od siebie, jakby trochę śmierdziała. Albo się roztopiła i zaczęła przeciekać.

Kiedy miała szesnaście lat, jako prezent pod choinkę dostała od matki wibrator.

- Idealny, żeby wypchać nim pończochę - powiedziała **Dinah**, kiedy razem z matką rozpakowywały prezent.

- Dla babci też kupiłam jeden - zauważyła pani Kaufman - ale babcia nie będzie go używać. Mówi, że skoro tak długo obyla się bez orgazmu, to może równie dobrze nie mieć go wcale. Poza tym obawia się, że mógłby spowodować zwarcie w jej rozruszniku.

Dinah wypróbowała wibrator. Położyła się na zimnej podłodze w wyłożonej kafelkami łazience. Drzwi zamknęła na zamek, zgasiła światło i odkręciła wodę, aby nikt nie mógł usłyszeć zdradzieckiego szmeru. Podobało jej się, bez wątpienia. Problem tkwił w tym, że to co robiła przypominało jej matkę, która penisa nazywała pałką życia, a jądra winogronami.

Dinah próbowała przetrwać informacje o seksie i związkach między kobietą a mężczyzną, które otrzymała jako dziecko, a także ich poprawioną i unowocześnioną wersję, którą poznała jako nastolatka. Zdała sobie sprawę, że w najlepszym przypadku były one pogmatwane i sprzeczne. Seks był dla mężczyzn, a małżeństwo, niczym szalupa ratunkowa, było przeznaczone dla kobiet i dzieci. Wyglądało na to, że mężczyźni i kobiety mówiąc o tym samym mają zupełnie co innego na myśli.

Niedługo po epizodzie z wibratorem, matka Dinah miała lekki zawal i nagle panicznie zaczęła bać się śmierci. Być może ta banalna prawda, że kiedyś umrze, nigdy wcześniej do niej nie dotarła. Teraz zaczęła ją prześladować. Popadła w głęboką depresję.

- Nie słuchaj starej matki - lamentowała. - Życie jest takie krótkie, a czas leci tak szybko. Nie pozwól, aby przeszło ci koło nosa. Spójrz na mnie - nic tak naprawdę nie osiągnęłam i nigdy nie umiałam żyć tak naprawdę. Miałam tylko dwóch mężczyzn i wszystkie moje lata życia spędziłam w tej dolinie. Dlatego ty musisz z życia wyciągnąć więcej niż ja. Dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że wychodząc za męża nie musisz być dziewicą. Jaki to ma sens? Twój ojciec i tak mnie zostawił. Jeśli jest więc chłopak, z którym masz ochotę się przespać, powinnaś to zrobić. Załatwię ci wizytę u doktora Semela. Założy ci spiralę albo da jakieś pigułki antykoncepcyjne.

A potem, pogrążona w rozpacz, napiła się piwa. Dinah zaniepokoiła się. Próbowała nawiązać do wcześniejszych nauk matki.

- Chwileczkę, mamó. Ja nigdy nie mówiłam, że chcę iść z kimś do łóżka. Jestem, jaka jestem i dobrze mi z tym.

- Nie pozwolę, żeby twoje życie wyglądało tak jak moje. To nie ma żadnego sensu. Przeżyłam je i zobacz, co ze mnie zostało. Widziałam, jak patrzyłaś na tego chłopca, na tego Mickeya, z którym chodzisz na lekcje jazzu. Mogłabym tak wszystko zorganizować, żebyście mogli pójść do łóżka; a jednocześnie byłabym blisko, żeby w razie czego mieć nad wami pieczę.

Dinah pobiegła na górę do swojego pokoju. Miała nadzieję, że jeśli będzie biegła wystarczająco szybko, to nikt ani nic nie zdoła jej dogonić. Zamykając za sobą drzwi, czuła się jakby płynęła po morzu strachu - daleko od lądu, kurczowo uczepona deski, na fali, która nie chce dobić do brzegu. W takich chwilach zwykle starała się przypomnieć sobie sytuacje, gdy była szczęśliwa i pewna siebie, jak na przykład w ubiegłym tygodniu, kiedy wracała samochodem ze szkoły. Dostała wtedy najwyższą ocenę ze sprawdzianu. Tego uczucia nie dało się z niczym porównać. Teraz jednak cały wysiłek, by je przywołać poszedł na marne - przekroczyła już granicę depresji i strachu. Bycie szczęśliwą na nic by się nie zdało. W tym przypadku chodziło o coś zupełnie innego.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowa, kochanie - powtarzała matka.

- No dobrze. Teraz to mówisz? Myślałam, że powinno się od siebie dużo wymagać, ale ty jesteś już innego zdania. I bądź tu człowieku mądry! Każdego dnia uczysz się czegoś nowego, co w sumie daje trzysta sześćdziesiąt pięć nowych informacji w roku i w dodatku to jeszcze za mało. W wolnych od uczenia chwilach, w ramach relaksu, starałam się dużo od siebie wymagać, ale ty twierdzisz, że bym tego nie robiła. Dobrze więc, nie ma sprawy, nie będę.

Zwykle matka w takich chwilach rzucała jej jedno ze swoich spojrzeń. Miała ich cały repertuar i mogła wybierać do woli przy każdej nadarzającej się okazji. Zawsze, gdy nie rozumiała zachowania córki, czy też jej emocji, winę za wszystko zwałała na jej nieobecnego ojca.

- Tacy są Żydzi - mawiała.

To wszystko powodowało, że dziewczynie nie układało się z mężczyznami. Jej ojciec odszedł, kiedy była bardzo mała - miała

zaledwie około dwóch lat. Później widywała go rzadko - nie częściej niż raz w roku. Rodzice nigdy nie mogli się dogadać, a poza tym ojciec wyprowadził się bardzo daleko. Mimo to, wciąż miała nadzieję, że wróci. Przed każdym jego przyjazdem robiła wszystko, by wypaść jak najlepiej. I zawsze, kiedy przyjeżdżał ten jeden raz w roku, zachowywała się nienagannie. Wierzyła, że w ten sposób zasłuży na jego miłość.

Ojciec stał się jej obsesją. Jej bujna fantazja stworzyła w niczym nie przystające do rzeczywistości wyobrażenie jego osoby, które jak pasożyt trawiło jej umysł. Kochała, ba, czciła tego wymagowanego ojca. Wymyślona postać z każdym dniem stawała się coraz bardziej pogmatwana i nienaturalna. W końcu doszło do tego, że Dinah stworzyła dwie bajkowe postacie - ojca, którego nigdy tak naprawdę nie miała i córkę, której on nigdy nie powinien zostawić.

To stąd biorą się jej wszystkie problemy z mężczyznami. Przy każdym spotkaniu zachowuje się bez zarzutu, licząc tym samym na ich miłość. W żaden jednak sposób nie jest w stanie poznać ich naprawdę. Tacy, jakimi ich sobie wyobraża i jakich potrzebuje, są tylko wtedy, gdy ich nie ma. Krótko mówiąc - mężczyźni to bardziej fantastyczne stwory niż ludzie. I do złudzenia przypominają ojca. A jeśli nie chcą od niej odejść - zmusza ich do tego tylko po to, by spróbować ich potem odzyskać. Jeśli mimo to nie odchodzą - to robi to ona, bo nie wie, co to znaczy być z kimś na dłużej. Wie tylko, jak o nich walczyć. Kocha ich, dopóki oni ją kochają. Tęskni za nimi aż do bólu. Stąd te problemy.

Po raz pierwszy Dinah spotkała Rudy'ego na przyjęciu z okazji pięćdziesiątych piątych urodzin swojej szefowej Charlotte. Było to mniej więcej miesiąc po tym, jak zaczęła pracować nad „Pragnieniem serca” - nowym serialem telewizyjnym, który rozpoczął się dokładnie przed rokiem w Nowym Jorku. Charlotte zajmowała olbrzymie poddasze na jednej z uliczek odchodzących od Hudson Street.

- Nie zostawiaj mnie samej - powiedziała Dinah, kurczowo ściskając ramię Connie, kiedy wychodziły z windy prosto do jasno oświetlonego holu. Connie Sorkin miała trzydzieści siedem lat, drugiego męża i dorosłego syna. Miała ciemnoniebieskie oczy i włosy

do ramion, w których połyskiwały jasne refleksy. Była lojalna i obcesowa. Znała się dobrze na swojej pracy i ciągle mówiła o problemach z menstruacją.

Zza drzwi dochodziły odgłosy przyjęcia. Connie z rozbawieniem spojrzała na Dinah:

- To wszystko dzieje się tak nieoczekiwanie - powiedziała, wciskając dzwonek. - Przecież my się prawie nie znamy.

- W odróżnieniu od wszystkich gości - z których nie znam nikogo - jesteś moją najlepszą przyjaciółką - odparła Dinah.

- Znasz Charlotte - przypomniała jej Connie. - Poza tym jeszcze Nicka, Ogdena i Boba.

- Pracuję z nimi dopiero miesiąc - Dinah starała się nie narzekać. - Trudno to nazwać znajomością.

- Ze mną też pracujesz dopiero miesiąc. Poza tym, możesz mi wierzyć, to nie jest jakiś szczególny typ facetów - mówiła Connie w chwili, gdy drzwi otwierał im szczupły, jasnowłosa mężczyzna w okularach. - Miesiąc to wystarczająco długo, aby całkowicie zgłębić ich wnętrza.

- Zmierzcie się ze smokiem! - zaprosił je do środka wymachując szklanceczką.

- Witaj, Mel - powiedziała Connie i lekko pocałowała go w policzek. - To nasza kolejna rozbita pisarka, Dinah Kaufinan. Dinah, przedstawiam ci Mela Metcalfa, szefa do spraw handlowych. To jedyne, czym może się zajmować z taką twarzą.

- Cieszę się, że znów cię widzę, Connie - odparł Mel uprzejmie. Miał długi, sterczący nos, który sprawiał wrażenie, jakby chronił resztę twarzy przed niespodziewanym atakiem. - Witaj, Dinah. Ależ ty jesteś ładna! Myślałem, że wszyscy pisarze muszą wyglądać tak nieszczęśnie, jak nasza Connie, albo przypominać małą górę, jak nasza dzisiejsza solenizantka - kiedy to mówił, jego nos zwrócił się w kierunku miejsca w drugim końcu pokoju, gdzie stała najliczniejsza gromadka gości.

Poddasze Charlotty składało się z dużego, pustego pokoju ozdobionego dziwnymi, egzotycznymi roślinami i rozjaśnionego delikatnym, dyskretnym światłem. Nad głowami stłoczonych gości wisiał naturalnej wielkości ceramiczny akrobata, a z ustawionych w centralnych miejscach kolumn wydobywał się głośny śpiew Rolling Stonesów : „... spaceruję po Central Parku, śpiewam, choć zapadła już noc. Ludzie myślą, że jestem szalooony...”

Connie i Dinah powoli przedzierały się przez rozbawiony tłumek w kierunku Charlotty i barku. Dinah w połowie drogi pomyślała, że tego wieczoru będzie piła. A mówiąc dokładniej - podjęła ostateczną decyzję. Nigdy nie miała mocnej głowy - często zdarzało jej się upić zbyt szybko, a kilka razy całkiem urywał jej się film, co miało fatalne następstwa, biorąc pod uwagę jej zamiłowanie do mówienia po alkoholu bez ogródek i zaburzoną percepcję. Zwykle piła tylko w sytuacjach kryzysowych, mając złudną nadzieję, że alkohol poprawi jej nastrój i doda pewności siebie. To przyjęcie, na którym czuła się tak bardzo obco, było taką właśnie sytuacją. Charlotte rozmawiała z niezwykle poważnie wyglądającym facetem w dżinsach i ciemnoniebieskim swetrze. Tym, co przykuło uwagę Dinah były jego oczy - bladoniebieskie i jakby nieobecne. Z jakiegoś powodu przypominały jej oczy orła - czujne i zimne, prawie wymarły gatunek. Jasna, pastelowa obwódka otaczała sam środek źrenicy. Takie oczy potrafią nie tylko rozebrać w ułamku sekundy, ale sprawiają wrażenie, jakby ich spojrzenie mogło zgolić głowę, podać imiona rodziców, i jeszcze odmówić zwrócenia pieniędzy za dom. Poza tym Dinah dostrzegała w nich jakieś podobieństwo do siebie. Był niczym daleki krewny o zamyślonym, umykającym spojrzeniu. Przystojny, bardzo chudy, jedyny w swoim rodzaju.

Charlotte była postawną kobietą. Wyglądała tak, że gdyby nie praca w telewizyjnych tasiemcach, mogłaby zatrudnić się jako zawodowy obrońca w lidze futbolu amerykańskiego. Kiedy Nick, ich reżyser, chciał jej dokuczyć, nazywał ją szyją tuńczyka, i już w pierwszym tygodniu pracy zrobił to dwukrotnie. Jednak mężczyzna, z którym rozmawiała, zdawał się znacznie górować nad nią wzrostem.

Charlotte dużo mówiła, machając rękami. A on przyglądał jej się stojąc pewnie, z rękoma skrzyżowanymi jakby w obronnym geście i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Connie! Dinah! Więc to tu jesteście! Connie, zdażyłaś już poznać Rudy'ego Gendlera?

- Nie sądzę - powiedziała Connie, podając mu rękę. - Bardzo mi miło, panie Gendler. Jestem pana gorącą wielbicielką.

Rudy grzecznie odwrócił się w jej kierunku.

- Pewnie tylko pani tak mówi - odparł i prawie się uśmiechnął. Charlotte roześmiała się.

- To raczej ja jestem tą gorącą wielbicielką- powiedziała Charlotte, poklepując się po brzuchu. - Connie to tylko zwykła miłośniczka.

Rudy skinął głową.

- Connie - powtórzył. Wymówił jej imię prawie jak pytanie, mrużąc swoje niebieskie oczy.

- A to jest Dinah Kaufman, najnowsza zdobycz naszej podupa-
dłej pisarskiej trupy. Dinah nerwowo przeczesła ręką rude, krótko
obcięte włosy i dotknęła językiem wyschniętych warg. Czuła na
sobie siłę jego wzroku. Pomyślała, że patrzy na nią znad niewidzial-
nej szachownicy i mówi: - Teraz twój ruch. Wpatrywał się w nią,
jakby złożył zamówienie na coś innego i w zamian dostał ją. A może
tak tylko jej się zdawało. Pośpiesznie pochyliła głowę.

- Miło mi, panie Gendler - odpowiedziała jak przykładowa
uczennica.

Rudy lekko unióśł brwi.

- Panie! Dlaczego dzisiaj wszyscy mówią do mnie pan? - zwrócił
się swobodnie do Dinah. A ona miała wrażenie, że w pokoju nagle
zrobiło się gorąco i że jej włosy zaczynają dziwnie szumieć.

- By wyrazić swój szacunek dla pana jako oklaskiwanego
i poważanego dramaturga - odparła Charlotte i objęła Dinah
ramieniem. - Mam rację, Dinah?

- Ależ oczywiście. Pan Gendler prezentuje najwyższą jakość -
odparła, nie zwracając się wprost do żadnego z rozmówców.
W popłochu przelatywała kolejne pokłady swojej świadomości
w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby jeszcze dodać, lub kogoś, kim
mogłaby się stać. „Gdzie się to wszystko podziało? - myślała bliska
obłądu. - Gdzie te wszystkie wiadomości o przyjęciach, o moich
nowych znajomych? Coś powinnam wiedzieć na temat mężczyzn, na
litość boską!"

Wokół przepływał roześmiany tłum gości. Rudy przyglądał jej
się z uwagą.

- Dziękuję - powiedział. - Tak mi się wydaje.

Zamyślony popijał drinka, przypatrując się jej znad plastikowe-
go kubeczka.

- Powinniście wreszcie czegoś się napić - powiedziała Charlotte,
kierując Dinah i Connie w stronę barku.

- Miło mi było poznać == rzuciła Dinah do Rudy'ego, kończąc to niezbyt udane pierwsze spotkanie.

- Rzeczywiście - chyba powiedział coś takiego.

Kiedy dotarły do barku, zamówiła coś, co było odpowiednikiem małej szafy panczernej nagle spadającej na głowę.

Leżała na zawalonym ubraniami łóżku Charlotty, czekając na chwilę, aż znowu poczuje ochotę, by wrócić na przyjęcie. Było jej tu naprawdę dobrze- wygodnie wyciągnięta, słuchała muzyki i głosów dochodzących przez cienką ścianę. Zupełnie, jak wtedy, gdy wracali późną nocą do domu, a ona zasypiając na tylnym siedzeniu, słuchała, jak matka i ojczym o czymś rozmawiają. Wyobrażała sobie, że wszyscy ludzie z sąsiedniego pokoju prowadzą ciekawe życie. Ta myśl ją jednocześnie uspokajała i drażniła. Uśmiechnęła się i zmieniła pozycję. Znad ubrań unosił się ciepły, przyjemny zapach perfum i kurzu. Nagle ktoś usiadł obok niej. Niechętnie otworzyła oczy.

- Pan Gendler-szepnęła.

- Nie wstawaj - powiedział Rudy.

- Nie, nie wstaję - uśmiechnęła się.

- Czy już rozbili pinatę?

- Nie sądzę - odparł, zakładając nogę na nogę. - A cóż to takiego?

- To takie meksykańskie urządzenie, w które uderza się kijem i wylatują z niego zabawki i słodycze- wyjaśniła.- Kiedyś myślałam o swojej głowie jako o czymś takim... rozbija się ją

- I spią się z niej zabawki i słodycze -dokończył, lekko kiwając głową. - Nie jesteś z Nowego Jorku. Więc skąd?

- Nie, wcale nie zabawki i słodycze - powiedziała jakby na swoją obronę - ale mniejsza o to. Z Los Angeles.

- Ach tak. To tłumaczy tę meksykańską przenośnię. „Meksykańska przenośnia” - powtórzył zamyślony. - To mógłby być niezły tytuł.

Dobiegał ich hałas, w którym można było rozróżnić piosenkę zespołu Bee Gees.

-A z twojej głowy co mogłoby się wysypać?- zapytała. Leżała podparta na ramieniu, z głową przechyloną na bok i patrzyła na niego myśląc o tym, co powiedziała chwilę wcześniej.

- Kiedy?

- Jeślibym ją rozbiła? - wyjaśniła.

- To doprawdy urocza rozmowa - powiedział wpatrując się w ścianę. - Zależy, z której strony byś uderzyła. Jeśli z lewej - matematyka, a jeśli z prawej - duży, biały królik. Ile ty musiałoś wypić? - dokończył.

- Odpowiem ci, jeśli ty mi odpowiesz.

Rudy spojrzął się na nią.

- Przecież właśnie odpowiedziałem.

Dinah westchnęła.

- Dla mnie prawie każda ilość alkoholu to za dużo - przyznała w końcu.

- W takim razie po co pijesz?

- W takiej chwili jak ta wydaje się, że to całkiem niezły pomysł.

- Chodź, zabiorę cię do domu - powiedział i pomógł jej wstać. Miała wrażenie, że odległość między jej głową a stopami była zdecydowanie większa niż zwykle.

- Nie wiesz nawet, gdzie mieszkam.

- Powiesz mi - grzecznie, ale stanowczo wyprowadził ją z pokoju, jakby była opierającą się rekonwalescentką.

Kiedy szli w kierunku drzwi, próbowała złapać Charlotte albo Connie. Chciała się pożegnać, ale zanim zdążyła to zrobić - stali już przed windą. Szła posłusznie za Rudym, niczym indiańska żona za mężem. Ktoś otworzył im drzwi limuzyny.

- Masz limuzynę - stwierdziła rzeczowo.

- Zdaje się, że tak - odparł, popychając ją lekko.

Powiedziała mu, gdzie mieszka, a on powtórzył adres kierowcy. Usiedli wygodnie. Samochód ruszył w stronę centrum.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Dwadzieścia.

- Nie powinnaś pić, jeśli wiesz, że to 'ci szkodzi.

- Mówisz to tylko dlatego, że mam dwadzieścia lat?

Założyła nogę na nogę i wygładziła ręką spódnice.

- Pomyślałam sobie, że skoro jest przyjęcie...
- Przyjęcie pełne ludzi, z którymi dopiero co zaczęłaś pracować - dokończył.

- W zasadzie tak - odparła niepewnie. Zmarszczyła brwi i poczuła, że zaschło jej w ustach.

- Ale nie zrobiłam czegoś całkiem nie na miejscu, prawda?

Ogarnęła ją panika na myśl, że może zachowywała się gorzej niż z trudem mogła sobie teraz przypomnieć. Rudy chrząknął zasłaniając usta dłonią zaciśniętą w pięść.

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinnaś bardziej na siebie uważać.

- Tak jest - zabrzmiało to prawie jak obietnica.

Jego pewność siebie nagle ją zdumiała. Była czymś, co całkowicie wykraczało poza pewność, o której Dinah mogła tylko marzyć. W milczeniu minęli kilka przecznic. Rudy chrząknął ponownie.

- A ty - ile masz lat? - zapytała w końcu.

Spojrzał na nią i powiedział:

- Trzydzieści cztery.

- Trzydzieści cztery - powtórzyła, jakby to wyjaśniało jej coś raz na zawsze. Powtórzyła jeszcze raz, tym razem ciszej, obserwując park za oknem samochodu.

- Lubię twoje sztuki. Kiedy byłam jeszcze w szkole, grałam w „Różnych postaciach Ezry czyli rozpaczy możliwości”.

- Nie należy do moich ulubionych - powiedział. - Jaka grałaś rolę?

- Byłam duchem.

- Naprawdę? Duchem? Nigdy nie dałbym ci tej roli.

Patrzył zamyślony prosto przed siebie i lekko kiwał głową. Rękę trzymał na oparciu siedzenia tuż za nią. Jego nieruchome, utkwione gdzieś w dal oczy błyszczały jak przystało na prawdziwego zapaleńca. Dinah czuła się bardziej zniewolona niż oczarowana - zniewalał ją fakt, że najwyraźniej nie była w stanie go zauroczyć. Spojrzał na nią ponownie. Zawstydzona odwróciła głowę.

- Nawet nie miałam brać udziału w tym przedstawieniu - powiedziała szybko. - Pracowałam przy dekoracjach. Dziewczyna,

która miała grać kanapę zachorowała, więc... - wzruszyła ramionami. - To wcale nie jest jakaś niezwykła historia. Oni rozpaczliwie kogoś szukali, a ja wypadłam fatalnie. Może nie tak zupełnie, bo nie można być beznadziejnym w tak dobrej sztuce. A mimo to...

- Jestem przekonany, że poszło ci lepiej, niż myślisz.

Spojrzała na niego.

- Nie bądź taki pewien - powiedziała.

- Przepraszam. To takie przyzwyczajenie.

- Być pewnym?

- Oczywiście.

Uśmiechnęli się do siebie. W jego oczach, jak coś co się czuje lub pamięta, dojrzała ledwie zauważalny błysk. Dinah ponownie wyjrzała przez okno. Serce jej waliło. Rudy włączył radio - Steve Martin śpiewał piosenkę „King Tut”. Byli już prawie pod jej domem.

- Najbardziej lubiłam „Niewinnego dzikusa”. Uwielbiałam to.

Rudy uprzejmie skinął głową, przyjmując komplement.

- Charlotte mówiła, że jesteś dobrą pisarką - powiedział.

- O, tak. Moje próbne wątki seriali opublikuje w tym tygodniu „The New Yorker”.

- Nie, ona mówiła, że napisałaś coś innego, coś na temat swoich nastrojów.

- Powiedziała ci o tym? - Dinah zarumieniła się. - Dlaczego ci to powiedziała? Co mówiła?

- Zapytałem ją o ciebie, a ona opowiedziała - odparł zwyczajnie.

- Ty zapytałeś ją o mnie?

- Mówiła, że nazwałaś te nastroje. Pam? Pam i... - zaczął Rudy.

- Roy - powiedziała szorstko. - Pam i Roy. Roy jest jak rozbawiona, dzika fala, a Pam jest jak osad, Pam stoi na brzegu i szlocha. Jeden nastrój to posiłek, drugi - rachunek - wyrecytowała pośpiesznie, wpatrując się w swoje dłonie. - Czasem wpadam w taką depresję, że nie pamiętam, który z nich znam - powiedziała cicho, patrząc przez okno.

Gdzieś pośród nocy zawodził ambulans. Natarczywy dźwięk syreny towarzyszył Dinah przez kilka następnych przecznic i włókł za sobą jej myśli.

Jednak tak było tylko czasami, nie zawsze. Tak było, gdy nachodził ją smutny nastrój - Pam, kiedy wszystko wydawało się zbyt skomplikowane i pozbawione sensu. Przy Pam Dinah dostawała czegoś w rodzaju emocjonalnej grypy. Jej pewność siebie, niczym woda, odpływała i wysychała. Rozpoczynała się lekcja żalu i strapienia i Dinah musiała po prostu czekać na dzwonek. Może tym razem zdoła się czegoś nauczyć... Ale kiedy lekcja już trwała, Dinah nie umiała sobie wyobrazić, że będzie cokolwiek jeszcze kiedyś robiła.

Fakty były te same, tylko ona widziała je inaczej. Tworzyła fikcje ze swojego życia. Zgodnie z jedną fikcją nic nie było możliwe, ale według innej - w większości jednak było. A co nie było możliwe, było przynajmniej interesujące. W ramach pierwszej <- życie było nie tylko niemożliwe - było przerażające i samotne. Było dziwne. Dinah straciła swoją szansę i niebawem skóra pod jej oczami zaczęła marszczyć, nabrzmiwać i obwisać, a to są trzy z siedmiu oznak starzenia się. Pam była egzystencjalnym bólem i przerażeniem, Roy - beztroską książką pod tytułem „Czy to nie wspaniałe być człowiekiem: jakież to ekscytujące - móc i żyć!”. Dinah oczywiście bardziej kochała Roya - ten pozytywny nastrój. Najlepszy.

Zwykle jednak, jako obowiązkowa uczennica, siedziała przez całą lekcję z Pam, czekając na dzwonek. Potem zatrząskiwiała swój umysł jak drzwi i biegła na korytarz, gotowa powitać Roya.

- Dzisiejszy wieczór należy do Roya - roześmiała się zakłopotana. - Z dużym prawdopodobieństwem, że jutro przyjdzie kolej na Pam.

- Dlaczego?

Rudy odwrócił się, by na nią spojrzeć. Dinah nerwowo przesunęła palcami po włosach, a właściwie po tym, co z nich pozostało po ostatniej wizycie u fryzjera.

- Potencjalny kac - będę myślała, że zrobiłam z siebie idiotkę - odparła ze śmiechem. - Właściwie - robiąc z siebie idiotkę.

Samochód zatrzymał się przed jej domem.

- Myślisz, że się wygłupiłaś?

- Tak. Mam na myśli to leżenie wśród sterty ubrań i całą resztę.

Jej skóra jaśniała delikatnie w ulicznym świetle, przenikającym przez okno samochodu. Rudy uśmiechnął się.

- To nie było nierozsądne, raczej nie na miejscu.
- Widzisz jakąś różnicę?

Rudy odwrócił się twarzą do Dinah. Jego oczy były poważne i zatroskane; gdzieniegdzie, niczym światełko przebijające przez szparę w zamkniętych drzwiach, połyskiwało w nich rozbawienie. Przysunął się do niej.

- Porozmawiamy o tym w samochodzie? - spytał cicho i pocałował ją tak, jak całuje się tylko na sobotnich randkach, przyciskając jej głowę do szorstkiego, granatowego siedzenia z aksamitu. Czuła ten pocałunek wszędzie - promieniał jak wielka jasna świeca. Rudy cofnął się odrobinę. Czuła jego oddech na swojej twarzy, jego ręce na swoich ramionach. Popatrzyła w jego oczy - były tak blisko.

- Ty rzeczywiście jesteś dobrym dramaturgiem? - powiedziała, uśmiechając się lekko.

- Tylko tak mówisz.

Dinah wygładziła spódnicę i założyła na ramię pasek torebki.

- Nie tylko tak mówię, ale... masz rację. Powtarzam to bez przerwy.

Otworzyła drzwi. Rudy za późno chwycił ją za łokieć, by pomóc jej wysiąść. Stali teraz na ulicy i patrzyli na siebie. Kierowca przystanął z tyłu samochodu, ze wzrokiem dyskretnie utkwionym w przeciwną stronę ulicy.

- Cóż... - zaczęła Dinah. - Powodzenia z „Meksykańską przenośnią”.

Rudy zdziwił się.

- Z czym?

- Z twoją nową sztuką - przypomniała.

- Ach tak - pokiwał głową, ledwie sobie przypominając. - Powodzenia z twoimi nastrojami. Z Royem i Pam.

Dinah zdała sobie sprawę, że czeka, aż Rudy poprosi ją o numer telefonu, a on wcale nie zamierza tego zrobić. Cofnęła się w kierunku domu. Rudy stał przed otwartymi drzwiami limuzyny. Rzucił rękawicę swojej obojętności i Dinah ją teraz podniosła. Pomachała mu.

- Nie bądź obcym -zawołała z udawaną wesołością. - Nie bądź Albertem Camus.

Rudy uśmiechnął się.

- Czarną Owcą - poprawił ją.

Dinah zarumieniła się.

- Nie bądź żadnym z nich. Nie bądź kimkolwiek, jeśli możesz temu zaradzić - powiedziała, znikając w drzwiach. Nagle wychyliła się jeszcze raz.

- W zasadzie to możesz być każdym z nich - dodała pośpiesznie. - Myślę, że to zależy od tłumaczenia.

U większości gatunków ryb przedstawiciele płci męskiej i żeńskiej kontaktują się między sobą mało lub wcale. Samiec składa jedynie spermę na złożonych przez samicę jajach. Po tym krótkim incydencie każde z kochanków może iść w swą własną stronę i nigdy więcej się nie spotkać.

scandalous

2

Diaah zwykle budziła się rano kompletnie zdezorientowana. Myślała nie tylko „Gdzie ja jestem?“, ale i „Kim ja jestem? Czym? Czy jestem po prostu kimś przeciętnym?“ Potem wszystko napływało z powrotem; rozbijało się o nią z siłą potężnej fali. „No jasne” - myślała, przypominając sobie, po czym popadała w coś w rodzaju rezygnacji, która zmusiłaby ją do wyjścia z łóżka. „Cóż?” Znowu to samo. „Mój Boże”.

Czuła się jak odszczepieniec w gangu, jakim był rodzaj ludzki. Wszyscy jego członkowie tłoczyli się razem, a świat powolutku popychał ich w stronę śmierci. Był jak wielka, odbijająca się kula, pełna umierania, spychając ją na bok. Jej los nie należał do niej. Nie wiedziała, co to znaczy próbować zbliżyć się do ludzi. Albo handlować własną biografią, by kupić od świata możliwy do przyjęcia wizerunek własnej osoby.

Pojawienie się kogoś w jej życiu nie wymagało od niego specjalnego talentu czy umiejętności. Wyglądało tak, jakby ludzie przybywali bez przerwy i kłębili się w bezładnej masie. Bez trudu można było przedrzeć się ku tej płytkiej postaci, którą Dinah oferowała jako siebie samą. Problem polegał na tym, by pójść dużo trudniejszą drogą. Trudną nawet dla Dinah.

Czasami Dinah po prostu samotnie spacerowała po mieście. Obserwowała ludzi, wdychała zapach ulicznego jedzenia, auto-

busowych spalin, dymu, wydobywającego się z za krat. Czuła się w jakiś sposób chroniona, odnajdywała sens w przynależności do tego kipiącego, bezładnego miasta. Chwilę potem było już inaczej - była obca, była kimś, kto nie może dorównać kroku, nabrać wiatru w żagle. Wyboje, uliczny ruch, włóczędzy. Z wyciem klaksonów, odgłosami bezustannego ruchu, żywą, dyszącą plamą hałasu, delikatnie napierającą na nią - wielka aglomeracja, która mruczy jak kot, a dźwięk ten zamienia się w jednostajny ryk. Dinah w swoim oku cyklonu czuła się taka cicha - jej umysł był spokojny jak ciągnąca się brzegiem plaża. Była jak katedra, w której czci się toczące się wokół życie. Zapamiętywała wszystko na później, kiedy będzie tego potrzebowała.

Jesień w Nowym Jorku była piękna, ale nadeszła zima. Stało się to nieoczekiwanie i brutalnie. Ingrid, sublokatorka Dinah, weszła któregoś ranka do jej pokoju i, delikatnie nią potrząsając, obudziła ją.

- Pani Zamieć jest na podwórzu - powiedziała Ingrid.

Dinah, chwiejąc się, wstała z łóżka i podążyła za Ingrid do dużego pokoju. Na ich niewielkim tarasie było tyle śniegu, ile Dinah nigdy wcześniej nie widziała. Zasy pokrywały wszystko: dwa krzesła, mały stolik i samotne, ogołoczone drzewo.

- Widzisz? - zapytała Ingrid z dumą, jakby to wszystko stało się za jej sprawą, jakby to ona była Królową Śniegu, a taras jej nową posiadłością. Wiatr walił w okna ich narożnego mieszkania i groźnie zawodził. Wiatr, który obleciał świat i teraz był z tęsknoty za siedzibą swoich przodków.

- Niezłe - stwierdziła Dinah. To było pierwsze słowo, jakie powiedziała tego ranka. Była pod wielkim wrażeniem - śnieg nigdy nie przestawał jej zadziwiać. Uważała go za najlepszy trik, na jaki stać było pogodę. Gdy się dorasta w Kalifornii, pogoda wydaje się jednowymiarowa, ale kiedy spadał śnieg - Dinah czuła, że pogrąża się w wyjątkowym świecie trzech wymiarów.

- Teraz możemy mówić o pogodzie - powiedziała, podchodząc z Ingrid do okna. Przez chwilę obserwowały śnieg bez słowa.

- Przez radio podają ostrzeżenia, żeby nie wychodzić z domu, chyba że w wyjątkowej sytuacji - Ingrid spojrzała na Dinah i dodała - A zwłaszcza, żeby nie jeździć samochodem.

Dinah uśmiechnęła się i odparła:

- Chodźmy.

Kiedy wypadły z budynku, na dworze było pięknie - biało, cicho i wyczekująco. Odpychane przez wiatr, szły w kierunku samochodu Dinah. Zakutane w płaszcze i swetry wyglądały jak laleczki z piernika. Ich oddechy zamieniały się w obłok pary, natychmiast porwany przez silny wiatr. Przytuliły się do siebie; oczy łzawiły im od wiatru i śmiechu. Na ulicach nie było samochodów, gdzieś widać było skulone postacie. Zatrzymały się na Broadwayu, odychając z trudem i mrużąc oczy od wiatru.

- Tak chyba musiał wyglądać przełom wieków - szepnęła Dinah.

Jak okiem sięgnął, Broadway pokryty był oslepiająco białą kołderką śniegu. Dziecięcy śmiech przecinał ciszę jak odgłos dzikich ptaków.

- Zimowa zaczarowana kraina - westchnęła Ingrid. Popatrzyły, jak jej oddech znika na wietrze i uśmiechnęły się.

Wyjechały samochodem z parkingu przy Osiemdziesiątej Czwartej ulicy, tłumacząc stróżowi, że jadą do szpitala.

- Muszą jej pobrać z mózgu jakiś płyn - powiedziała poważnie Dinah.

Przyprowadził samochód.

- Przywieziemy panu trochę, jeśli coś zostanie! - zawołała Ingrid, kiedy ruszyły z podjazdu i z poślizgiem przejechały przez zaspę śniegu.

- Na lodzie jest wspaniale! - powiedziała Ingrid, mrużąc oczy i wyglądając przez oblodzoną już przednią szybę. - Juhuuu! - Podjechała ostrożnie do rogu ulicy. Koła samochodu ślizgały się i skrzypiały.

- Jesteś jedyną osobą, której „juhuuu” brzmi jak „ohoo” - zauważyła Dinah z grymasem na twarzy.

- Nie ma szans, żebyśmy zginęły, prawda? - powiedziała Ingrid. - Jutro wieczorem mam przedstawienie.

- Cóż, to zmienia postać rzeczy. Gdybyś była jutro wolna, mogłybyśmy zginać, ale tak... - przerwała.

Tył samochodu przechylił się i zatańczył. Ingrid krzyknęła, a Dinah spokojnie zaczęła manewrować kierownicą. Kiedy samochód znalazł się znowu pod jej kontrolą, powiedziała:

- Hej, to był twój pomysł.
- Naprawdę? - spytała Ingrid z niedowierzaniem.

Dinah ostrożnie skrzyła w dół Broadwayu.

- O rany - westchnęła Ingrid, kiedy zjeżdżały powoli na środek pustej ulicy.

- Wielka Biała Droga - uśmiechnęła się Dinah.

Po obydwu stronach prowadzących do centrum śnieżnych połączy stały budynki. Ludzie odśnieżali ścieżki do swoich sklepów, domów i samochodów. Gdzieś w oddali turkotał spychacz. W samochodzie zaświstał wiatr, przynosząc lekki, lodowaty, kłujący śnieg.

- „Niebo nie jest szare na Wielkiej Białej Drodze?” - zaśpiewała Ingrid. - To „Melodia Broadwayu”.

Dinah przerwała jej:

- „Choć wędrować możesz ku dalekim brzegom, twoje serce ma swój dom na Broadwayu. Każdej nocy marzę, że wciąż jestem tam...”

Nie pamiętały całego tekstu, ale śpiewały dalej. Wymyślały to, czego nie mogły sobie przypomnieć i z dumą wykrzykiwały słowa, które pamiętały. Z wysiłku z trudem łapały oddech i pędziły w stronę Centrum Lincolna. Ich samochód był jednym z pięciu, jakie spotkały po drodze. Zjeżdżały na boki i zderzały się ze świeżym śniegiem. Dwaj mniej więcej dziewięcioletni chłopcy podbiegli do samochodu, wskoczyli na maskę, zażądali przejażdżki. Jechali tak przez kilka przecznic, zanim Ingrid zatrzymała samochód i kazała im zejść.

- To nie jest taksówka - zawołała przez uchylone okno.

Zamknęła je i ponownie ruszyły w swoją bezcelową podróż. Gdy jechały wzdłuż jakiegoś budynku w tylną szybę grzmotną śnieżna kula.

- A gdyby to rzeczywiście była taksówka? - zapytała Dinah, w której sercu nagle zapłonął samarytański ogień.

Ingrid spojrzała na nią.

- Nasz samochód jest jednym z nielicznych na drodze - dodała Dinah. - Będziemy pomagać ludziom i zasłyniemy z tego na całym świecie. Lodowe Dziewice, które mkną po śniegu, by ratować innych. Zapewnić im, przewianym i przemarzniętym, bezpieczny przejazd do domu.

Ingrid wyjrzała przez okno. Zastanawiała się. W końcu powiedziała:

- No dobrze, ale tylko starszym ludziom. Możemy podwozić osoby po pięćdziesiątce, które naprawdę zmagają się ze śniegiem.

Dinah z entuzjazmem uderzyła rękami po kierownicy.

- Tak, tak, tak - zapiszczała z radości.

Ostrożnie jechały dalej i słuchały, jak przez radio głośno lecą „Niebieskie święta”.

- Ale jeśli zginiemy - ostrzegła Ingrid, przekrzykując radio - zabiję cię.

- W porządku - odparła Dinah.

Patrol Lodowych Dziewic powoli posuwał się w stronę centrum. Dzieci machały im po drodze, rzucały w nie śnieżkami, wiwatowały.

- Tak jakby nigdy wcześniej nie widziały samochodu - skomentowała Ingrid.

- Afryka w śniegu - zauważyła Dinah.

- Co? - zapytała Ingrid, ale zanim Dinah zdążyła jej wyjaśnić, nagle wskazała przez okno. - Spójrz! Obywatel w podeszłym wieku na godzinie trzeciej.

Ojciec Ingrid służył w armii.

- Gdzie jest trzecia godzina? - zapytała Dinah. - Mów po ludzku.

- Tam - Ingrid wskazała na starszego pana o lasce, który brnął po oblodzonym chodniku. Odkręciła szybę.

- Halo! - zawołała - Proszę pana!

Mężczyzna powoli odwrócił białą głowę i ostrożnie rozejrzał się wokół.

- Tutaj! - krzyczała Ingrid - W samochodzie!

Staruszek zobaczył je, zmieszał się i zmartwił. Ręką, w której nie trzymał laski, wskazał za siebie. W tym momencie Dinah odkręciła szybę do końca, wpuszczając do środka podmuch lodowatego, kłującego wiatru.

- Możemy pana podwieźć? - zawołała.

Miała śnieg na twarzy, rzęsach i włosach. Mężczyzna nieśmiało zbliżył się do samochodu.

- Jedziemy w kierunku centrum - ciągnęła dalej - i zapewniamy awaryjne przejazdy dla osób takich, jak pan.

Podszedł do samochodu i stanął zakłopotany przy oknie.

- Nie jest pan mordercą, prawda? - Ingrid piskliwym głosem zapytała staruszką.

- Co? - odparł, zdejmując okulary i przecierając je rękawem. Był raczej niskiego wzrostu i pod grubym, czarnym płaszczem najprawdopodobniej kryła się szczupła osoba. Głowę miał okutaną szarym szalikiem, a w dłoni w ciemnej rękawiczce, trzymał niedzielną gazetę.

- Dziewczęta - powiedział w taki sposób, jakby określał typ ameby pod mikroskopem - to nie jest dzień na jazdę samochodem.

- Tak naprawdę, to również nie jest dzień na spacer - odparła Dinah. - Możemy gdzieś pana podrzucić?

- Jesteśmy Lodowe Dziewice - dodała Ingrid. Dinah wyszła z samochodu. Stała przed nim niczym królewski sługa i szerokim gestem dawała mu do zrozumienia, że powinien wsiąść.

- Do usług, proszę pana - powiedziała z dumą. - Zziębnięte, ale z transportem.

Staruszek zawahał się, po czym schylił i niezgrabnie usadowił się w samochodzie.

- Oferujemy swoje usługi w czasie tej taksówkowej posuchy - zakończyła Dinah.

- Szedłem właśnie do domu - tłumaczył się prawie smutno.

- Cóż, zawieziemy pana - powiedziała Ingrid. - Witamy w naszej przygodzie.

- Nie miejcie mi tego za złe, dziewczęta, bardzo was proszę.

Czerwony nos staruszka autentycznie świecił. Dziewczęta zaintonowały „Melodię z Broadwayu” i odwiozły swojego pasażera do domu dwie przecznice dalej.

- Do widzenia! - krzyknęły za nim, gdy powolnym krokiem wchodził na schodki. - Do widzenia! - powtórzyły smutno, kiedy zniknął za drzwiami. Butelka wypychała mu kieszeń płaszcza. Przez chwilę siedziały zamyślane.

- Będzie mi brakowało tego gościa - powiedziała Dinah.

- Przynajmniej nas nie zamordował - wymamrotała Ingrid.

- Mów za siebie - odparła Dinah, wrzucając jedynekę.

Ktoś zapukał w szybę. Ingrid trąciła Dinah łokciem, ta podniosła wzrok i poprzez gęsty, iskrzący śnieg zobaczyła Rudy'ego Gendlera.

- Pamiętasz mnie? - zawołał przez szybę.

Coś w jego twarzy, w całej jego postaci sprawiło, że Dinah poczuła jakąś tęsknotę i nadzieję. Może nie każdy mężczyzna jest jak

wyspa, ale niektórzy z pewnością tak wyglądają - bezpieczni niczym suchy łód majaczący na odległym horyzoncie. Kiedy opuszczała szybę, pomyślała, że gdyby ona sama mogła być tak bardzo pewna, bezpieczna, sucha i... oddalona. Stał się dla niej nagle, w tamtej chwili, nie tylko idealnym partnerem. Stał się jej ideałem. Gdyby mogła spleść z nim swoje życie i pewnego dnia stwierdzić, że ich losy zostały nierozzerwalnie złączone. Dinah Kaufman to Rudy Gendler.

Uśmiechnęła się do niego przez okno, żałując, że jest nie umalowana i ciesząc się, że ma całkiem dobrą cerę. Kiwnęła głową. Oczywiście, że go pamiętała; jak mogła zapomnieć Obcego, Czarną Owcę, Mężczyznę z Limuzyną. Mogłaby kochać tego faceta - pomyślała. Uratowałby ją przed nią samą. Jednego nie wzięła pod uwagę: Kto w takim razie uratowałby ją przed jej wybawicielem?

Rudy poprosił Dinah o numer telefonu. Napisała go na starym kwicie pożyczonym od Ingrid ołówkiem do brwi i podała mu. Płatki śniegu padały coraz wolniej. Były coraz większe. Rudy włożył karteczkę do kieszeni w spodniach, ukłonił się Dinah i Ingrid i odszedł przez wirujący śnieg. Odkrywca w tej miejskiej dżungli.

Kiedy samica słonia wchodzi w okres rui, wybiera sobie samca. Jest to początek bardzo bliskiego i czułego związku. Na początku słonica jest bardzo tajemnicza i zalotna - na przemian zachęca samca i ucieka przed nim. W czasie trwających kilka miesięcy zalotów oboje stanowią nierozłączną parę. Bawią się, dotykają, głaszczą, pieszczą, trąbią. Samiec wykazuje niezwykłą delikatność i dopiero na zakończenie długich podchodów - i jedynie na zaproszenie samicy - konsumuje związek podczas aktu kopulacji.

3

Rudy i Dinah siedzieli naprzeciwko siebie we włoskiej restauracji w SoHo, otoczeni zawieszonymi pod sufitem sztucznymi roślinami i migocącym światłem bożonarodzeniowych lampek. Rudy znów był ubrany na granatowo i siedział ze złożonymi z przodu rękami. Dinah była spięta. Zastanawiała się nad tym, co mówi i co ma powiedzieć.

- Mam zbyt dużo energii.

Rudy uśmiechnął się, dając znak kelnerowi. Dinah ugryzła zrobiony z chleba paluszek.

- Może zabrałaś trochę mojej - odparł.

Roześmiała się. Środkowym palcem lewej ręki rytmicznie skubała kciuk; na drugim kciuku widać już było niedawno założony plaster.

- Zawsze możesz mi odebrać - powiedziała ponuro.

Okazało się, że w tej restauracji nie podają alkoholu i choć oboje twierdzili, że nie robi to większej różnicy, Rudy pobiegł na drugą stronę ulicy i kupił wino. Wrócił zarumieniony, oczy mu błyszczały. Trochę zdyszany usiadł naprzeciwko niej.

- Dlaczego ty jesteś taka mądra? - zapytał, kiedy wystrzelił korek i nalał wina. Było jak smar do kół, które miały zwrócić ich ku sobie, zbliżyć i w końcu po nich przejechać.

Dinah wzruszyła ramionami. Trzymała w dłoni kieliszek, który wypełniał się czerwonym płynem.

- Moja matka była bardzo ładna, a ja wiedziałam, że nie wyglądam tak jak ona. Pamiętam, jak myślałam, że wyglądam jak

palec u nogi, więc doszłam do wniosku, że będzie lepiej, jeśli wyrobię w sobie cechę, która mi to wynagrodzi. Więc... sama nie wiem... Zdaje się, że zmądrzałam. A dlaczego ty jesteś taki mądry? - zadała mu to samo pytanie, wkładając do ust ostatni kawałek chlebowego paluszka.

Rudy, pogrążony w myślach, powoli pił wino.

- Ponieważ twoja matka była bardzo ładna - odparł.

- Cóż za zbieg okoliczności - Dinah zaśmiała się.

Rudy podniósł kieliszek do góry i Dinah stuknęła się z nim.

- Za twoją matkę - powiedział.

Wypili oboje.

- I za dobre geny - dodał.

Opróżnili kieliszki i Rudy znów je napełnił. Kelner podał zakąski. Żadne z nich nie zjadło dużo - rozgrzało ich wino i ciekawość, kim może okazać się ta druga osoba. Dinah marzyła o udanym życiu, Rudy - o udanej nocy. Podniecała ich świadomość, że wynik tego wieczoru jest przesądzony, że są sobą zainteresowani, że w końcu zbliżą się do siebie.

- Myślę, że w gruncie rzeczy jestem zamknięta w sobie - mówiła Dinah. Opowiadała mu teraz wszystko; ujawniała najlepsze swoje cechy- wydobywała je z cienia swojego umysłu na słoneczne światło, jakim zdawał się być ten nowy facet, ten ciekawy mężczyzna. - Moja otwartość jest sposobem na chęć ucieczki, zamknięcia się, bo tak naprawdę staram się ukryć. Czekam, aż mój pozorny obraz gdzieś zniknie i pojawi się właściwa Dinah.

- Wytłumacz mi to jaśniej - powiedział, trzymając kieliszek w obydwu dłoniach.

Dinah odchyliła się do tyłu i roześmiała.

- Jeśli kiedyś zadzwonisz, to zanim się spotkamy przygotuję notatki.

Rudy uśmiechnął się i wlał do kieliszka resztę wina.

- Zapamiętam.

Dinah przechyliła się do tyłu, opierając się na łokciach. Twarz miała rozpromienioną.

- Nie tknęliśmy jedzenia - zauważyła nieśmiało.

- Do diabła z tym - powiedział. - Mogę spróbować, ale nie będę się zmuszał.

Zaczęli wkładać płaszcze, Dinah niemalże straciła przy tym równowagę.

- Może mam trochę twojej energii - powiedziała radośnie. - Myślę jednak, że ty masz całą moją... jak ty to nazywasz... umiejętność przybierania właściwej pozy.

- Ja nigdy tego tak nie nazywam - odparł. - Idziemy.

Przeszedł przez drzwi, otoczone kolorowymi lampkami i gałązkami ostrokrzewu.

- Jestem twoją gejszą - powiedziała Dinah, wychodząc za nim na mroźną, zimową noc. Była to obietnica, której na pewno nie udało jej się dotrzymać.

Jechali samochodem w kierunku centrum.

- Dokąd, proszę pana? - zapytał kierowca. Rudy spojrzął na Dinah.

Zarumieniła się i podała adres. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, oszołomieni ogromem tego, co miało nastąpić. W końcu odezwała się Dinah, zbierając ręką w rękawicze niewidzialny meszek ze swojego czarnego płaszcza.

- Dlaczego nie poprosiłeś o mój numer telefonu tamtego pierwszego wieczoru? - zapytała zwyczajnie, skupiając uwagę na płaszczu.

Rudy chrząknął, spojrzął przez okno, a zaraz potem na nią.

Byłem wtedy z kimś innym - tłumaczył. - Nasz związek wydał już, no, jakby to powiedzieć, ostatnie tchnienie i to przyjęcie, na którym cię poznałem, ostatecznie przesądziło sprawę. To znaczy, nie mogłem jej dłużej tolerować - przerwał nagle.

Dinah z napięciem obserwowała jego twarz. Za oknem przesunął się niewyraźny obraz Nowego Jorku. Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle, które odbiło jego cień na tle jakiejś kamienicy/czy miejskiej rezydencji. Ludzie przechodzili przez ulicę skuleni z zimna.

- Nie pozwól tylko, żeby to się zdarzyło jeszcze raz - z udawaną powagą powiedziała Dinah.

- A ty? - zapytał.

- Co ja?

- Dlaczego jesteś sama?

Chciała powiedzieć: „Jestem z tobą”, ale powstrzymała się i westchnęła z wysiłku, jakim okazała się ta wewnętrzna cenzura.

- Miałam wyjść za kogoś, ale w końcu nie wyszłam.

Zmieniło się światło i samochód pomknął przed siebie. Rudy patrzył na nią, więc ciągnęła dalej:

- Chciał, żebym się przyzwyczaiła do tego, jak on myje zęby.
- Coś okropnego.
- Nie, wiesz, o co mi chodzi. Był...
- Nudny.

Dinah przechyliła głowę w jedną stronę, zastanawiając się, po czym pokręciła nią zasmucona.

- On był za miły.
 - Za miły?
 - Jak to jest możliwe?
 - Ja nie wiem, to był twój narzeczony - Rudy wzruszył ramionami. Dinah zajęła się ponownie meszkiem na płaszczu.
 - A co ci się nie podobało w twojej przyjaciółce?
- Rudy splótł ręce i spojrzał z ukosa.

- Vicki była bardzo... Boże, nie wiem. Była bardzo atrakcyjna i z pewnością była bardzo dobra, aleja czułem się taki... związany.

- Aha.

- Poza tym, była aktorką i za każdym razem, kiedy nie obsadzałem jej w mojej sztuce, urządziła piekło - powiedziała i odchrząknęła. - Oprócz tego, ciągle robiła zakupy.

- Co kupowała?
- Buty.
- Więc to o to chodziło.

Milczeli przez kilka przecznic. Na chwilę oświetliły ich światła ulicy, po czym znów zapadli się w ciemność. Rudy pochylił się do przodu i włączył radio. Peter Gabriel śpiewał „Wzgórze Holsbury”. Rudy oparł się o siedzenie.

- A poza tym, już pod koniec, trochę psuła przyjęcia.

Dinah zaśmiała się.

- Moja przyjaciółka Connie mówi, że nie ma ludzi, którzy psują przyjęcia - są tylko przyjęcia, które można zepsuć.

Samochód gwałtownie skręcił za róg. Dinah wpadła na Rudy'ego, którego, z kolei, rzuciło na drzwi. Kiedy samochód wyszedł na prostą, Rudy objął ją ramieniem. Dinah przycisnęła rękę do jego piersi. Centymetry dzieliły ich twarze, oczy mieli szeroko otwarte, usta zamknięte. Dinah zaśmiała się nerwowo i odsunęła trochę do tyłu.

- Oczywiście - ciągnęła dalej - tak samo można powiedzieć, że nie ma pożeraczy serc, a są tylko serca, które dają się pożreć; nie ma ludzi, którzy rozbijają rodziny...

- Czy ty czasem milczysz? - zapytał cicho.

Był teraz tak blisko niej, ich twarze znowu oświetlały uliczne światła - stali w kolejce samochodów, jadących przez Central Park na południe.

- Oczywiście - powiedziała.

Jej twarz złagodniała.

- Kiedy? - zapytał.

Spojrzała na niego. Była blisko, coraz bliżej.

- Myślę, że niebawem - odparła prawie szeptem.

Ich usta przywarły w pocałunku. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Miasta wokół powstają o wiele wolniej, myślała, czując jego świat tak blisko, jakby był tuż za ścianą. Słuchała jego głosu, który jak cienka, delikatna lina wydobywał się z jego gardła i oplątywał się wokół słów. Co to za świat? Co to za język?

Przerwali pocałunek, cofnęli się bez tchu. Dinah miała poważny wyraz twarzy.

Dla kruków ogromne znaczenie mają zajmowana pozycja w stadzie oraz kolejność dziobania. Kiedy dominująca samica, która zajmuje wysoką pozycję w grupie, doбира sobie do pary uległego, niższego w hierarchii samca - przyjmuje sposób zachowania się, właściwy samcom, zajmując nawet dominującą pozycję w trakcie kopulacji. W takim układzie samiec akceptuje swoją niższą pozycję, jak również inne formy zachowań, charakterystyczne dla samic.

4

Dinah wracała do pracy od ginekologa. Szła trochę wolniej niż zwykle - tabletki, które wzięła przed, chwilą miały dopiero zacząć działać. Charlotte spotkała ją w holu.

- Oto właśnie panna, której szukam - powiedziała, niebieskie oczy migotały na oceanie jej wielkiej twarzy. - Jak się czujesz?

Objęła Dinah ramieniem, kierując ją korytarzem w stronę swojego biura.

- Lepiej - odparł Dinah dzielnie. - Już niedługo będę czuła się lepiej.

Kiedy wchodziły do pokoju, Charlotte poklepała ją dziarsko po ramieniu i posadziła na krześle stojącym naprzeciw swojego biurka.

- Connie mówiła, że masz damskie kłopoty - powiedziała, sadowiąc się za biurkiem.

Dinah siedziała na krześle blada i sztywna. Wzruszyła ramionami i poruszyła się niezręcznie, patrząc w stronę półki z książkami, na której ustawione były scenariusze i kasety wideo. Charlotte oparła się i założyła nogę na nogę.

- Zapalenie pęcherza - powiedziała z dezaprobatą. - Tb nie może ujść płazem. Chodziłam kiedyś z facetem, który, przysięgam, zaraził mnie specjalnie. To było czymś w rodzaju udowodnienia swojej męskości. Lekarz mówił, że nigdy nie widział tak ciężkiego przypadku. A kiedy powiedziałam o tym Dokowi - z jakiegoś powodu mój chłopak miał tak na imię - mogę przysiąc, że był dumny. To był rodzaj trofeum, zdobytego za jego... za jego...

- Charlotte, doceniam twoją troskę i mam nadzieję, że wszyscy nie zostali poinformowani o mojej... dolegliwości.

Charlotte rozwiąła jej wątpliwości jednym gestem swojej pulchnej, różowej rączki.

- Nie, nie, po prostu szukałam cię wcześniej i Connie powiedziała mi, gdzie jesteś. A że jestem ciekawska, zapytałam co się stało. I to wszystko.

Dinah spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Przepraszam - zaczęła - ja tylko...

- Nie ma sprawy, nie szkodzi. Tylko następnym razem pamiętaj o większej ilości środka nawilżającego i pij dużo soku z żurawin. A teraz powiem ci, dlaczego cię szukałam. Przeczytałam ten twój szkic fabuły, w której występują nowi bohaterowie, Blaine i... no...

- Rose - przypomniała jej Dinah.

- No właśnie, Rose. I muszę ci powiedzieć, że to jest dobre. Podoba mi się. Rzecz w tym, że chciałabym, żebyś pociągnęła ich losy trochę dalej. Jeśli trzeba będzie, popracuj nad tym z Connie. Chciałabym to wysłać jak najszybciej.

Dinah oniemiała.

- O rany, Charlotte, to wspaniale.

Charlotte wstała, spotkanie najwyraźniej miało się ku końcowi.

- Dobry materiał, naprawdę dobry - mówiła. Obeszła biurko i odprowadziła Dinah do wyjścia. - Zwłaszcza ten kawałek o różnicy między tym, co jest nierozsądne i tym, co jest nie na miejscu. Aha, i ten fragment związany z Camusem. Sponsorom może się to wydać zbyt przeintelektualizowane, ale myślę, że uda mi się wygrać tę walkę.

Stały teraz w drzwiach - Charlotte we własnej osobie i do tego podwójnie rozpromieniona.

- Dobra praca, moja panno - powiedziała na zakończenie. - Już wkrótce zostaniesz naczelnym autorem, jeśli będziesz tak dalej pracować. Kto wie, może któregoś dnia zajmiesz nawet moje miejsce. A teraz zmiataj i zabieraj się do pracy. I nie zapominaj o środku nawilżającym.

Poklepała Dinah po plecach, weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Dwie kobiety stoją przed drzwiami. Słychać odgłosy przyjęcia. Jedna z nich, ta ładniejsza, ściska rękę drugiej - niższej i ciemniejszej.

- Nie zostawiaj mnie, Margie.

Margie ma pogardliwy wyraz twarzy.

- O rany, Rose, to tylko przyjęcie. Uspokój się.

Rose sięga do torebki i wyjmuje puderniczkę. Otwiera ją i pudruje sobie nos i brodę. Potem uważnie przygląda się swojej twarzy. Margie śmieje się.

- Czy to nie wspaniałe, jak patrzymy na siebie w lusterku - z tym wyrazem twarzy, jakiego nigdy nie używamy w prawdziwym świecie? Gdybym była mądrzejsza, prowadziłabym najważniejsze rozmowy podczas nakładania swoich barw wojennych.

Drzwi się otwierają. Przyjęcie.

- Uwaga - mówi Rose słabym głosem.

Zatrzaskuje wieczko puderniczki i wkłada ją do torebki.

- Cieszę się, że was widzę, moje panie - wita je wysoki, szczupły mężczyzna z twarzą młodego jastrzębia. - Jestem Kenneth O'Connor.

- Rose Chassay.

Kenneth przygląda się jej.

- Chassay. Co za uroczne nazwisko! Brzmi jak taniec.

- Pewnie - mówi Margie i popycha Rose w stronę barku.

Obie torują sobie drogę wśród tłumu.

- Dwie margarity - mówi Margie.

Rose uważnie obserwuje pokój - ludzie tańczą, piją, rozmawiają. Nagle, w drugim końcu pokoju zauważa mężczyznę rozmawiającego z otyłą kobietą. Trąca łokciem Margie.

- Słuchaj, kto to jest? Ten z Ruth?

Margie wpatruje się we wskazane przez nią miejsce.

- Nie tak nachalnie - mówi Rose i odwraca się plecami.

- Przepraszam - odpowiada Margie. - To rodzinne.

Dostrzega go - niebieskookiego blondyna w okularach w złotych drucianych oprawkach.

- To ten? - Margie z wdzięcznością odbiera od barmana drinka. - Dlaczego pytasz? Myślałam, że jego wszyscy znają. O rany, zapomniałam, że dopiero przyjechałaś. To Blaine MacDonald, najpotężniejszy prawnik w mieście.

Rose odwraca się i dyskretnie obserwuje mężczyznę.

- MacDonald? - pyta zamyślona. - Czy to nie?

- Owszem - odpowiada Margie. - Firma MacDonald Industries. To jego rodzina. Bogaci jak diabli.

Nagle zmienia się muzyka - szybką piosenkę zastępuje „Wzgórze Solsbury” Petera Gabriela. Szklana kula błyszczy i kręci się na suficie, tworząc pomost pomiędzy Rose i Blaine'em.

- Nie patrz teraz - mówi Margie cicho. - On na ciebie patrzy.
- Naprawdę? - pyta Rose, przyglądając swoje krótkie włosy. Margie uśmiecha się złośliwie.

- Uważaj, Rose. On oznacza kłopoty - ostrzega. - Poza tym, jest już właściwie zaręczony z Avery St. Claire.

- Chyba nie z...

Margie kiwa potakująco głową.

- Firma St. Claire Shipping.

- Co ta Avery robi?

- Co robi? Wychodzi za Blaine'a MacDonalda - właśnie to.

Rose ściska ramię Margie.

- On tu idzie - szepcze do siebie.

Kiedy Blaine się zbliża, wszystko inne, poza nią i nim, gdzieś odpływa. Rose przestaje zdawać sobie sprawę z tego, że gra muzyka i błyska szklana kula. Wreszcie stają naprzeciw siebie milczący i oczarowani.

- Jestem Blaine - on w końcu mówi.

- Rose - ona odpowiada.

Przerwa na reklamy.,

Samiec węża w czasie, gdy krąży wokół samicy, najpierw szybko porusza językiem i próbuje się po niej przeczłgać. U wielu osobników zachowaniem w czasie godów sterują feromony, produkowane przez specjalny gruczoł, znajdujący się na grzbiecie samicy. Po jej zapachu osobnik płci męskiej poznaje, czy to właściwa partnerka. Zamiast jednego penisa do odbycia stosunku samiec ma dwa - po jednym z każdej strony. Oba mają haczykowaty kształt i są równie sprawne, samiec nie używa jednak obydwu jednocześnie.

5

Za pierwszym razem, gdy traciła dziewictwo, Dinah miała prawie osiemnaście lat. Zrobiła to ze swoim kolegą - Budem. Tylko ten jeden jedyny raz.

Poznała go w wieku czternastu lat. Mieszkał dwie przecznice dalej w północnej części Hollywood. Przystojny, o wąskiej ostrej twarzy, miał czarne jak węgiel oczy i włosy, był bardzo uczuciowy i nie umiał chwili usiedzieć w miejscu, jakby coś za jego plecami popychało go wciąż odrobinę za daleko. Wyglądał jak łobuziak i psotnik, który dopiero co przestał rozrabiać. Był mistrzem w robieniu kawałów, wodzirejem, prawdziwym czarodziejem wesołej zabawy. Dinah i Bud polubili się. Dołączył do nich najlepszy przyjaciel Buda - Mickey. Miał również czternaście lat i był niskim, dobrze zbudowanym nastolatkiem o twarzy z dziobami po ospie i niebieskich, proszących oczach.

Cała trójka zwykle włóczyła się po okolicznych ulicach. Później, kiedy byli starsi, przeczesywali w poszukiwaniu przygód Aleję Ventury. Dinah desperacko starała się być jedną z nich, chciała być akceptowana i do nich pasować. Próbowwała zostać muszkietierem albo muszkieterką. Przez trzy lata potajemnie podkochiwała się w Budzie, natomiast Mickey potajemnie podkochiwał się w niej. Bud kochał jednak kogoś innego, a tak naprawdę podkochiwał się w każdej starszej i wychudzonej panience, jaką spotkał. Miał już za sobą romans z Suki - starszą od niego dziewczyną z wytatuowanym na kostce niebieskim ptakiem i dużymi, nieskrępowanymi bius-

tonoszem pierśmi. Ciagle jeszcze do niej wzdychał. Z czasem jednak zauroczenie Dinah zamieniło się w czystą, poniekąd tragiczną energię późnego okresu dojrzewania.

Każde z nich cierpiało z powodu jakichś nieodwzajemnionych uczuć. Coś ich wciąż pchało do przodu. Byli już prawie dorośli i każde z nich czegoś pragnęło. Właściwie - wszystkiego.

W końcu, po trzech latach znajomości, pożyczili samochód od matki Buda i wyposażeni w podrobione dowody tożsamości pojechali do Las Vegas. Radio huczało przez całe sześć godzin jazdy. Płynęli w potoku samochodów, kierujących się w stronę Nevady. Z boku, z przeciwnego kierunku, mijał ich łańcuch białych świateł. Mieli już prawie po osiemnaście lat. Byli gotowi.

- Ale droga! - wykrzyknęła radośnie Dinah, kiedy ich oczom ukazała się dzielnica Strip.

Słońce zachodziło za ich plecami na ciemniejącym, pustynnym niebie.

- Droga i pół a la król! - wyśpiewywała w kółko wymyślony rok wcześniej refren.

- Droga i pół a la król! - krzyczeli wszyscy.

Samochód skręcił w Strip - przed nimi świecił i pulsował nowy wspaniały świat. Bezwstydne i złowrogie elektryczne oczy neonów wciągały ich coraz bardziej. Cieszyli się i wiwatowali. Vegas! O rany!

Przepełnieni radością, przejeżdżali powoli przez Strip. Próbowali wtopić się w tę narkotyczną atmosferę, stać się czystką zakazanego raj.

- Dziwki! - piał z radości Bud.

Oczy mu błyszczały. Mickey zanosił się od śmiechu, głośno poklepując Buda po plecach. Taki przynajmniej był plan. Dziwki. No, chociaż jedna.

Plan był następujący: znajdą dla Mickeya kurwę, która ostatecznie pozbawi go dziewictwa. Bud wieki całe nie był już prawiczkim, jeśli można było wierzyć jego słowom. Teraz zdecydował, że przyszła kolej na Mickeya. Nadszedł czas na rytuał. Dinah, rzecz jasna, wciąż była dziewczicą, ale to było co innego - ona była dziewczyną. Jej dziewictwo nie miało w zasadzie znaczenia. Było raczej czymś stosownym, a nie - niemądrym.

W ten sposób cała trójka złączyła swoje losy, okradła rodziców i z piskiem opon odjechała, by ściąć panięńską głowę Mickeya.

- Hej, dziewczęta! - krzyknął Bud do dwóch spacerujących wzdłuż ulicy kobiet.

Ta zakazana dzielnica. Samotne kobiety. One. Obie zaśmiały się i jedna zawołała:

- Hej, mały, gdzie twoi rodzice?

- W moich spodniach - krzyknął Bud. - Chcesz zobaczyć?

Ruszyli z piskiem przed siebie. Mickey i Dinah opadli na tylne siedzenie, zanosząc się śmiechem.

- Dobra, plan jest taki - powiedział Bud ściszym głosem.

Byli już w hotelu, w którym wynajęli dwa tanie pokoiki. Najtańsze, jakie hotel „Słońce pustyni” miał do zaoferowania. Pieniądze mieli już tylko na obsługę hotelową i studolarową kurwę.

- Dlaczego mówisz szeptem? - zapytała Dinah, naśladowując jego ściszy głos. - Czy w tym pokoju jest podsłuch? - uśmiechnęła się drwiąco.

- Jesteśmy nieletni - odparł Bud tym samym tonem. - Tak właśnie się rozmawia, gdy jest się nieletnim - ciągnął dalej. - Zadzwoń i poproszę o dziewczynę na wieczór. Szukuj się, Mickey.

- Dobra.

Mickey spojrział na Dinah, wzruszył ramionami, po czym zdenerwowany i całkiem już dezorientowany poszedł do łazienki. Dinah •speszona patrzyła na Buda, który siedział na łóżku i trzymał przy uchu słuchawkę.

- Zaczekam - cichym głosem powiedział do telefonu.

- Co ja mam robić? - szepnęła Dinah, nieświadoma tego, że zajmowała uprzywilejowaną pozycję w tym świecie głównie męskich obrzędów. W świecie chłopców. Bud zakrył ręką słuchawkę.

- Możesz zadbać o to, by magnetofon był w porządku.

Dinah z powagą skinęła głową i ruszyła w stronę torby z magnetofonem. Zawahała się.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, po co my to nagrywamy - powiedziała marszcząc brwi.

- Na później - zasyczał Bud i głośno powiedział do słuchawki - Tak, jestem.

Dinah zastanawiała się, skąd Bud wiedział to wszystko. Jednocześnie podświadomie rozumiała, że to było jego zadanie. Jego królestwo, jego przyszły świat. Sprawdziła magnetofon.

- Sprawdzam - Jeden, dwa, trzy.

Po chwili, nie myśląc o nikim konkretnym, zmieniła na „Pie-przyć jedną, dwie, trzy”. Przewinęła kasetę i przesłuchała jeszcze raz, zadowolona z efektu. Mickey wyszedł z łazienki. Miał wymięty krawat i gładko zaczesane do tyłu włosy. Bud odłożył słuchawkę.

- Wszystko załatwione - oświadczył radośnie, po czym gdy spojrział na Mickeya, zaśmiał się. - Co ty? Wybierasz się na bal maturalny, na litość boską?

Wciąż śmiejąc się, złapał Mickeya i szarpnął go za krawat. Chłopak odsunął się i zaczerwienił, zmieszany.

- Kazałeś mi się szykować - wymamrotał.

Bud wskoczył na łóżko i z radości podskoczył na nim kilka razy.

- Ale nie na randkę, dupku - powiedział, ciągle odbijając się na kwiecistej narzucie. - Na dmuchanie.

Mickey nadał się, ale nie zrezygnował z krawata. Dinah odsunęła zasłony i otworzyła przesuwane drzwi, prowadzące na niewielki balkonik, z którego przez gałęzie drzew widać było basen. Nabrała w płuca powietrza i wychyliła się za barierkę. Czuła, że wreszcie dotarła do celu, że teraz stała się naprawdę jedną z nich. Weszła z powrotem do pokoju; do ich, i tylko ich, sanktuarium i jak kot zwinęła się na puszystym, wyłożonym niebieskim aksamitem krześle. Bud zeskoczył z łóżka i podszedł do załamanej Mickeya. Zaczął go wesoło poszturchiwać i czochrać jego jasne, rudawe włosy.

- Gotowy, kolego? - dokuczał mu złośliwie. - To wyjątkowy dzień, proszę pana! - ciągnął dalej. - Dzień rozdziewiczenia, kapitanie Grant! Czas wziąć się do dzieła!

- Przestań - błagał Mickey, odpychając go i próbując włożyć koszulę z powrotem w spodnie.

Ktoś zapukał do drzwi. Stanęli jak wryci, sparaliżowani. Niczym żywy obraz, stworzony z osób, które dopiero co przestały być dziećmi. Bud poruszył się pierwszy.

- Kto to? - zawołał.

Mickey wpadł w panikę i pobiegł do łazienki wylać na siebie więcej wody po goleniu.

- Co ty wyprawiasz? - zasyczał za im Bud.

- Carol - odpowiedział głos zza drzwi. - Przysłano mnie tutaj.

Szary z przerażenia Mickey stał w drzwiach do łazienki, patrzył gdzieś przed siebie i cuchnął wodą po goleniu marki Mennen.

- Chwileczkę - krzyknął Bud i chwycił stojący przy Dinah magnetofon.

Dinah zadrżała. Podeszła do Mickeya i dotknęła jego ramion. Spojrzał na nią przerażony.

- Zrób to dla nas - poprosiła go łagodnie.

- Mam nadzieję, że będę w stanie zrobić to chociaż dla siebie - powiedział.

Bud wsunął mu klucz i prezerwatywę do ręki. I magnetofon, dla niepoznaki zawinięty w płaszcz.

- Jest już włączony, stary.

Poklepał go po plecach.

- Pokój jest obok. My zostaniemy tutaj.

Mickey starał się pokazać, że jest mu wdzięczny, ale widać było, że nie czuje się najlepiej.

- A teraz idź tam i wsadź go jej, chłopcze.

Dinah skrzywiła się.

- Bud - powiedziała - postaraj się nie być ordynarny. To ma być romantyczne.

- Halo! - zawołała zza drzwi Carol.

- Idę! - krzyknął Bud. Jego ciemne oczy błyszczały. - Rozumie-
my się, kolego? Już idę! A teraz zmiataj. Spraw, żebym był z ciebie
dumny - niech ona krzyczy.

Popchnął go do drzwi. Mickey wyglądał jak skazaniec, pokonu-
jący ostatnią drogę. Spróbował wziąć się w garść i otworzył drzwi.
Dinah pobiegła do łazienki. Wstrzymała oddech i zakryła dłonią
usta - nie chciała zobaczyć, tej dziewczyny, tej kobiety; nie chciała,
by ta dziwka zobaczyła ją.

Czekała w oświetlonej jarzeniówką łazience. Jednorazowa, higien-
iczna bibuła na sedesie, na zlewie nie zakręcona woda po goleniu.
Smród. Zakręciła butelkę i spojrzała na swoją twarz w lustrze.
Odgarnęła włosy. Wpatrywały się w nią piwne oczy jej ojca.
Bezwiednie przesunęła ręką po bladej, jasnej skórze. To wystarc-
zająco miła twarz - doszła do wniosku. Mogłaby mieć inną, ale
poradzi sobie i z taką. Bywają przecież i gorsze twarze. Zastanawiała
się, jak wyglądała ta kurwa. W jaki sposób ostatecznie się nią
zostaje. Żałowała, że nie jest chłopakiem - mogłaby stracić dziewict-
wo bezkarnie, śmierdząc wodą po goleniu i w łazience. Bud
zastukał w drzwi.

- Droga wolna - poinformował ją cichym głosem **nietłumię**.

Wyszła. Bud stał w półmroku z uchem przyciśniętym do ściany. Zgasił wcześniej światło. Przywołał gestem Dinah. Stała przed nim i również przycisnęła ucho do chłodnej ściany. Dinah nic nie słyszała. Wstrzymała oddech.

- Nie była bardzo brzydka - szepnął.

Poczuła przy uchu jego ciepły oddech, pachnący piwem, które ktoś kupił dla nich za miastem.

- Prosiłem, żeby przysłali jakąś z ładną buzią - dodał, kiwając głową. Dinah też kiwnęła głową. Zza ściany wciąż nie dochodził żaden dźwięk. Odwróciła się i spojrzała na stojącego za nią Buda. Nagle coś usłyszeli. Zaskrzyphiało łóżko.

Bud położył rękę na jej ramieniu i pociągnął ją w dół, tak aby kucnęła na podłodze. Ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie, uszy mieli przyciśnięte do zimnej ściany, patrzyli sobie w oczy. Siedzieli skuleni, w bezruchu, jak szczeniaki w koszyku, jak opuszczone sieroty szukające schronienia przed nadchodzącą burzą. Z pokoju obok dochodził jęk. Ich oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia, po czym przymrużyły od śmiechu. Bud nakazał jej gestem, żeby była cicho, ale ona śmiała się dalej. Przewróciła się na pokrytą białą wykładziną podłogę, a z jej oczu popłynęły łzy. Znowu usłyszeli odgłos - jęk Carol - oooch... Jakby Mickey robił jej coś niewyobrażalnego, coś zupełnie dla niej nowego.

Dinah zaśmiała się głośniej. Bud potrząsała głową, po czym podrapał się po nosie i wydał z siebie prychający, podobny do pierdnięcia odgłos. Zaśmiali się teraz oboje - cicho, bez tchu, łzy leciały im z oczu.

- Ciiicho - nakazał Bud, kiedy był już w stanie nabrać tyle powietrza, żeby wydusić z siebie słowo.

Przysunął się do Dinah, usiadł jej na brzuchu i położył rękę na jej ustach.

- Ciiicho - powtórzył, jeszcze bardziej zwijając się ze śmiechu.

Kolejny jęk doszedł z sąsiedniego pokoju. Oooch...

- Oooch - naśladowała Dinah.

Bud upadł na nią. Wybuchnęli po raz kolejny śmiechem.

- Co on jej robi? - zapytał Bud, wciąż się śmiejąc.

Nie mogli złapać tchu, Bud przyciskał Dinah do ziemi. Odepchnęła go. W końcu podparł się na łokciach, przysunął swoją twarz

bardzo blisko do jej twarzy, załzawionej i roześmianej. Czuła na policzku jego ciepły oddech i zapach piwa. Było jej gorąco, ich ciała pulsowały. Bud, wciąż się uśmiechając, uwolnił ją spod swojego ciężaru i pocałował ją. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Przyjęła go. Tym samym przyjęła Buda. Gorące pocałunki, zamknięte jak muszle. Jego dłonie poruszają się po jej ciele. Noga rozsunał jej uda. Delikatny, lodowaty duch seksu sunął po korytarzach jej ciała, brzęcząc łańcuchami.

Zza ściany dochodzą jej. Już ich nie słyszą. Przesuwając usta po jej szyi, Bud podciąga jej sweter do góry i zdejmuje go. Jego język w szalonym tempie błądzi po jej piersi. Bud ściska je rękami. Dinah ma oczy zamknięte, głowę odchyłoną do tyłu; jedną rękę trzyma na jego biodrze, drugą zarzuciła za głowę. Jego biodra wchodzi w nią, wciskają się mocno. Podciąga jej spódnice.

Dinah zastanawia się, co oni robią. Ta chwila zamyka się wokół nich, popycha ich dalej. Bud ostrym ruchem ściaga jej bieliznę. Jego palce poruszają się po niej, w niej. Oboje oddychają ciężko. Teraz ręce na jego ramionach, usta na ustach. Bud rozpina pasek, potem dżinsy. Rozrywa dodatkowe opakowanie prezerwatyw. Jej rozłożone nogi, spódnica na wysokości pasa, jego majtki na wysokości kolan, jego sztywny penis wycelowany w nią. „Nie” - myśli Dinah. „Nie... nie teraz - nie”. Bud wchodzi w nią mocno. Dinah prawie krzyczy. On zakrywa ręką jej usta. Od czasu do czasu brutalnie porusza się w niej. Jej dzikie oczy są tuż nad jego dłonią. Jęk zza ściany niczym duch, daleko. Dinah chwytą go rękami za ramiona, wbija się w nie paznokciami. Twarz Buda jest skupiona. Maluje się na niej oczekiwanie na coś, co ma nadejść. „Nie w taki sposób” - myśli Dinah. Jego ruchy stają się bardziej regularne. Dinah zamyka oczy. Poddaje się temu, co właśnie straciła.

Coraz szybciej. Niech już będzie po wszystkim. Zamyka się w sobie w chwili, gdy Bud nagle zastyga i wydaje z siebie krótki jęk. „Och, och, Boże” - brzmi to jak modlitwa. Jego ciało boga, jej krew, komunizm dwóch istot. „Dochodzę? dochodzę?” Opada na nią mokry od potu, wciśnięty do środka. Jak to się mogło tam zmieścić? Ledwo sama się tam mieściła, ale ona i penis? Niewyobrażalne - ale stało się. Seks, który pojawił się znikąd, teraz wraca z powrotem W to samo miejsce.

Bud wzdycha. Dinah zamyka oczy - przyciśnięta przez niego, rozłożona na podłodze, z walącym sercem i wyschniętymi ustami,

rozczarowana i zdezorientowana. Drzwi za ścianą otwierają się i zatrząskują.

Bud ocknął się.

- Jezu - mruknął i szybko z niej wyszedł.

Dinah wykrzywiła twarz. Miała mokre, splecione włosy i błyszczące czoło.

- Przepraszam - tyle miał jej do powiedzenia. - Idą - ostrzegł.

Dinah usiadła. Bieliznę znalazła niemalże na samym dole, podciągnęła ją, po czym opuściła wymiętą, dziewczęcą spódnicę. Włożyła sweter i ręką przeczesła włosy.

Za drzwiami słychać było głosy. Mickey i ta kurwa. Bud i Dinah nie patrzyli sobie w oczy. Dinah poruszyła się niezręcznie. Czuła wilgoć między nogami, nie miała dokąd pójść. Więc to tak jest?

- Wszystko w porządku? - zapytał, choć nie brzmiało to jak pytanie i nie wymagało odpowiedzi.

Skinęła głową bez słowa, kiedy zapinał pasek.

- Nie możemy mu powiedzieć - dodał z pochyloną głową, najwyraźniej pochłonięty zapinaniem spodni. - On cię kocha, wiesz. To by go zraniło.

Spojrzał na nią w końcu - delikatnie, jak mały chłopiec.

- Z czasem to się staje przyjemniejsze - uśmiechnął się ciepło.

A ona wciąż była daleka od tamtej Dinah, którą kiedyś znała. Tak dawno temu.

Była druga w nocy, kiedy wsiedli do samochodu matki Buda i ruszyli na południe. Żadne nie mogło spać. Zamiast czuć, że osiągnęli to, co planowali, byli niespokojni i wytrąceni z równowagi. Wracali do domu. Mickey prowadził. Spokojny, przygotowany na resztę życia. Dinah siedziała na tylnym siedzeniu, przy otwartym oknie - czuła wiatr na twarzy. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, w wilgotnych majtkach, przed nią kiwały się głowy jej kolegów.

- Puść ten ostatni kawałek jeszcze raz - powiedział Mickey do Buda, który trzymał magnetofon na kolanach.

- Mick, słuchaliśmy już tego z tysiąc razy - jęknął Bud, kątem oka spoglądając na Dinah.

- Nie ma mowy - powiedział Mickey, nowo narodzony mężczyzna z dziobatą twarzą, jaśniejącą od dumy. - Dwa razy - podkreślił. - Słuchaliśmy tego dwa razy. Rany, co się z tobą dzieje?

To ty chciałeś, żebym to zrobił, na litość boską, ty chciałeś to nagrać. Co się z wami dzieje? Nagle jesteście tacy cholernie spokojni. Od chwili, kiedy wyjechaliśmy z hotelu. Zanim - poprawił się - zanim wyjechaliśmy.

Po nagłym wybuchu Mickeya cała trójka zamilkła. Dinah pochyliła się do przodu i poklepała go po ramieniu.

- Jesteśmy z ciebie dumni, Mick.

Bud popatrzył na Dinah, a potem znów spojrzął na Mickeya.

- No - powiedział tubalnym głosem. - No.

- Ale na pewno się tak nie zachowujecie - wymamrotał Mickey. - Gdybym wiedział, że tak będzie, nigdy bym tego nie zrobił.

Bud włączył przewijanie.

- Posłuchajmy tego jeszcze raz - powiedział zdecydowanie.

- Zapomnij - odparł Mickey. - Nie potrzebuję łaski.

Był już całkiem pogrążony w smutku, który można by nazwać „postwitalnym smutkiem”. Bud włączył magnetofon.

„Właśnie tak” - usłyszeli kobiecy głos. - „Tak jest naprawdę dobrze. Taaak?” - mruzczała Carol, a Mickey jęczał: „oooch”.

- Wyłącz to - powiedział Mickey podnieconym głosem, zmieniając pasy.

Na znaku drogowym widniał napis: „Los Angeles - 119 km”.

- Nie, posłuchajmy - odparł Bud.

Jechali nocą do Los Angeles, słuchając odgłosów seksu sprzed kilku godzin. Z magnetofonu płynęły jęki Mickeya. Carol mówiła: „Tak, oooch, tak. To jest naprawdę miłe, prawda?”. „Tak” - odpowiadał Mickey. - „Dobre”.

O świcie wyrzucili Dinah przed domem. Podniosła rękę na pożegnanie. Wkrótce się zobaczą. Delikatnie otworzyła drzwi wejściowe, zamknęła je za sobą i poszła do swojej łazienki. Zapaliła światło. Patrzyła na nią ta sama twarz, którą widziała w Las Vegas. Jednak, kiedy podeszła bliżej i spojrzała sobie głęboko w oczy - spotkała posepne i trzeźwe spojrzenie. A więc to była prawda - stwierdziła - wyglądała inaczej. Była inna, ale czy wszyscy się o tym muszą dowiedzieć? Czy zostanie napiętnowana? Będzie musiała zmusić Buda do zachowania tajemnicy, to było pewne. Jeśli tego nigdy więcej nie zrobią, będzie mogła jakoś odpokutować najważniejsze, żeby to się nie powtórzyło. Znowu byłaby czysta i miałyby przed sobą potencjalnie doskonałą inicjację - niczym jasną, radosną

obietnicę. Znowu będzie jak zaklejony list, a nie jak bezwartościowa przesyłka, którą stała się przez jedną noc. W żaden sposób nie mogła zrobić z tego romantycznej przygody, w której Bud rzuca się na kolana, błaga ją, żeby go poślubiła i przysięga dozgonne oddanie. Nie. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Nigdy więcej.

Zdjęła ubranie i włożyła koszulę nocną. Przez cały czas czuła w dole brzucha dziwne pieczenie i ucisk. Nie krwawiła, więc co w takim razie działo się złego? Usiadła na sedesie; ostry, piekący ból przeszył ją w środku. Pochyliła głowę i ściągnęła brwi, kolana miała złączone. O, nie! To była bolesna kara. Ogień, potępienie, wyraźna kara od Boga, tylko za co? Za jakie... ? Grzechy - tak oni to nazywają - rozwiążte zachowanie, swobodne obyczaje. O, nie. Właściwie nie wierzyła w Boga aż do tej chwili, w której dosięgła ją kara. Zmusiła ją, żeby padła na kolana, złożyła ręce, odchyliła głowę i wzniosła twarz ku niebu. „Przepraszam. Nie miałam na myśli nic złego. Próbowałam go powstrzymać. Przysięgam. Błagam.”

Ból trwał nadal. Napuściła trochę wody do wanny i zanurzyła się, miała wrażenie, jakby chciało jej się sikać, ale nie - to tylko ten ból - gorący, ciężki, piekący ból w kroczu. Jej wstyd, purpurowe „W” wycięte w jej środku niematerialnym, tęnym nożem.

Dinah zasnęła, ale kiedy się zbudziła, wciąż ją bolało. Przez całą niedzielę nosiła w majtkach wilgotny ręcznik. Wsłuchiwała się w bolesną melodię swojego ciała: „Za karę, za karę?”. Przez następne dni unikała Buda i Mickeya. Bała się, że Bóg zesłał na nią raka, ale nie miała nikogo, kogo mogłaby się poradzić. Jak to wyleczyć? Czy w ogóle można to wyleczyć? Czy umrze z tym bolesnym poczuciem winy? Że nie umiała powiedzieć Budowi „nie”, bo się bała jego dezaprobaty? Tak bardzo chciała być jedną z nich... pozwoliła nawet i na to, a teraz nie miała już nic, co mogłaby oddać.

Przemierzała szkolny korytarz, niosąc w sobie ukryty, zesłany przez Boga nowotwór, z ręcznikiem w majtkach, oszołomiona i zawstydzona. Stopniowo, po tygodniu, ból zmalał. Koniec z uciekaniem do łazienki, z modleniem się do gniewnego i mściwego Boga. Jednak przyjaźń z Budem i Mickeyem zachwiała się chyba na zawsze i w końcu się zawałiła. Dinah wymogła na Budzie obietnicę, że nikomu o tym nie powie. „Nigdy” - nalegała. „Nigdy” - obiecał jej zmartwiony, wpatrując się w swoje zniszczone buty.

Po latach, kiedy odkryła, że tym, co jej dolegało było zapalenie pęcherza - choroba miesiąca miodowego - jak nazywał to jej przyjaciel, spojrzała w przeszłość, kiedy miała raka w kroczu, uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową. „Jezu” - powiedziała. Okazało się, że są na to lekarstwa. Na zapalenie pęcherza, którego przyczyną może być nieoczekiwany seks, seks po długiej przerwie - trwającej nawet całe życie, albo za duża dawka seksu z niewystarczającą ilością nawilżenia lub zbyt krótką grą wstępną lub w ogóle bez niej. Spotkała ponownie Buda i Mickeya. Jeden został agentem, drugi - właścicielem restauracji. Ale Dinah, mając za sobą w wieku prawie osiemnastu lat zapalenie pęcherza, ów szkarłatny nowotwór, postanowiła poczekać trochę, zanim ponownie straci dziewictwo.

Za drugim razem Dinah straciła dziewictwo z Henrym Starkiem, profesorem przy katedrze sztuki. Od czasu epizodu z Budem nie zrezygnowała nawet z części swojej niewinności. Miała teraz osiemnaście lat i interesowała się chłopcami, tak jak wszystkie jej koleżanki. Romansowała na kanapach i w samochodach, ale wstrzymywała się z nagrodą tajemniczej laguny, jak to lubiła nazywać. Jej konto „D” - oszczędności na jej koncie „D”.

Podkochiwał się w niej również chłopak, z którym chodziła na zajęcia o filmie. Było jednak coś niepokojącego w spełnieniu tej znajomości. Za bardzo go lubiła, a wciąż trwała w przekonaniu, że miłość jest czymś niewygodnym, wyprowadzającym z równowagi i odbierającym pewność siebie. Myślała, że kochać to znaczy oznajmić komuś, że darzy się go sympatią, w chwili kiedy nie bardzo się wie, co powiedzieć.

Dinah widywała Henry'ego na szkolnych korytarzach albo kiedy szedł do samochodu. Poznała go na parkingu. Zatrzasnęła kluczyki w swoim samochodzie i próbowała właśnie zrobić coś głupiego i nie przynoszącego rezultatu. Henry przyglądał się Dinah, gdy obracała patykiem w zamku i próbowała otworzyć go jakoś od góry, przez okno.

- Czy mogę zapytać, co właściwie pani robi? - usłyszała jego poważny głos.

Była zbyt zirytowana, żeby mógł pozbawić ją odwagi.

1

- Gotuję - odparła. - Mieszam w moim samochodzie różne składniki tym oto patykiem. Chce pan trochę?

- Nie - powiedział, kierując się w stronę swojego bagażnika. - Ale myślę, że mam coś do tej potrawy.

Wyjął z bagażnika wytrych i otworzył jej drzwi. Był ubrany w jasnoniebieską koszulę i brązowe spodnie. Pod pachami miał mokre plamy od potu. Był poważny, przystojny, opanowany i żonaty - na odpowiednim palcu połyskiwała cienka, złota obrączka.

- Dziękuję - powiedziała słodko, kiedy otworzył drzwi. - Czy już ktoś panu mówił, że wygląda pan jak facet z reklamy Marlboro? - ciągnęła dalej, próbując go zatrzymać.

Stał tuż przy niej. Spojrzała na niego. Czyżby uśmiechał się drwiąco?

- A pani?

Patrzył na nią z góry. Byli zasapani. Dinah uśmiechnęła się, pochylając brodę.

- Czy ktoś pani powiedział, że pójdzie pani ze mną na drinka?

Obiecał, że przywiezie ją z powrotem - całą i zdrową i żeby się nie martwiła. Zupełnie jakby mówił o czym innym. Jakby ją oceniał, brał z niej miarę na trumnę - trumnę dla nich obojga, w której razem pochowani leżeliby w nocy, a w dzień straszyli się nawzajem. Wsunęła się na siedzenie obok niego. Od początku dominował - nad nią, nad całą sytuacją. Wciągnął ją w to i obezwładnił - zrobił to na ulicy. A potem zaciągnął do baru. Pomyślała sobie, że tacy pewnie są mężczyźni w starszym wieku. Żonaci mężczyźni, pewni siebie jak królowie.

W milczeniu jechali do „The Elbow Room” i nie mówiąc ani słowa zaparkowali samochód. Henry spojrzał na nią. Jaka była jego twarz? Gdzieś błąkał się uśmiech. Zdobył ją. Dinah wiedziała, że on o tym wie. Wszystko inne nie miało znaczenia. W barze mówili o zupełnie nieistotnych sprawach - jak ona się nazywa, jak on, czym on się zajmuje, ile ma lat, o jej studiach... Dinah ciągle odnosiła wrażenie, że Henry mówi o czymś innym. Spod powierzchni słów wydobywało się jakieś niewyraźnie komunikowane niezadowolone, niecierpliwość, pożądanie. Wzięła papierosa. Henry podał jej ogień, zrobił to w taki sposób, jakby było to prawie ostatnią rzeczą na jaką miał ochotę. Nigdy przedtem nie spotkała takiego faceta - podchodził ją jak zwierzyne, bezceremonialnie, z boku, szybko. Dinah

już wiedziała, że on ją weźmie. Oficjalnie straciła prawo głosu. Niemalże brutalnie chwycił ją za rękę.

- Obgryzasz paznokcie - powiedział.

Dinah zabrała rękę i zaczerwieniła się, onieśmielona.

- Skubię - poprawiła go, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie. - Nie obgryzam, a skubię, no wiesz, zdieram skórę, głównie kciuki.

- Aha.

Beznamiętnie wpatrywał się w jej oczy.

- Naprawdę. Zobacz sam.

Podniosła kciuk, żeby mógł zobaczyć. Wciąż obserwował jej oczy.

- Wierzę ci - odparł.

Dinah zaśmiała się i ścisnęła swoją szklanę.

- Czuję się tak, jakbyś wysmiewał się ze mnie, albo traktował pobłaźliwie jak dziecko - powiedziała.

„Albo tuczył, żeby potem mnie zabić” - pomyślała. „Albo próbował mnie rozbroić?”

- Skąd - odparł z rękami nad głową, opierając się krzesłem o ścianę. - Po co miałbym to robić?

Dinah nie odpowiedziała. Wypiła do końca swojego drinka. Drugiego.

- Dobrze - stwierdziła. - Co to takiego?

- Tequila - odparł. - Jedyny halucynogeny alkohol. Taki z dżdżownicą.

Dał znak kelnerowi, żeby nalał jej jeszcze jednego i zrobił sobie skręta, a jej zrobiło się niedobrze. Wrócili do samochodu. Dinah była już nieźle wstawiona - było to jej lekarstwo na onieśmielenie, na obecność tego wspaniałego samca. Bez słowa przysunął ją do siebie. Serce jej waliło. Pocałował ją. Zdawał się taki potężny, taki wszechwładny. Jego dłonie przesuwwały się po jej spódnicy.

- Zaczekaj - szepnęła bez tchu.

- Czekam - odparł.

Jego było tak dużo, jej tak mało. Przez lata pamiętała szelest swojej dłoni zsuwającej się po jego koszuli.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Miała teraz szeroko otwarte oczy. Była słaba i bezsilna, zupełnie bezsilna. Jego oczy były tak blisko. Przymknęła powieki i powiedzia-

ła mu, gdzie mieszka. Pojechali pod wskazany adres. Wciąż czuła na sobie jego dłonie. Włożyła klucz w drzwi i przekreśliła zamek. Jego ręce na jej pośladkach, na biodrach, przesuwające się do przodu. Była sparaliżowana. Henry oparł się o nią, drzwi otworzyły się, wpadli do środka. Wszystko to było metaforą narządów płciowych. Ty bierzesz, a ja jestem wzięta. Dinah podniosła rękę, żeby zapalić światło, ale Henry powstrzymał ją: „Nie”. To był rozkaz jej nowego króla; jego berło napierające na jej koronę, jego klucze przy bramie jej królestwa. Zatrzasnął drzwi, odwrócił się i zdjął jej bluzkę.

- To takie prehistoryczne - wyszeptwała.

- Więc nic nie mów - powiedział, kładąc na jej ustach swój wielki wskazujący palec. Ukłęknał, ściągnął jej spódnicę i przyłożył usta do jej klejnotów, kierując swój gorący oddech dokładnie w tamto miejsce. Dinah zemdliała.

Henry ocucił ją chwilę później odrobiną wody. Pan sytuacji, wszechświata, jej.

- Wypij to, powoli.

Piła wolno, dużymi łykami, a on w tym czasie całował jej nogi, przesuwając się ku górze, do celu. Kolejny grosz z jej konta „D” został wydany.

Kim był ten facet, ci faceci, ci mężczyźni? Czym oni wszyscy byli? Kiedy fala odpłynęła, kiedy Henry poszedł do domu, leżała na prześcieradłach niczym statek, który dobił do piaszczystej plaży. I nie mogła otrząsnąć się z marzeń o nim. Zatrzaśnięta w środku samej siebie, próbowała przemyśleć to, co działo się w niej, przypomnieć sobie, jaka była wcześniej, ale jej umysł był szczelnie zamknięty, pokryty rdzą wilgotnych marzeń. Henry zajął w jej głowie naczelne miejsce. Siedział wysoko, patrzył jej oczami i wybierał dla niej nieodpowiednie stroje na przyjęcia, żeby wyglądała brzydko i nie mogła zawrzeć żadnej nowej znajomości.

Dinah zawsze czuła się zakłopotana, kiedy ktoś pocieszał ją mówiąc, że coś dzieje się „tylko w jej głowie”. Jak gdyby to miało przynieść ulgę. Dla niej to było najniebezpieczniejsze miejsce pod słońcem. W chwili, gdy ktoś tak mówił, miała ochotę powiedzieć: „Boże, w takim razie wynośmy się stamtąd. Kup mi lepiej jakiś środek na robaki”.

Od tego czasu spotykali się w każdy czwartek i uprawiali w jej mieszkaniu prehistoryczny seks. Dla niej to było ekscytując, osamotnione, prawie do niej niepodobne. Czczyła go i kochała jak mogła, biorąc pod uwagę jej przeszłość i to, że go prawie nie znała. Miała nadzieję, że to zauroczenie minie, bo jak długo można tak żyć? Brakowało jej tchu, była niedoświadczona, bezustannie podniecona, pochłonięta tym i przejęta. W nocy modliła się o to, by chociaż trochę jej przeszło, a rano budziła się z pytaniem, czy już minęło. Trudne do zniesienia, powracające wciąż i wciąż pytanie „Gdzie on teraz jest?” Pragnęła, by to szaleństwo wróciło - kipiące, burzące krew w żyłach, powodujące powolne, rytmiczne, głośne bicie serca, przypominające musujący, gazowany napój. Ono po prostu żyło. Żyło i miało nadzieję, że ów przyprawiający o zawrót głowy demon wróci.

Dinah nie wiedziała, dlaczego jest z nim, ale nie musiała się nad tym zastanawiać, bo głównie była bez niego. Przez większość czasu albo pozwalała sobie na powątpiewanie, albo oglądała telewizję. Taki był jej debiut grzecznej masochistki. Za każdym razem w czwartek Dinah zapamiętywała zapach skręcanych papierosów - niezaprzeczalny fakt świadczący o nim, o zapaleniu pęcherza i lekarstwach na tę przypadłość. Czwartkowy wieczór był wyjątkowy.

Henry'emu udawało się zachowywać tak, aby jego milczenie wyglądało raczej na przemyślaną decyzję, niż na przypadek. Dinah tak nie umiała. Nie odzywała się, ponieważ milczenie z jego strony wydawało się poważne i ostateczne. On przybierał dorosłą, pokorową minę, a ona gdzieś daleko od niego ćwiczyła ironiczny grymas osoby wszystkowiedzącej.

Henry powiedział kiedyś, że Dinah ma oczy łani i jaja samuraja. Zaraz potem była ta chwila w parku, kiedy byli najbliżej kłótni. Ten jeden raz, kiedy prawie przestali mówić szyfrem. Wtedy ona powiedziała: „Nie jestem samurajem”.

Tym razem Henry nie przyszedł, żeby się kłócić. Dostał pracę w Chicago po prawie pięciu miesiącach czwartkowych spotkań i wyjechał. Słyszała później, że rozwiódł się i ożenił z kimś innym. Z kimś, komu był teraz wierny i z kim spędzał swoje czwartki. Z kimś, kogo zaciągnął za włosy do swojej jaskini i przykrył niedźwiedzią skórą swojego jestestwa.

W ten sposób Dinah przestała być dziewicą po raz drugi.

- Unikam uczuć - powiedział, patrząc w dal. Nie widział dobrze bez okularów. Okazało się, że jedno oko ma zielone, a drugie brązowe i że zielonym okiem nie widzi. - Moja babcia też była taka.

- Jaka?

- Jak szerszeń. Nie dopuszczała nikogo do siebie. Też taki jestem. Nikomu nie pozwalałam się zbliżyć.

- Lubisz siebie analizować - zaryzykowała Dinah.

- Nie - odparł. - Ludzie, którzy to robią, zwykle dobrze siebie znają. Ja nie.

- A więc jesteś skryty?

- Nie. Jestem tępak. Zamarznięty na kość. Jak kamień, jak nieczuły robot.

Poruszał się jakby był gruby, jakby pod pachami był posmarowany klejem, a na tyłku próbował utrzymać jakąś małą rzecz. Nosił skórzane kurtki, dżinsy, czarne podkoszulki i drewniaki. Jeździł na motorze, miał kolekcję policyjnych odznak i obsesję na punkcie samochodów sprzed drugiej wojny światowej.

W szkole Dinah nasłuchiwała głuchego odgłosu jego kroków. Był z rodzaju chłopców, o których się myśli, że się ich odkryło, że nikt inny nie wie, że są atrakcyjni. Do czasu, kiedy dowiadujesz się, że prawie wszyscy o tym wiedzą.

Uwielbiała jego spojrzenia - odległe, nieobecne, szerszeniowate. Uwielbiała to, że nie umieli ze sobą rozmawiać, że czuła się przy nim onieśmielona, i że miesiącami uprawiali grę wstępną, zanim poszli do łóżka. Zanim oddała mu tę ostatnią, najlepszą część swojego dziewictwa. Tę część siebie, która nigdy nie miała orgazmu. Greg myślał, że Dinah jest dziewicą, a ona rzeczywiście czuła się przy nim dziewicą - mężczyźni lubią to, pomyślała. Kochała go.

Całowali się tak długo, że w końcu była to jedyna rzecz, jaką umieli robić. Poruszali ustami jak ryby. Greg patrzył na nią łagodnymi, wybałuszonymi oczami.

- Kiedy umrę, chcę, żeby moje ciało poddano kremacji i żeby moje prochy zostały rozsypane w twoich włosach - mówił, trzymając ją blisko siebie, na kolanach. - Jesteś niezwykła. Nie zasługuję na ciebie. Nikt nie jest ciebie godzien. Jesteś fenomenem, kometa, rzadkim stworzeniem, powstałym z materii i ognia. W porównaniu z tobą jestem podręcznikiem o silnikach samochodowych. Wyjdź za mnie i rozwiedź się, i zabierz wszystko, co mam.

Jego skórzana kurtka trzeszczała, kiedy ją tak trzymał.

Postanowili się pobrać i Dinah kochała go czule przez całe trzy dni. Jakby znalazła wreszcie schronienie, jakim była ta wzajemna miłość. Poznała coś nowego - zaufanie i oddanie.

Trzeciego dnia, kiedy Dinah zmywała makijaż, Greg powiedział do niej, myjąc zęby:

- Lepiej się do tego przyzwyczaj. Będziesz patrzyła jak to robię - każdego dnia przez resztę swojego życia.

Spojrzała na niego w chwili, gdy wypluwał pastę. „Przez resztę życia?” - pomyślała. - „Co on takiego mówił o tym, że nie zasługuje na mnie?” Greg skończył myć zęby i z gazetą w ręku poszedł do toalety. Tej samej nocy, kiedy patrzył na nią swoimi łagodnymi, wybałuszonymi oczami, Dinah po raz pierwszy poczuła, że uodparnia się na jego delikatność.

Zrozumiała, że wszystkich tych mężczyzn łączył wspólny mianownik - nie potrafili uporać się sami z sobą, a napięcie, jak za ciasny bandaż, owijało ich klatki piersiowe. Napięcie, którego sama doświadczała, w którego rytmie ona pulsowała albo za które ona czuła się odpowiedzialna. To był niezwykle spięty, bardzo męski samiec. Esencja męskości, prawie że karykatura. Coś tak wyraźnie nakreślonego, że nawet ona to zauważała. Jeśli ona miała być tą małą kobietką, to on musiałby być naprawdę wielkim facetem. Prawda?

Mężczyźni, którzy ją pociągali, zwykle byli spokojni, zamknięci w sobie, nieśmiali, po prostu byli inni. Byli na tyle przejęci samym wynikiem stosunku płciowego, że seks stawał się czymś w rodzaju środka łągodzącego napięcie. Zupełnie jakby jej pożądanie miało przerzucić ją przez wielką przepaść, jaką był ten obcy język, w którym seks staje się ulgą, a nie kontynuacją prowadzonej rozmowy. Prawie jedynym środkiem porozumiewania się. To było tak, jakby mężczyźni, z którymi umiała porozumiewać się bez problemu, nie brali żadnego udziału w tej intrydze, w tej tajemnicy, oznaczonej piętnem zmysłowości. A więc przyciągali ją mężczyźni z innych, obcych plemion. Kazali jej, jak człowiekowi pierwotnemu, upaść na kolana i cierpliwie czekać na kość. Należy przecież obdarować obcego.

Rzecz polegała na tym, aby zatrzymać mężczyzn w umyśle, a to znaczyło, że w rzeczywistości nie mogli istnieć w jej życiu.

W wersji bardziej optymistycznej - od czasu do czasu mogli się w nim pojawiać. Fantazję mierzy się podług rzeczywistości. Fantazja sięga nieba i przyćmiewa karłowatą rzeczywistość. Mężczyzna był trochę jak niebo - jeśli byłaś wystarczająco grzeczną dziewczynką, mogłaś sobie na niego, zasłużyć.

Gdyby tylko mogło być tak, jak sobie wyobrażałaś - ale tak nigdy nie jest i nie może być. Właśnie to głównie zajmowało umysł Dinah - jak jest naprawdę i jak powinno być. Próbowała zbudować między tym pomost, pogodzić te dwie sprzeczności. Ale tego nie da się pogodzić. Nigdy nie jest tak, jak być powinno.

Nie spełniali jej pragnień i właśnie po tym Dinah ich rozpoznawała, a potem karała za to, że nie potrafili żyć na poziomie, którego ona sama nigdy nie doświadczyła. Na poziomie fantazji. Dinah nie chciała poznać jakiegoś mężczyzny - chciała rzucić się na granat. Miał to być jednocześnie akt heroizmu, terroryzmu, odwagi, szaleństwa i obłąkanej miłości. Jej umysł był wciąż otwarty jak nadgryziona śliwka - widzisz, co narobiłeś? Mężczyzna, panoszący się po jej osobowości, mężczyzna któremu udało się przemknąć do środka, kiedy ona nie patrzyła. Nienaturalnie wysokie, delikatne brzęczenie natrętnej muchy: „Zgódź się, zgódź się?”

Wszystkie jej związki zdawały się być pozbawione blasku wiarygodności. Słyszała wcześniej, że prawda boli, więc kiedy nadchodził ból, rozpoznawała go właśnie dlatego, że był prawdziwy. Im gorzej sprawy się miały, tym bardziej wydawały się autentyczne. Była to jedna z niewielu rzeczy, które Dinah mogła określić jako rzeczywiste. Czy mogło być coś bardziej rzeczywistego niż bolesne uczucia? To przekłete oglądanie się na przeszłość i strach przed zrobieniem kroku naprzód?

Kim więc jest naprawdę? Kim była i kim będzie? Czasami czuła, że nie jest w stanie ciągnąć tego dłużej - tego, czym było życie, że boi się każdego następnego kroku. Coś złego stoi przed nią i czeka, szczyrzy zęby, patrzy przez ramię, daje znak, by szła do przodu. A ona jest na tyle głupia, że podchodzi bliżej, że idzie w stronę przepaści. Głupia, pełna ufności maszeruje w kierunku złego. I przez cały czas robi wszystko źle.

Aby móc zalecać się do samicy, wróbel musi mieć gniazdo. Nie ma znaczenia, czy gniazdo jest nie dokończony i nie uporządkowany, ponieważ później oboje mogą je uprzętnąć i doprowadzić do odpowiedniego wyglądu. Ważne jest to, aby samiec miał jakiegokolwiek gniazdo. Samice nie chcą mieć nic wspólnego z wróblami płci męskiej, nie posiadającymi jakiegokolwiek własności.

scandalous

6

Rudy i Dinah leżeli na kołdrze na podłodze. Księżyc oświetlał przez okno ich nagie, częściowo zasłonięte ciała. Rudy pogłaskał ją i pocałował.

- Nie mogę przestać cię całować - powiedział.

Dinah uśmiechnęła się i przekreśliła tak, żeby na niego spojrzeć. Czuła się spokojna, jakby ktoś niepostrzeżenie rozłożył na łopatki jej centralny układ nerwowy.

- Gorączka całowania - odparła.

Leżała teraz pod nim z twarzą zwróconą w jego stronę.

- Powiedz, że mnie kochasz - powiedział.

Jego usta były tuż przy jej policzku. Czuła na twarzy jego ciepły oddech. Próbowwała poruszyć brodą, odsunąć się odrobinę dalej.

- Mogłabym powiedzieć to w innym języku - mogłabym przez jakiś czas kochać cię po japońsku, po szwedzku, po grecku i potem przechodzić stopniowo na...?

- Powiedz to - nalegał.

Dinah zeszytniała. Czuła się uwięziona w jego objęciach.

- Ty to powiedz - wyszeptwała, lekko się czerwieniąc.

Rudy zamknął oczy i przyłożył usta do jej ucha.

- Kocham cię - powiedział cichym, poważnym głosem.

Zapadła cisza. Czuli jak ich wciąga i otacza.

- Teraz ty - pośpieszał ją ponownie.

Dinah przekreśliła na bok głowę. Patrzyła na stojące po drugiej stronie pokoju biurko, krzesło i kosz na papiery. Wstrzymała oddech.

- *Ai ishete imasu* - wyszeptała cicho po japońsku. - Kocham cię - przetłumaczyła, wsłuchując się w swoje słowa, by sprawdzić na ile prawdziwie zabrzmiały.

Miała nadzieję, że jeśli wypowie to zdanie wystarczająco cicho - rozplynie się w powietrzu, zanim zacznie się liczyć, i zanim zacznie znaczyć. Dla niej „kocham cię” było pustym frazesem, czymś co się tylko mówi. Namiastką, próbą manipulacji. „Kocham cię” miało uspokajać i zapewniać... o czym? Ale jeśli uzna, że Rudy ją kocha, to powróci samotność, którą czuła przez te wszystkie lata, kiedy go nie było. Może w rzeczywistości nikt jej wtedy nie kochał. Teraz mogła zacząć się obawiać, że będzie zależna od tego, co on jej zaproponuje. Jeśli powie głośno, że go kocha - nie będzie mogła już tego cofnąć. Zostanie zaksięgowane, a księgi trwają wiecznie.

Rudy pocałował ją. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Ja\kocham cię za twój umysł, a ty kochasz mnie za moje ciało - powiedziała Dinah. - To znaczy, ja lubię twoje ciało, a ty cenisz mój umysł, ale, ogólnie rzecz biorąc, procentowo to się nie zgadza - przerwała nagle i zastanowiła się. - Jeśli cenisz kogoś za jego umysł, to na ile udany może być seks z tą osobą?

Zmarszczył brwi.

- Cóż, jest kilka możliwości - odparł. - Albo wcale nie jest taki udany, albo jest jeszcze lepszy, ponieważ jest dalszym ciągiem rozmowy. Wspaniałej rozmowy.

- Cenisz mnie za moją umiejętność konwersacji?

Przymrużył oczy, najwyraźniej próbując się skupić. W końcu powoli pokręcił głową.

- Hmm, raczej nie - powiedział, zajęty własnymi myślami.

Dinah uśmiechnęła się.

- Za seks? - zapytała.

Zastanowił się przez chwilę.

- Hmm, nie.

Roześmiała się.

- Więc za co? Rozśmieszam cię?

Zacisnął usta.

- Cóż, może, ale... nie, to też nie... Jesteś taka dziewczęca - powiedział w końcu.

- W jakim sensie?

- W najlepszym.

Znów się roześmiała i pocałowała go w usta, przytrzymując jego dolną wargę.

- Nachyl się. No nachyl się, żebym mogła przejść.

Powstrzymał się od ziewnięcia.

- Co robisz jutro? - zapytał.

- Próbuję o tobie zapomnieć.

- Po tym wszystkim?

- Nie ma nic po tym wszystkim - odparła. - A ty - co robisz jutro?

- Drobne rzeczy, które upewnią mnie, że nie zapomnisz o mnie.

Przez kilka tygodni kochała go w głębi serca, a teraz, po raz pierwszy, otwarcie przyznała się do tej miłości. Będzie dobrze. Wszystko teraz będzie dobrze. Leżą tak sobie i tworzą radosną mieszkankę żywotności i pewności siebie w miłej, leniwej atmosferze. Znalazła kogoś. Mężczyznę, do którego mogłaby przylgnąć. Rudy trzymał swoją ciepłą dłoń na wysokości jej krzyża, otaczał ją, usidlał. Całowali się. To właśnie ten mężczyzna jest twoją nadzieją, więc po co ten pośpiech? Za szybko podążała w stronę granicy, za którą będzie miała go dosyć. Zgadziali się ze sobą, lubili się, ich odczucia nakładały się na siebie - była to pełna dobra, jakby spokrewniona ze sobą miłość.

Rudy przeciągnął się i rozejrzał po swoim pokoju.

- Kocham to miejsce - powiedział. - Czasami mam wrażenie, jakby potrzebowało tylko kilku drogich zabawek i trochę dziecięcych rzeczy. Wiesz, oznaki życia, trochę pozorów. Wtedy mógłbym po prostu udawać wyczerpanego, i mówić, że rodzina wyjechała ze zwierzakami na dłuższy weekend, dając mi możliwość zasłużonego odpoczynku. Rower na trzech kółkach w przedpokoju, psia kość na schodach, urwana ręka lalki. Ślady życia, nie istniejącego życia.

Dinah odsunęła się od niego i chcąc mu dokuczyć zaśpiewała: „Tak dużo nas łączy, to prawdziwy cud?” Rudy śpiewał z nią razem; po chwili przyciągnął ją z powrotem do siebie, przygniół swoim ciężarem. „Powinniśmy hodować konie, nasze siły są niespożyte.”

- Ale z ciebie innowator - zaśmiała się. - Albo nowator, nie mogę sobie przypomnieć, który.

Zsunął się z niej. Dinah przejechała dłońmi po jego gładkim ciele. Rudy naciągnął kołdrę i przytulił Dinah do siebie.

- Mam ochotę na gorącą czekoladę - powiedział, błędząc gdzieś myślami.

- Poszukam - zapewniła go. - A jeśli nie znajdę, wyjmę własną pierś.

Uśmiechnął się i delikatnie otarł się policzkiem o jej włosy.

- Wyjmij pierś, a zapomnę o czekoladzie - odparł i ścisnął jej ramię.

Gdzieś daleko zatrafił samochód.

- Żyjemy w takim samym rytmie, dlatego właśnie się dogadujemy - ciągnął, patrząc w ciemny sufit. - Kiedy ludzie żyją w różnym rytmie, nie chcą wtedy być blisko siebie. A jeśli nie odpowiada ci czyjś rytm i... gust... Gust też musi ci odpowiadać.

- No dobrze - powiedziała nagle rzeczowo. - Każda kobieta przedstawia listę twoich zalet i w ten sposób tworzy lepszą wersję twojej osoby. No wiesz, nowszą wersję, tę, którą wolisz. Więc co takiego mówiła o tobie Vicki?

- Że... że byłem... nie wiem... utalentowany. Bardzo utalentowany. Genialny. Ona też była dramaturgiem, więc?

- Racja, Victoria Hanover. Kobieta-dramaturg. Kiedy kobieta pisze sztuki, to są to sztuki dla kobiet. Mężczyźni tworzą po prostu sztuki.

Rudy niewyraźnie pokiwał głową.

- A Anna? Co ona ci mówiła?

- Hmm... że jestem miłym facetem. I że jestem przystojny. Dinah zaczęła przewracać oczami.

- A ja?

- Hmm... że jesteśmy podobni. Bratnie dusze, tacy sami. Szturchnęła go lekko.

- To ty mi to powiedziałeś.

Wsunęła się na niego. Położyła głowę na jego piersi.

- Mam kolegę malarza, który powiedział mi jedną wspaniałą rzecz. Mianowicie, że dawno temu żyły plemiona wędrowców, a każde z tych plemion miało swojego czarownika. Teraz nie ma już plemion, ale wciąż istnieją czarownicy i od czasu do czasu można ich spotkać. Czasami spotykasz kogoś ze swojego plemienia. Może tak właśnie jest z nami. Nie jesteśmy może czarownikami, ale pochodzimy z tego samego plemienia. Ty jesteś moim ssakiem. Wszyscy jesteśmy połączeni, jak bliźniaki, które mają przyjść na ten złowrogi świat.

Rudy spojrział na nią surowym wzrokiem, mocno ściskając jej ramiona.

- On ci to wszystko powiedział? Kim jest ten facet? Czy powinienem być zaniepokojony?

Dinah zaśmiała się. Pocałowała go. To był delikatny pocałunek, który stawał się coraz bardziej namiętny. Ich ciała sploły się.

- Odłóżmy na bok te poważne rozmyślenia - wyszeptał z ustami przy jej szyi.

Jedną rękę trzymał na jej plecach, drugą przytrzymał jej głowę i zagłębiał się w nią coraz dalej i dalej, aż stała się osobą w niczym nie przypominającą tej Dinah, którą była bez niego. „Panie i panowie” - szeptała w myślach - „mamy nowego prezydenta”. „Raczej dyktatora” - mamrotała jej podświadomość i rzucała złowrogie spojrzenia swoimi żółtymi oczami. „Prezydenta” - powiedziała niepewnie. „Dyktatora, władcę, właściciela, króla” - warczała podświadomość. „Może chłopaka?” - zaproponowała Dinah cicho i nieśmiało. Usłyszała kpiący śmiech.

Widzimy jak duża, męska ręka zakłada złotą ślubną obrączkę na palec jasnej, wypielęgowanej dłoni. Kamera cofa się i ukazuje Blaine'a i Rose, ubranych w ślubne stroje. Blaine unosi welon, odkrywając piękną, promienną twarz Rose, pochyła się i całuje ją. Nagle rozlega się strzał.

Rudy obudził się i usiadł na łóżku.

- Co się stało?

- Miałem sen.

Dinah przytuliła się do niego, ziewając.

- Jaki sen?

- Próbowaliśmy przejechać samochodem przez most. Most George'a Washingtona. Nie chciałem zapłacić trzydziestu pięciu dolarów i pięćdziesięciu centów za Szekspira. Chciałem przejechać inną drogą.

Położyła go z powrotem na plecach i pocałowała w gorącą, wilgotną szyję.

- Spij - próbowała go delikatnie przekonać. - Teraz nie musisz już płacić za Szekspira. Ja to zrobię. Śpij.

Kiedy znów się położył, nie wyglądał na kogoś przekonanego i pozwolił się pocieszyć.

- Ja zapłacę - powiedziała łagodnie. - Śpij.

Sala sądowa. Sędzia surowym wzrokiem patrzy na dwoje ludzi - na bardzo atrakcyjną, niezręcznie zachowującą się parę. On jest niebieskookim blondynem, ona ma lekko rudawe włosy, prawie że blond z odcieniem czerwieni, i ciemnozielone oczy. Stoją oddzielnie i z powagą obserwują/sędzię. Nie patrzą na siebie. Dwóch adwokatów siedzi za stołami po przeciwnych stronach - jeden po stronie żony, drugi po stronie męża. Sędzia z okularami do czytania na nosie uważnie przegląda swoje notatki, po czym zwraca się do młodych małżonków:

- Tu jest napisane, że byliście razem przez pięć lat i przez rok byliście małżeństwem. Czy to prawda, panie? - znowu zagląda do notatek - panie MacDonald? Blaine i Rose MacDonald.

Blaine przesuwa się odrobinę, ręce krzyżuje na piersi.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia ma poważny wyraz twarzy.

- Domyślam się, że małżeństwo zepsuło wasz związek. Czy mam rację, pani MacDonald?

Spogląda ponownie na notatki.

- Tak jest - łagodnym głosem odpowiada Rose.

- Nie ma żadnej szansy na pogodzenie? - pyta sędzia szorstkim tonem i odkłada na bok papiery.

Adwokat Blaine'a podnosi się trochę i mówi:

- Powołujemy się na niezgodność charakterów, Wysoki Sądzie.

Sędzia ma pogardliwy wyraz twarzy.

- Niezgodność charakterów, niech mnie diabli! Za moich czasów sami radziliśmy sobie z tym. Zdaje się, że teraz ona radzi sobie z nami, a raczej - bije nas na głowę. Cóż, wnioskuję, iż nie ma żadnych spraw majątkowych oraz że nie macie dzieci. W związku z tym, zgodnie z prawem, po roku separacji wasz związek zostanie unieważniony.

Sędzia uderza młotkiem.

- Następna sprawa.

W tej chwili Blaine i Rose po raz pierwszy patrzą na siebie. Rose odzywa się pierwsza:

- Cóż? - mówi.

Blaine spogląda przez ramię w stronę rozmawiających ze sobą adwokatów. Kolejna para podchodzi do sędziego. Wkłada ręce do kieszeni i przełyka ślinę.

- Zdaje się, że powinniśmy poczuć ulgę.

Rose śmieje się nerwowo, ukazując lśniące, równe zęby.

- Nie należę raczej do ludzi, którym to przychodzi z łatwością.

- Tak, no cóż?

Blaine bezwiednie, niemalże w zabobonnym geście dotyka krawata.

- Zdaje się, że chyba jednak nie byliśmy z tego samego ple-
mienia.

Rose patrzy, jak Blaine odchodzi. Muzyka. Kamera najeżdża na jej oświetloną twarz. W jej oczach lśnią łzy.

Ujęcie się kończy. Na ekranie pojawia się jaskrawe, czerwone serce przebite strzałą. Widnieją na nim napisane w poprzek nie-
starannym pismem słowa „Pragnienie serca”.

Dinah i Connie siedziały w kontrolce i oglądały scenę sądową na monitorach. Kiedy pojawiło się czerwone serce, Connie wstała i podeszła do swojej torby, która leżała na małej, stojącej w kącie lodowce. Wyjęła z niej butelkę z lekarstwem i wypila dwa łyki.

- Nie powinnam była dzisiaj przychodzić - jęczała. - Mam takie silne skurcze, że mogłyby zatopić statek.

Dinah westchnęła i zakryła ręką oczy.

- Statki nie dostają skurczy - wyjaśniła jej cierpliwie. - Wydaje mi się, że wyrażenie, które miałaś na myśli, brzmi po angielsku „mieć skurcze, które mogą wywołać trzęsienie ziemi”. To z holenderskiego „branden tianan met blood”, albo z celtyckiego?

- Dobra - przerwała jej Connie. Zapaliła papierosa i poczęstowała Dinah. - Przeszanę narzekać, jeśli tobie poprawi się humor.

Dinah zapaliła papierosa.

- Co za zmiana - powiedziała, ustami i nosem wypuszczając dym.

- Czy to ta scena nie daje ci spokoju? - spytała Connie.

Na dole, w studiu ekipa rozbierała dekoracje i przygotowywała kolejne ujęcie.

- Nie, nie - skłamała Dinah. - Nie bardziej niż zwykle. Parczenie na Rudy'ego, którego przedstawia ten niby z południa biały anglosaski protestant i na siebie, graną przez tę obłądnie śliczną dziewczynę od Brecka jest wciąż jakimś rodzajem oczyszczenia.

Ręką, w której trzymała papierosa dotknęła czoła.

- Czy Breck jeszcze istnieje? - zapytała niejasno po krótkim namyśle.

- Czy Rudy wie, że został unieśmiertelniony w serialu?

Dinah oparła się o krzesło i położyła nogi na konsolce, jak to mieli w zwyczaju naczelnicy scenarzyści „Pragnienia serca”.

- Wie. Siostra mu powiedziała, ale on nigdy tego nie oglądał. Kiedy byliśmy ze sobą, widział to kilka razy, żeby mi zrobić przyjemność, ale... - wzruszyła ramionami. - I tak by mu się nie spodobało, chociaż Blaine stał się jednym z najpopularniejszych bohaterów - uśmiechnęła się do siebie. - Gdybym myślała, że będzie to oglądał, mogłabym przekazać mu coś szyfrem. No wiesz, coś jak wiadomość w zakorkowanej butelce.

Ostatni raz porządnie zaciągnęła się papierosem i zgasiła go. Connie obserwowała ją uważnie.

- Zadzwońisz do niego, kiedy pojedziesz do Nowego Jorku?

Dinah wyglądała na poirytowaną:

- Co ty jesteś, CIA? - Spojrzała na monitor. - Są gotowi - powiedziała, wskazując na przygotowane na dole dekoracje.

Wcisnęła guzik na pulpicie sterowniczym.

- Obejrzyjmy próbę - zdecydowała.

Mężczyzna na dole podniósł kciuki do góry na znak, że mogą zaczynać. Nie odrywając wzroku od monitora Dinah powiedziała:

- Nie zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu. Mam teraz trochę więcej samodyscypliny. Nie widziałam się z nim od ponad roku. Pamiętasz. Spotkaliśmy się w Los Angeles po premierze jego sztuki. I dobrze wiesz, jaki to był błąd. A nawet jeśli do niego zadzwonię, to nic ponadto. Nie spotkam się z nim. Albo, jeśli się z nim spotkam, to na pewno nie wieczorem - w dzień i na jakimś neutralnym gruncie. I z pewnością nie będę się z nim pieprzyć - to byłaby katastrofa.

Jeszcze raz wcisnęła guzik.

- Akcja - powiedziała.

Connie uśmiechnęła się, zapaliła jeszcze jednego papierosa i popatrzyła na monitor.

Blaine stoi i wali w drzwi.

- Rose - woła.

Cisza. Uderza ponownie.

- Rose, wiem, że tam jesteś. Otwórz!

Nad nim otwiera się okno i pojawia się w nim śliczna twarz Rose.

- Idź stąd, Blaine - mówi Rose drżącym głosem. - Umówiliśmy się, że nie będziemy się widywać.

- Chcę porozmawiać - Blaine nalega. Oczy mu błyszczą, w jego jasnych włosach odbija się światło.

- Ty nie chcesz rozmawiać! Ty chcesz...

- Wpuść mnie! - krzyczy Blaine, waląc w drzwi ramieniem.

Drzwi otwierają się i przenośna kamera podąża za Blaine'em do środka. Rose cofa się do kąta.

- Zrozum, Blaine. Musiałam pokonać bardzo długą drogę, żeby to, co do ciebie czuję zamienić jedynie w stłumiony krzyk.

Blaine podchodzi bliżej, ona wciąż się cofa i mówi dalej:

- Chyba zawsze będę cię kochać, ale tak, jak kocha się swój kraj.

Blaine jest coraz bliżej. Rose opiera się o ścianę. Wyciąga przed siebie ręce, chcąc zatrzymać go na odległość ramienia.

- Nie mam na myśli swojej ojczyzny. Nie, nie. Mówię o czymś takim jak na przykład region Skandynawii.

Blaine jest już przy niej, obejmuje ją. Ona odpycha go, nie zgadza się, wreszcie - poddaje się.

- Albo Pakistan - wzdycha.

Ich usta spotykają się.

Kiedy zaczynają osuwać się na podłogę, muzyka staje się coraz głośniejsza.

- Zdecyduj się w końcu - słychać cichy głos Blaine'a. - Pakistan czy Skandynawia?

Skupiając oko kamery na stojącym na pianinie globusie, obraz stopniowo zanika.

Szop kładzie łapy na ramieniu samicy i gryzie ją w szyję. W ten sposób wywołuje u niej trwający piętnaście minut paraliż mięśni.

7

Dinah - odezwał się czyjś głos, po czym nerwowo zakaszła.

Coś okropnego w jej wnętrzu zaiskrzyło się i poruszyło. Zesztywniała.

- To ja, Rudy - powiedział.

- Rudy - powtórzyła, jakby chciała przetłumaczyć sobie to imię.

- Rudy - powiedział raz jeszcze. - Rudy Gendler, pamiętasz? Ten z późnych lat siedemdziesiątych do połowy osiemdziesiątych?

- Ach, ten Rudy Gendler - zaśmiała się nerwowo. - Wiesz, tylu facetów, którzy nazywają się Rudy Gendler spotyka się dzisiaj... Gdzie jesteś?

- Tutaj.

- To znaczy?

- Tu gdzie ty.

- W Los Angeles? - zdziwiła się. - Przecież ty nienawidzisz Los Angeles!

- Ty też, w głębi serca - powiedział. - To miasto firm i biurwców. Tak właśnie mówiłaś. Kiedy jesteś wieczorem w Nowym Jorku - czujesz, że każdy jest gdzieś poza domem i świetnie się bawi, a w Los Angeles - wiesz, że wszyscy są w domu i grzecznie leżą w łóżkach. Zdaje się, że życie tutaj jest zbyt słodkie.

- Ja tu pracuję.

- Właśnie, jak praca?

- Strajk pisarzy - odpowiedziała.
- Pisanie tekstów do seriali zalicza się do poważnego pisania? - wykrzyknął ironicznie. - Ciekawe, co oni jeszcze wymyślą?
- Wszyscy nie mogą być wielkimi artystami tak jak ty.
- Nawet ja sam - odparł. - Nawet ja nie mogę być tak wielkim artystą.
- Czyż nie brakuje ci tych naszych ożywionych dyskusji?
- Właściwie - powiedział, krążąc gdzieś myślami - Brakuje mi. Muszę to przyznać.

Rudy mówił to wszystko, błędząc myślami daleko, jakby cała ta rozmowa nie zasługiwała na jego całkowitą uwagę. Komunikowanie się z innymi było dla niego czymś w rodzaju hobby, niezbyt interesującym zresztą, któremu poświęcał się od czasu do czasu. Mówił łagodnym głosem, ale z pozycji osoby, która znowu jest górą. Jego głos był cichy, zgaszony, niemalże jak głos rekonwalescenta, który dochodzi do zdrowia po ciężkiej próbie, na jaką wystawiła go własna osobowość. Jakby wypowiedane oszczędnie słowa przychodziły gdzieś z daleka i jakby samo brzmienie jego głosu mogło przebudzić go ze snu, w którym pogrążone było jego jestestwo. Pocałunek mógłby go odczarować, jak przemienił żabę w księcia. Mógłby?

- Więc? - zaczęła Dinah nieśmiało.
- Więc? - powtórzył. - Nie ma strajku autorów seriali.
- W radiu tego nie puszczać - odparła z roztargnieniem, próbując naśladować Rudy'ego.

W odróżnieniu od jego głosu, głos Dinah brzmiał jak dzwonek, który zaprasza na ucztę, na której ona sama jest głównym daniem.

- W radiu tego nie puszczać? - powtórzył. - A cóż to takiego?
- Nic. To tylko puenta starego dowcipu, który znałam w szkole średniej.

- Puenta dowcipu? - zdumiał się, próbując to zrozumieć.

Dinah westchnęła.

- Dwa słonie biorą kąpiel i jeden z nich mówi do drugiego: „Rzuć mydło”, a ten drugi odpowiada: „W radiu tego nie puszczać”.

- Nie rozumiem.

- Wcale nie masz rozumieć - wyjaśniła mu niechętnie. - To głupi dowcip. Mówisz go kilku osobom, które go znają i komuś, kto

go nie zna. Kończysz tym zdaniem i masz nadzieję, że wszyscy, łącznie z tym, który go nie zna, zaczną się śmiać, a ty? Zresztą, nieważne. To głupota. Chciałam ci tylko powiedzieć, że trwa strajk pisarzy.

- Nie, nie. Rozumiem - odparł. - Jeśli tamten zacznie się śmiać, wychodzi na kompletnego idiotę, tak?

- Tak. I wszyscy go dołują za to, że udawał, że rozumie.

- Atakują go za to, że chciał, by go zaakceptowali - powiedział Rudy, pogrążając się w zadumie.

- Chyba tak - odparła.

Zdenerwował ją. On naprawdę to umiał.

- To okropne - powiedział z zadowoleniem w głosie.

- Widzisz - to jeszcze jeden powód, dla którego powinieneś się cieszyć, że nie jesteśmy razem i że nie mieszkasz w Los Angeles.

Rudy charakterystycznie zakaszłał. Opuściła głowę i zamknęła oczy. Czekwała.

- Di - zaczął.

- Tak? - powiedziała łagodnie - cudzym głosem, należącym do kogoś młodszego i bardziej bezbronnego.

- Chcesz iść na kolację?

- Nie mogę iść z tobą na kolację, Rudy - powiedziała dzielnie.

- Pewnie, że możesz. Dlaczego nie?

- Z tego samego powodu, co wcześniej.

- Wcześniej byliśmy na obiedzie - przypomniał niepotrzebnie.

- To było ponad rok temu. Poza tym obiad jest bezpieczniejszy.

Ty zapraszasz na kolację. Wiesz, co się stanie, jeśli pójdziemy razem na kolację.

- Przypomnij mi.

Dinah westchnęła.

- Wciąż darzę cię nierealnym, romantycznym uczuciem - powiedziała cichym, spokojnym głosem - i nie mogę się z tobą spotykać, dopóki ono nie minie.

- Ono nigdy nie minie całkowicie. Poza tym - ja czuję to samo - przełkną ślinę. - I najgorszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to je mitologizować. Jeśli nie będziemy się spotykać, ono będzie stawało się coraz silniejsze. A jeśli wrócimy do rzeczywistości, to wszystko ulegnie demistyfikacji. Staniemy się dla siebie bardziej realni.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić - wyszeptła Dinah.

- Dinah, ja mówię o spojrzeniu prawdzie w oczy - powiedział. -
Mówię o kolacji.

Nastąpiła długa, dobrze im znana cisza, która zamknęła ich w niedostępnym, szczelnym kokonie osobnych światów.

Dinah pojechała do hotelu. Zadzwoiła do Rudy'ego z holu.

- Zaraz będą na dole - powiedział.

Stała sobie tak, próbując wyglądać zwyczajnie i starając się opanować strach. „Zresztą, kogo to obchodzi? Boję się, no to trudno.” - myślała. - „On już pewnie kilka razy zmieniał koszulę.”

Wreszcie przyszedł. Nie wyglądał radośnie, a nawet jeśli się uśmiechał, to jakoś chłodno. Płonął niczym zimny ogień, obojętnie.

Spojrzeli najpierw na siebie, a potem każde w inną stronę.

- Cóż. Rozluźnimy się. Najgorsze jest kilka pierwszych minut - powiedział.

Kiedy to mówił, obserwowała jego profil. Twarz Rudy'ego nie wyrażała żadnych emocji. Doszła do wniosku, że starał się być opanowany - jakby był hermetycznie zamkniętą, wodoszczelną puszką. Z nią było odwrotnie - ona przeciekała w wielu miejscach. Nie umiała ukrywać swoich uczuć, w odróżnieniu od niego. On opanował tę sztukę do perfekcji.

Jako że z ojcem nie łączyło jej praktycznie żadne uczucie, związek z Rudym był najbardziej znaczącym związkiem z mężczyzną w całym jej życiu. Kiedy się pojawił, to było tak, jakby świat stanął przed nią otworem. Nad jej głową, jak na mapie, pojawiła się strzałka z napisem „jesteś w tym miejscu”. Rudy był jej punktem odniesienia. Kiedy byli razem - to byli razem, a kiedy była sama - to znaczyło, że „nie jest z Rudym” i był to stan równie wyjątkowy. Wymagający od niej równie dużo. No - prawie.

- Schudłaś - powiedział łagodnym głosem, kiedy wsiadali do samochodu.

- Naprawdę? - odparła i zmarszczyła brwi. - Myślę, że po prostu zapamiętałaś mnie grubszą, niż jestem. Poza tym, jest noc. A w nocy wszyscy wyglądają szczuplej.

Prawie się uśmiechnął.

- Cieszę się, że sama możesz mi to powiedzieć. Wyobraź sobie - jak można przeżyć tyle lat nie wiedząc, że w nocy wygląda się szczuplej.

Dinah zaczerwieniła się.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu, ciągle przypominając sobie, że musi jeszcze oddychać. Uruchoмиła silnik i zapiełi pasy. Rudy wręczył jej kilka kopert.

- Co to jest? - zapytała.

- Przyszły do ciebie - odparł.

Dinah wzięła listy.

- Ostatnio?

- Tak. Pewnie nie widzisz Vicki Hanover? - zapytał.

- Twojej eks-przyjaciółki? - zaśmiała się, ruszając z miejsca. - Raczej nie.

Radio nadawało na cały regulator. Los Lobos śpiewali piosenkę „Powiedzmy sobie dobranoc”. Dinah szybko ściszyła.

- A dlaczego pytasz?

- Do niej też przyszło kilka listów - odparł, patrząc przez okno, kiedy wyjeżdżali z hotelowego parkingu prosto w czarną noc Los Angeles.

- Gdzie chcesz zjeść? - spytała, spoglądając w tylne lusterko. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna ubrać się mniej elegancko, żeby sobie nie pomyślał, że jej na nim zależy. Zresztą, niech to diabli, i tak wiedział, że jej zależy.

- Wszystko jedno - powiedział, obserwując jej profil.

- To ty jesteś mężczyzną - przypomniała mu. - Ty decydujesz.

- Ja jestem gościem.

- Dobrze, masz rację. Więc co lubisz? Włoską kuchnię, tak?

- Jasne, może być włoska. Albo japońska.

- Oczywiście - przypomniała sobie. - Bułeczki kalifornijskie.

- Właśnie o to chodzi. To jedna z głównych rzeczy, jakie lubię w Kalifornii. Tutejsze bułeczki. Co słyhać u Kevina?

Dinah zaśmiała się.

- Co za zmiana tematu - od bułeczek do Kevina.

- Właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, to one łączą się ze sobą.

- Pokłóciliśmy się - powiedziała, nie zważając na jego uwagę.

- Bardzo?

Spojrzała na niego.

- Bardzo.

- To niedobrze - uśmiechnął się.

- Owszem. Cóż, każdy związek to ciężka sprawa. Jak mówi mój dziadek: „To ciężka sprawa, nawet jeśli wszystko dobrze się układa”.

- Zgadza się - westchnął Rudy. - Właśnie, a jak się miewają dziadkowie?

- Jeśli chodzi o trudne związki? - zaśmiała się. - Z dziadkiem wszystko w porządku. Babcia miała udar.

- Przykro mi.

- Na szczęście jej osobowość niezbyt na tym ucierpiała.

- To dobrze.

- Więc jaka to ma być restauracja? Włoska czy japońska?

- Wszystko jedno. Jakakolwiek. Japońska.

- Japońska - powtórzyła Dinah i raptownie skręciła w górę ulicy Coldwater, kierując się na drugą stronę wzgórza. Poniżej migotały rozciągające się aż do gór San Bernardino światła doliny.

- Chyba że ty nie chcesz iść do japońskiej restauracji - zawahał się Rudy. - Chwileczkę, przecież ty tak naprawdę nie lubisz japońskiej kuchni.

- Jeśli mają jakitori, to lubię.

- Racja, jakitori. Ty jesteś tą dziewczyną, która lubi jakitori. Więc? O co się pokłóciliście?

- Pokłóciliśmy?

- No z Kevinem.

- Ach, tak, z Kevinem. Cóż, naprawdę chcesz to usłyszeć?

- Pewnie, że chcę.

- Dobra. Wróciłam do domu z seminarium...

- Wciąż chodzisz na seminaria?

- Tak - odparła nieśmiałym głosem - chodzę. Nieważne. Wróciłam do domu, a Kevin czekał na mnie w moim pokoju i oglądał telewizję...

- Mieszkaliście wtedy razem?

- Nie, nie, on po prostu znał szyfr w moim zamku i czekał na mnie. Nie lubił wychodzić ze mną, co powinnam od razu potraktować jako przestrożę. To znaczy, przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, poznał tylko dwoje z moich przyjaciół. W dodatku przez przypadek. Ja nigdy nie poznałam nikogo z jego znajomych.

- Tak, ale Di?

- Nigdy nie mów do mnie Di.

- Jesteś wyjątkowo towarzyską osobą. Myśmy też mieli z tym problemy.

- Daj spokój, co to jest - męska solidarność?

- Di, ciągle do nas wydzwaniały setki osób. Bez przerwy ktoś u nas przesiadywał. Czasami wydawało mi się, że muszę zamawiać sobie wizytę. A ja przecież z tobą mieszkałem, na litość boską!

- Myślałam, że chcesz usłyszeć o Kevinie.

- Chcę.

- Więc pozwól mi dokończyć.

- Jasne, mów dalej, .

- Chyba że nagle poczujesz, że to sprowadza cię na drogę wspomnień, prowadzącą do piekła, jakim był nasz związek.

- Nie, nie, mów dalej. Przepraszam, że ci przerwałem.

- Dobrze - zastanowiła się przez chwilę. - Na czym skończyłam?

- Na tym, że nigdy nie poznałaś nikogo z jego przyjaciół.

- Zgadza się. Żadnych przyjaciół, żadnej rodziny, nikogo. Jeśli się nad tym zastanowić, wydaje się to trochę dziwne. Przecież byliśmy razem przez ponad pół roku. Więc wracam z tego seminarium, a on siedzi na łóżku i ogląda telewizję...

- Nie jestem pewien, czy chcę to usłyszeć do końca.

- Nie, nie, to wcale nie było tak, jak myślisz. Nie będzie żadnych obscenów. Kevin siedział na łóżku w ubraniu, miał tylko zdjęte buty, i oglądał telewizję. A Toni, mój szczeniak - kilka dni wcześniej dostałam szczeniaka - leżał na podłodze, płakał, jęczał i skamlał. To było okropne, bardzo męczące i trwało od tygodnia. Więc siadam na łóżku - telewizor gra, Toni się wydziera... Sama nie wiem - może, ale tylko może, nie zwracałam na niego wystarczająco dużo uwagi. W każdym razie, Toni piszczy, a ja się odwracam i krzyczę na cały głos: „Toni!”, a wiesz, jak ja głośno mówię normalnie, a co dopiero jak krzyczę. Kevin nagle sztywnieje i odchyła się do tyłu, a ja myślę sobie „aha, no to pięknie”. Więc pytam: „Co?”, a on patrzy na mnie głupio i mówi: „, Nic. Po prostu nie lubię krzyku, to wszystko.” A ja na to: „Ja też nie, ale on tak się zachowuje od tygodnia, poza tym nie krzyczałam na ciebie”. Kevin zeskakuje z łóżka, łapie buty i mówi: „Nie bawi mnie to” - wychodzi i odjeżdża.

- No właśnie - odjeżdża. Ty tego nie lubisz - zauważył Rudy. - Nigdy nie lubiłaś, kiedy podczas kłótni chciałem wyjść na spacer,

żeby trochę ochłonać. I tak nie wiem, jak mogłaś umawiać się z kimś o takim imieniu. To brzmi prawie jak Osmónd.

- Mogę dokończyć? - zapytała Dinah.

- Jasne.

- Zresztą nie wiem. To już w zasadzie koniec. Zadzwoił do mnie z telefonu w samochodzie...

- On ma telefon w samochodzie? - przerwał jej Rudy. - A więc o to chodzi.

- Nie miał go, kiedy go poznałam - powiedziała na swoją obronę. - Dopiero go dostał. Był zupełnie nowy.

- Więc to jest prawie w porządku - odparł. - Z twojego punktu widzenia.

- Dzięki. Dzwoni i mówi: „Co trzeba zrobić, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę? Zakreć ci bat wokół szyi?” Ja mu na to: „Jak śmiesz?” Później mówił, że nazwałam go zasańcem, co jest zupełnie możliwe. W każdym razie, on zapytał: „Jak śmiem?” - i odłożył słuchawkę.

- I co się potem stało? - zapytał Rudy.

- Byłam bardzo przygnębiona.

- Domyślałam się. Ale nie może być cała historia.

- Nie - odparła w zamyśleniu. - Chociaż - w zasadzie tak.

Więcej prawie nic nie ma. Kiedy odłożył słuchawkę, zadzwoniłam na numer jego automatycznej sekretarki, bo wiedziałam, że nie mógł jeszcze dojechać do domu, a chciałam mu zostawić wiadomość. Nie pamiętam jej dokładnie, ale brzmiała mniej więcej „Nie wiem, co się stało, ale nie widzę potrzeby, żeby rozprawać się z tym tak po syćylijsku”. Naprawdę nie dawało mi to spokoju. Przez cztery dni do mnie nie zadzwonił i wiedziałam, że to koniec. I że nigdy nie będę w stanie zrozumieć tego, co się stało - ale to chyba kwestia odmiennych wzorców kulturowych. Powinnam wiedzieć, że nie można się umawiać z facetem, który mówi o sobie jak o kimś, kto jest w drugim pokoju.

- Co to znaczy?

- Nic takiego. On sam sobie prawił komplementy. - Na przykład: wiele osób "może mnie potępiać, ale ja jestem uczciwy bez względu na sytuację i jestem całkowicie oddany mojej rodzinie.

- Naprawdę tak powiedział?

- Nie dosłownie, ale coś w tym stylu. Jakby był tajemniczym idealnym Amerykaninem, który dzieli się ze mną swoją tajemnicą. Jakby był prospektem reklamującym jakiś towar.

- Cóż - zacznij Rudy - czym on właściwie się zajmował?

- Był prawnikiem - odparła. - Prawnikiem w branży estradowej. Rudy westchnął.

- Nie dziwi mnie tak bardzo, że chodziłaś z prawnikiem - powiedział. - Dziwi mnie, że tak łatwo się do tego przyznajesz.

- Chyba masz rację. Myślałam, że jestem bardziej niż dotąd bezpieczna. Prawnik to prawie normalny zawód.

- Wcale nie - odparł Rudy. - To wyzyskiwacze. Posługują się prawdą jakby to było kłamstwo. Poza tym... z branży estradowej, a to zupełnie co innego. Ci ludzie są ciągle sfrustrowani i w końcu przelewają swoje frustracje na innych. W tym są bardzo pomysłowi. W dodatku on nie jest Żydem - stąd bierze się twój problem kulturowy.

- Skąd wiesz, że on nie jest Żydem? - zapytała. - Nie przypominam sobie, żebym ci to mówiła.

- Ma na imię Kevin - wytłumaczył jej. - Nie ma Żydów o takim imieniu. Chociaż muszę przyznać, że telefon w samochodzie na chwilę zwałił mnie z nóg.

- To się ocknij wreszcie! - wykrzyknęła za śmiechem. - Ja też nie jestem do końca Żydówką.

- Równie dobrze mogłabyś być.

- Ja, Marcus Welby.

- Ja myślę o tobie jako o Żydówce - powiedział. - Kto to jest Marcus Welby?

- On jest tym doktorem, którego kiedyś grał Robert Young - odparła. - Daj spokój, przecież wiesz, kto to jest Marcus Welby. Ty tylko udajesz, że nie wiesz, co pokazują w telewizji, żeby ludzie myśleli, że przez cały czas czytasz sztuki i poezję.

- Racja. Ty znasz mnie najlepiej. Chyba wiesz, że to ja napisałem niektóre odcinki „Marcusa Wellmana”, dotyczące guzów mózgu.

- „Marcus Welby” - poprawiła go.

- Tak powiedziałem - odparł. - Welby.

- Wcale nie. Powiedziałaś „Wellman”. Jeżeli masz zamiar opowiadać telewizyjne dowcipy z morałem, to przynajmniej naucz się imion bohaterów.

- To brzmi jak kiepskiej jakości Pinter - zauważył Rudy.
- Nie. Pinter opowiada dowcipy, które są dobre same w sobie i nie prowadzą do żadnych wniosków. My nie jesteśmy aż tak dobrzy i inaczej niż on dążymy do czegoś. Teraz na przykład idziemy na kolację.
- Di, tylko ty możesz traktować sprawy telewizji tak osobiście. Ty się z tym identyfikujesz.
- Tylko ty mogłeś porównać nas do kiepskiej jakości Pintera - nadała się. - Jesteśmy na miejscu.
- Z alei Ventury skręciła na parking przed restauracją „Teru sushi”. Rudy spojrzął na nią.
- Chyba nie jesteś zła?
- Nie - zapewniła go. - Nie jestem. Naprawdę. Jestem głodna. Byłam zdenerwowana naszym spotkaniem i na dodatek jestem głodna.
- Świetnie. Chodźmy jeść.
- Była ciepła, wiosenna, kalifornijska noc. Wiał lekki wiatr. Kilka motocykli jechało wzdłuż ulicy. Wzięła bilecik z parkingu i podażyła za Rudym do restauracji - detektyw i jej trop.
- Dinah nie bała się Rudy'ego. Bała się samej siebie. Bała się swojej reakcji na każde z możliwych jego zachowań. Obawiała się tego, co mogłaby uczynić sobie w jego imieniu. Zresztą, może jego też się bała. Chodziło albo o nią samą, albo o nich oboje. W każdym razie był to wystarczający powód, żeby unikać Rudy'ego.
- Chcesz sake? - zapytał niewinnym głosem.
- Wiesz przecież co się stanie, jeśli będę piła sake - powiedziała bardziej do siebie, niż do kogoś innego.
- Rudy tylko na nią patrzył.
- Upijam się sake - powiedziała cichym głosem, nachylając się do niego. - Pamiętasz, jak na urodzinach Seana weszłam do japońskiego ogrodu na środku restauracji i udawałam, że jestem sikającym mężczyzną? I jak potem człowiek się budzi w środku nocy całkiem odwodniony, z walącym sercem i całą resztą?
- Kochanie, jeśli nie chcesz, to nie pij - powiedział - ale nie obrzydzaj tego innym.
- Ty powinieneś się napić - odparła radośnie. - Tobie alkohol zawsze służy. Pozwala ci się zrelaksować.
- Jestem zrelaksowany - powiedział denerwująco spokojnie.

- Nigdy na takiego nie wyglądasz.
- Ty również. Zamawiamy?

Dinah porozumiewa się szyfrem - to nerwica, która ostatecznie sprawia jej zawód. Ten szyfr nigdy nie jest na tyle skomplikowany, by nie można go było rozszyfrować. Jak forteca, do której można zajrzeć, jak ściana z szyfonu.

Tak wygląda jej osobowość - sfera dzikich psów, które ciągną ją za sobą i fanatycznie pragną kontaktu. Jest jak jedenastoletni dzieciak w sklepie z zabawkami, który wśród kolorowych wysp ciągnie ojca na poszukiwanie skarbów.

Jej głos jest orkiestrą dętą, która maszeruje przez jej gardło i przeciska przez nie jej monstrualną osobowość, po czym wraca tą samą drogą i zaczyna grać bezbłędnie i czysto. Ten dźwięk błyskawicznie dochodzi do jej uszu.

Od lat Dinah miała problemy ze zrozumieniem siebie. Przez cały ten czas próbowała odnaleźć się w gąszczu poplątanych myśli i uczuć. Jednak nigdy nie dane jej było dojść do kresu tej nie kończącej się wędrówki. Ona śni, że jest sobą i nie umie przebudzić się z tego snu, nie potrafi wyjść na powierzchnię. Ten jej świat nigdy nie ma końca.

Być nią to naprawdę duży wysiłek.

- Jak smakuje? - zapytał Rudy, kiwając głową w stronę jej talerza.

- A jak ma smakować? - odpowiedziała z pełnymi ustami. - To jakitori, kurczak na patyku. A twoje?

Rudy wzruszył ramionami i ugryzł kwadratowy kawałek sushi. Dinah wpatrywała się w jego drugą butelkę sake. Z głośników płynął delikatny dźwięk saksofonu Toma Scotta.

- Wiesz, o czym sobie pomyślałam po kłótni z Kevinem? - skierowała pytanie do butelki Rudy'ego.

- Hmmmm? - wymamrotał Rudy z jedzeniem w ustach.

- Że jeśli związki z mężczyznami muszą być takie stresujące, to powinienam po prostu zostać z tobą. Ciebie przynajmniej dobrze znam.

- Aha - Rudy pokiwał głową. - Ale wiesz, związki nie muszą być stresujące.

- Jestem pewna, że nie wiem - odparła. - Więc chyba to ja mam szczególnie talent. To znaczy - popatrz w przeszłość. Masz za sobą

jakieś związki, które nie były stresujące? Na pewno nie z Vicki, nie z Lauren, ani z Anną. To są te kobiety, z którymi byłeś przede mną. I nigdy nie mówiłeś, że jest inaczej.

Rudy przełknął ślinę.

- Teraz jestem w zupełnie nowej sytuacji - powiedział.

Serce Dinah zamarło. Wbiła wzrok w Rudy'ego. Nigdy nie przypuszczała, że Rudy może mieć jeszcze jeden romans. Zwłaszcza udany. I to za jej życia.

- To znaczy? - zapytała omdlewającym głosem.

- Spotykam się z kobietą, która jest zupełnie inna, niż wszystkie, jakie znałem do tej pory - odparł spokojnie. - To znaczy - najpierw byliśmy przyjaciółmi i nasza przyjaźń stopniowo przestoczyła się w coś bardzo... wychowawczego. Nie wiem, co mam ci powiedzieć, oprócz tego - spojrzał w kął restauracji niemalże z tęsknotą - że ona jest dla mnie bardzo dobra.

- Dlaczego miałyby nie być? - zapytała Dinah poważnie, próbując zdobyć się na coś w rodzaju uśmiechu. Dała znak kelnerowi. - Czy mogę prosić trochę sake? - odwróciła się z powrotem do Rudy'ego. Serce jej waliło. - Kiedy zacząłeś się z nią spotykać? Jak ma na imię?

- Lindsay - odparł. - Zaraz, niech się zastanowię... Kiedy jedliśmy razem lunch?

- Hmm - mniej więcej rok temu.

- Tak, to się chyba zgadza - powiedział, składając ręce i lekko marszcząc brwi. - To wtedy powiedziałaś mi o sobie i o Kevinie. Byłaś na mnie wciąż bardzo zła.

- Cóż... - odparła, kiedy kelner pojawił się z sake. Nalała sobie małeńki kieliszek i wypła do dna. Wykrzywiła się, gdy poczuła w gardle gorzki smak. - Byłam bardziej przestraszona niż zła. Rozczarowana.

- Wyglądałaś na złą - powiedział, kiedy nalewała sobie kolejny kieliszek. Wypła. - Myślałem, że nie masz zamiaru pić - mówił dalej łagodnie.

- Nie mam - powiedziała wesoło. - Więc czym Leslie się zajmuje?

- Lindsay - poprawił ją. - Jest dekoratorem wnętrz.

- Naprawdę? Lindsay - powiedziała, lekko unosząc brwi. - Jak ją poznałeś?

- Na przyjęciu - odparł, a tymczasem kelner zabrał nakrycia. - Każde z nas było na nim z kimś innym. Później dowiedziałem się, kim ona jest i zdobyłem jej numer telefonu.

- Wspaniale - odparła Dinah, nalewając sobie kolejny kieliszek sake. - Więc jesteście razem mniej więcej od roku?

- Niezupełnie - powiedział Rudy i lekko się uśmiechnął. - To znaczy, na początku nie chciałem się w nic angażować po tej naszej katastrofie. Muszę przyznać, że byłem mocno zdruzgotany. Teraz myślę, że przechodziłem coś w rodzaju załamania - uśmiechnął się do siebie. - Zamknąłem się w sobie jak w muszli. Gdybyś przyłożyła do mnie ucho, mogłabyś usłyszeć szum oceanu.

Dopijając sake, Dinah starała się wyglądać na osobę cywilizowaną i nonszalancką.

- Tak, obojgu nam nieźle się dostało - powiedziała wspaniałomyślnie.

- Dokładnie - odparł Rudy. - Dlatego właśnie chciałem być sam - znowu wpatrywał się w zbawienny kąt restauracji. - Ale dzięki Lindsay to wszystko wydaje się bardzo łatwe. Ona chce, żebym był... Nie wiem, jak to powiedzieć. Ona zupełnie nic ode mnie nie wymaga.

Dinah pokręciła głową ze zdziwienia:

- Jak możesz szanować coś takiego?

Rudy lekko wzruszył ramionami i tajemniczo się uśmiechnął.

- Dlaczego muszę to szanować? Mnie się to po prostu podoba.

Dinah wpatrywała się w niego.

- Daj spokój, Di... O co właściwie chodzi? Nie wiem, chyba rzecz polega na tym, że tak mało muszę dawać. Niezupełnie tak, ale ona po prostu jest po mojej stronie, jest członkiem mojej drużyny. A jeśli się nad tym zastanowić, to jest to bardzo szlachetne i wzruszające.

- Czy ona nie ma swojego życia? - zapytała Dinah.

- To nie o to chodzi - odparł. Rzucił okiem na rachunek i zaczął odliczać pieniądze. - Chodzi o to, że jej zależy na mnie na tyle, że pragnie, abym był szczęśliwy.

- Cóż, to bardzo wzruszające. W dosyć archaicznym znaczeniu.

Wstali od stołu. Dinah z nieszczęsną miną wyszła za nim z restauracji i skierowała się w stronę parkingu.

- To, że nie jest to twój pomysł, to wcale nie znaczy, że jest to coś archaicznego - powiedział łagodnie trzymając ręce w kieszeniach,

kiedy czekali na samochód. - Gzy wiesz, że przez te osiem miesięcy naszego związku tylko dwa razy się pokłóciliśmy?

- To wspaniale - odparła spięta.

- To nie jest wspaniałe - powiedział Rudy, kiedy wsiadali do samochodu. - To cud.

W tamtej chwili Dinah zrozumiała, że po prostu musi odzyskać Rudy'ego.

Jechali w milczeniu do jej domu. Rudy chciał obejrzeć jej nową furgonkę i przy okazji mógłby zadzwonić po taksówkę. Z pewnością. W radiu leciała piosenka „Nie mam czasu cierpieć”. Dinah bolała głowa. Rudy siedział z rękami złożonymi na kolanach i wpatrywał się w ciągnącą się przed nim drogę.

- Nigdy nie lubiłem tej piosenki-zaczął. - Zawsze przypominała mi o... - udając zdenerwowanie spojrzął na zegarek. - O rany, coś ci powiem, muszę lecieć. Co robisz w tym tygodniu? Bo może moglibyśmy się jeszcze raz zobaczyć. Teraz naprawdę nie mam czasu. Co powiesz o czwartku i o piosence „Jesteś taki próżny”? „Jesteś tak próżny, że pewnie myślisz, że ta piosenka jest o tobie?” Ale ta piosenka jest o nim, więc czy to znaczy, że jest mniej próżny?

Dinah posłała mu lekki uśmiech. W końcu dotarli na miejsce. Dinah zaparkowała przed swoim domem. Oboje patrzyli przed siebie.

- Oto furgonka - powiedziała Dinah, wskazując ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

- Yhmm... ładna.

Dinah czuła działanie sake. Była taka samotna i było jej siebie żal. Dudniące kopyta romantycznych uczuć - uczuć należących już do historii - deptały jej psyche. Na zawsze straciła Rudy'ego dla jakiejś skautki, jakiejś kibicującej mu panienci, jakiejś miłej dziewczyny. Nie wiedziała, że aż tak bardzo ją to dotknie.

Rudy zakaszał.

- Chcesz wejść? - zapytała z ręką na klamce.

Milczał przez chwilę.

- Dobra.

Och, daj spokój, przecież to koniec - myślała Dinah. Po co to robi? Zresztą, dlaczego nie, przecież nie miała nic do stracenia. To wszystko skończyło się ponad dwa lata temu, a teraz było skończone

na dobre. Koniec z Kevinem i koniec z Rudym. Była sama. Umrze jako stara panna. Albo będzie żyła jako stara panna bardzo długo, dostanie udaru, będzie się ślinić i kiwać głową i nikt nie będzie się nią opiekował. A gdzieś na drugim końcu świata Lindsay będzie karmiła zupą starego i niedołęznego, ale bardzo szczęśliwego Rudy'ego.

- Jasne - powiedziała do siebie, wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu. - Dlaczego nie?

Siedzieli na kanapie w jej dużym pokoju i słuchali szumu wentylatora. Rudy zakaszał. Oczy Dinah wypełniły się łzami.

- Będę teraz płakać - oznajmiła. - Jest mi smutno.

Rudy wciąż patrzył przed siebie. Dinah przetarła swoje piwne oczy.

- Przecież możemy ze sobą rozmawiać - próbowała to powiedzieć ożywionym głosem. - Nie wiem dlaczego - mówiła dalej łagodnie - ale czuję się taka samotna.

- Tak, no cóż... - odparł Rudy, na przemian krzyżując i rozprostowując nogi.

Zakaszał, przykrywając usta dłonią zaciśniętą w pięść.

- Siedzimy jakbyśmy czekali w poczekalni u lekarza, albo coś w tym stylu - powiedziała.

Rudy zaśmiał się i przełknął ślinę. Nawet się nie poruszył.

- Nie możesz powiedzieć, że nie próbowaliśmy. Co może być dowodem na to, że próbowanie bywa szkodliwe - powiedział cichym głosem.

Zapadła cisza.

- Więc tak wygląda ten proces demistyfikacyjny - odparła.

- Właściwie - Rudy spojrzał na nią..

- Powiedziałaś, że wciąż darzysz mnie romantycznym, nierealnym uczuciem, że wyobrazasz sobie, że jesteś ze mną. - Obrócił głowę, przestraszony, że powiedział zbyt wiele.

- A ty powiedziałaś, że czujesz to samo.

- Tak - odparł rzeczowo. - I dlatego, że się spotykamy, stajemy się dla siebie bardziej realni.

- I tym sposobem mamy ogólne pojęcie o procesie demitologizacji - ostatniej teorii według Rudy'ego Gendlera.

Rudy westchnął.

- Przecież nie musiałaś się ze mną spotykać. Wydaje mi się jednak, że poprzez unikanie siebie tworzymy zupełnie nową sytuację. Poza tym - ciągnął dalej pełen zadumy - chcę cię poznać. Wiesz, o co mi chodzi. Lubię z tobą rozmawiać. Lubię cię jako osobę.

- W przeciwieństwie do czego? Do nogi od stołu? - uśmiechnęła się.

- Daj spokój, Dinah.

- A co z twoją dziewczyną?

- Co z nią?

- Dlaczego z nią nie rozmawiasz?

- Ależ rozmawiam z nią. Wcale nie o to chodzi.

- Więc o co chodzi?

- Dinah, daj spokój. To, co jest między mną a Lindsay jest zupełnie inne od tego, co było między nami.

- Pewnie - powiedziała ostro. - W jednym przypadku chodzi o wygodę, w drugim o dostarczanie sobie wzajemnych bodźców. A ty jesteś w o tyle dobrej sytuacji, że jesteś centrum każdego związku - dokończyła.

- Nie możesz wiedzieć, że tak jest - odparł Rudy, obejmując rękami kolana. - A nawet jeśli, to co w tym złego?

- Ona chce wejść w rolę twojej żony.

- Powtarzam, Dinah, co w tym złego? Jej zależy na mnie.

- Nie możesz powiedzieć, że mnie na tobie nie zależało.

- Kochanie, ale to ty mnie zostawiłaś.

Zapadła cisza. Dinah odezwała się pierwsza.

- Musiałam odejść. To było twoje mieszkanie.

- Daj spokój, nie wracajmy do tego. Z historycznego punktu widzenia to nie jest dobry temat do rozmowy.

Zaśmiała się.

- To my nie jesteśmy dobrym tematem do rozmowy.

- Nie jesteśmy - powiedział. - Zobacz, nawet jeśli Lindsay jest po prostu reakcją na ciebie, to czy to jest takie złe? Nie byliśmy wcale tacy szczęśliwi.

- Nie - zgodziła się. - To prawda. Nie byliśmy szczęśliwi. Kochaliśmy się, ale nie byliśmy szczęśliwi.

- Nie - odparł, patrząc przed siebie. Zastanawiał się, jak długo to będzie trwało, jeśli to w ogóle dobry pomysł. Jeśli wciąż ma taki niezły tyłek.

Siedzieli w bezruchu. Między nimi tkwiła historia ich miłości. Rudy wciąż siedział ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko. W pewnej chwili ruszył ręką i palcami dotknął jej dłoni. Dinah spojrzała na niego, próbując zrozumieć, gdzie jest ich właściwe miejsce. Odwzajemniła pieszczotę. Przez jakiś czas siedzieli w ten sposób. Zastanawiali się. Dinah podniosła jego rękę i pocałowała ją. Rudy spojrzał na nią. Przysunął się i przycisnął ją do siebie. Całkiem jak dawniej. Poczowała smutek i swój, i jego. Miała wrażenie, że wpada w sidła. W sidła swojej dawnej obsesji. Ale jego strach i jej smutek zlały się w jedno, gdy ich usta odnalazły się - gdy odnalazła się historia ich miłości i zakończyła ich długą rozłąkę.

Sidła ust - gwałtowne pocałunki, głębokie niczym morskie otchłanie, dążące do doskonałości, do osiągnięcia jej raz na zawsze. Jakby chciały dojść do finałów mistrzostw świata. Ostatni pocałunek - ten, który ma największe znaczenie. Wszystko prowadzi do tego ostatniego pocałunku.

Rudy położył ręce na jej piersiach, zupełnie jakby chciał przekazać jej jakąś bezcenną wiadomość płynącą z kosmosu. Dinah próbowała wsłuchać się w swoje ciało. Nie sprzeciwiało się.

Świat jest rzeką, na której falach ona się unosi. Okazało się, że życie jednak wciąż istnieje. Wtedy pojawia się Rudy i chce zapłować na nią, na jej posłuszeństwo. Ona robi wszystko, co tylko może, aby uwolnić od niego swój umysł i zostawia mu w testamencie swoje ciało. Obserwuje go, choć ma zamknięte oczy, posługując się tym, co dyktuje jej pamięć. Czuje, że w jej zatoce ktoś zarzucił kotwicę. Próbuje uwolnić od niego swoje myśli i robi miejsce, by przyjąć jego ciało. Jej ciało jest mu posłuszne tam, gdzie nie słucha go jej umysł. Myśli oddalają się w przeszłość. Dinah przegrywa tam, gdzie Rudy właśnie zwycięża.

Jej puls staje się coraz szybszy, umysł pracuje coraz wolniej, wreszcie przestaje działać. Nie zna odpowiedzi tylko na jedno pytanie: „Kim jestem?”. Jestem „z nim”. Oto kim jestem. A to jest tylko o stopień wyżej od stwierdzenia: „Chciałabym być z nim. Oto kim jestem.” W tej właśnie chwili Dinah znajdowała się gdzieś pomiędzy dwoma tymi stwierdzeniami. Gdzieś pomiędzy tymi dwoma osobami.

Jemu zawdzięczała swoje istnienie.

- Czy będziemy czuć się winni z powodu tego, co się stało? - szepnął Rudy w jej włosy, wdychając znajomy zapach.

- Pewnie - odparła, gryząc jego wargę.

- Taak - zgodził się z nią i przykrył ją swoim ciałem.

Dinah obserwowała siebie, jakby była nim. Oceniała siebie tak, jak on mógł to robić. To był jej sposób na to, aby zatrzymać go przy sobie. Aby dotrzymać sobie towarzystwa. Jej mały przyjaciel, żyjący w jej umyśle, czasem niezbyt miły, trzeba to przyznać, ale mimo to dotrzymujący towarzystwa.

Spojrzała na Rudy'ego, który był tak blisko i pomyślała sobie: „Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będę to sobie przypominać”. Kiedy będzie sama, a on zostanie w jej myślach. A będąc tam nigdy jej nie opuszczał, opiekował się nią i odwiedzał kilka razy w ciągu dnia. Mogła odwoływać się do niego, wracać, wspominać, wymyślać. To był świat, którego on stanowił centrum, a ona go otaczała. Próbowwała bez powodzenia wybadać ten środek, ten najważniejszy punkt, choć i tak była szczęśliwa, mogąc się tylko kręcić wokół niego. Zrezygnować znaczyłoby pozbawić się prawie stałego towarzystwa. Bez względu na to, czy było miłe, czy zadawało ból.

Odkryłyby, że nie dzwoni telefon, usiłowałyby nawiązać jakiś kontakt. Starwałyby się znowu zasłużyć sobie na jego uwagę. Dręczyłyby ją tysiące myśli: „Nie zależy mi. To koniec. Jak on śmie. Co za mniemanie o sobie. Niech to, do diabła. To naprawdę koniec. Będzie mi go brakowało. On nie będzie tęsknił. Nie jest w stanie. Więc zamknij się już. Już mi lepiej. Co w tym takiego złego? On nie jest wcale taki... Jego ręce... Potrafi być taki słodki... Ale czasami... Jest taki zimny... Wtedy, gdy... Jest egoistą. Kochał mnie. Spieprzyłam to. Wcale nie jest taki. To nie jego wina. Może następnym razem... Może on teraz... Niedługo... Może będzie inaczej. Ale sukinsyn. Gdzie on jest... Dlaczego nie... Powinam była... To moja wina. Powiedział - tak. Jestem nerwowa, wymagająca. On jest spokojny. Będę grzeczna. Przekona się. Udowodnię. Jest inaczej. Nie mogę go stracić. Zostawi mnie. Gdzie on jest... Kocham go, a może to... Kogo to obchodzi?...”

Rudy był potężny, bo istniał w jej głowie i stał się podstawową częścią jej istoty. Czasem zastępował nawet uwagę i inteligencję. Cała matematyka przestała istnieć.

A jednak był teraz z nią i w dodatku tak blisko. Próbowwała wyczuć jego nastrój, przeniknąć go, dostać się do jego umysłu. Znaleźć boczne wejście, jakąś szczelinę. Czasami ich natury rozpląwały się i łączyły w jedną. Oplatały się wokół siebie i uśmiechały. Dwa bez trudu nachodzące na siebie koła - okrągłe, zadowolone, otwarte.

Nagle Rudy odsunął się. Ich koła szczelnie zamknęły się każde wokół siebie. Wejście do środka było już niemożliwe. Stał obok i był obcy. Był bardzo daleko, a jego oczy świeciły jak u węża. Kwiat w moim sercu, wąż w moich myślach - z twojego powodu.

Jej uczucia do niego, które pochłaniały wszystkie inne uczucia, śmiały się i odzywały raz po raz.

Leżeli w łóżku. Mieli za sobą kolejny, pełen nostalgii seks. Rudy wpatrywał się w sufit z typowym dla niego zakłopotaniem. Dinah przyglądała mu się wyczekująco. Ciekawość wisiała w powietrzu. W końcu Dinah powiedziała nieśmiało:

- O czym myślisz?

- O pieniądzach - odparł ze smutkiem. - Próbowiałem ocenić, jaki wpływ będzie miała recesja na wartość nieruchomości na Long Island.

Dinah poczuła ukłucie strachu.

- Aha - odparła niezręcznie. - Mógłbyś odrobinę przesunąć ramię? Ręka mi zdrętwiała - Rudy przesunął się posłusznie, a ona ciągnęła: - Jeśli będziesz cicho, możesz usłyszeć mrowienie.

Rudy spojrział na nią z boku, zaśmiał się i popatrzył w drugą stronę.

- Co się dzieje z orgazmami? - zastanawiał się z lekkim uśmiechem.

Dinah również się uśmiechnęła, widząc ten rzadki u niego wyraz twarzy.

- Może giną gdzieś w naszej świadomości - próbowała zgadnąć, dotykając jego policzka.

- Nie sądzisz, że one traktują nasze narządy płciowe jak rodzaj Hipermarketu? - zabrzmiało to jak hipoteza, do której doszedł po długich studiach.

- Proszę?

- No wiesz, wszystko masz w jednym miejscu. To znaczy, możesz mieć ochotę na dodatkową podróż do ust albo piersi, ale w innym przypadku - wszystko masz na miejscu.

- Jak w supermarkecie - powiedziała w zadumie.

- No właśnie.

- To dosyć kapitalistyczny punkt widzenia - skomentowała Dinah.

Może - zmarszczył brwi.

Objęła jego klatkę piersiową i wtuliła się nosem w jego ramię.

- Gdybyś miał piętnaście lat, moglibyśmy to zrobić jeszcze raz - powiedziała z uśmiechem.

Była niespokojna. Cały wieczór komunikowali się w tak bardzo dla nich typowy sposób, którego motyw przewodni mógłby się nazywać „Udajemy, że o czym nie wiemy?”

- Gdybym był piętnastolatkiem, wszystko zajęłoby nam dwie minuty.

Dinah zamknęła oczy i przekręciła się na plecy.

- Nigdy nie wyglądasz na zrelaksowanego.

- Ty też nie - odciął się leniwie.

- Zdaje się, że to mnie właśnie martwi - mówiła wciąż do sufitu. - Przypominasz mi milczącą wersję mnie samej. Ja jestem nerwowa - czyli pokazuję, że nie jestem spięta. Ty odwrotnie - chowasz wszystko do środka.

Roześmiał się.

- Nie wiem, co byś zrobiła bez tych swoich teorii.

- To, że próbuję tłumaczyć sobie różne rzeczy, sprawia mi przyjemność - odparła. - Całe lata chciałam być mądra. Wreszcie zmądrzałam - nie chodzi mi o wiedzę, ale...

- Wiem, o co ci chodzi.

- No więc, kiedy byłam już bardziej przekonana o swojej mądrości, to chciałam, żeby wszystko było jasne. To znaczy, teraz - teraz chcę, żeby wszystko było zrozumiałe.

- Cóż, to trudniejsze. Zwłaszcza, gdy się jest mądrym. W takim przypadku to jest bardzo trudne, bo widzisz obie strony medalu - mówił wolno i z przekonaniem.

Dinah miała wrażenie, że trochę zmusza go do tej rozmowy.

- Wiem, że wcale nie jestem mądra - powiedziała ze smutkiem. - Wcale. W przeciwieństwie do ciebie.

Spojrzał na nią.

- Przywiązujesz do tego zdecydowanie zbyt dużą wagę. Ty zawsze mówisz o ludziach: „On jest mądrzejszy ode mnie - ja nie jestem taka mądra jak on”. Może powinnaś przemyśleć znaczenie intelektu.

Dinah otworzyła szeroko oczy.

- Ale dla ciebie to też ma duże znaczenie, prawda?

- Wiesz, lubię tę cechę u ludzi - powiedział z namysłem - choć nie aż tak bardzo, że pomijam inne cechy. Być mądrym to prawdziwy dar. I należy umieć go cenić. Jeśli chodzi o inteligencję, to ona często łączy się z pewną nietolerancją, a może nawet z brakiem współczucia. Idealna kombinacja to połączenie inteligencji ze współczuciem. Ale w większości przypadków mamy do czynienia albo z jednym, albo z drugim.

- Często czuję się nieswojo wśród ludzi, którzy według mnie są naprawdę inteligentni. Jak bardzo musiałabym się skupiać, żeby im dorównać.

- Musisz trochę sobie odpuścić, kochanie. Przestać ciągle liczyć punkty.

- Jasne, z przyjemnością. Ale to nie ja się tak zachowuję, to mój umysł, który siedzi sobie spokojnie w mojej głowie, zdaje mi ciągle relacje i bez przerwy nadaje, jak telegraf. Czasem mam wrażenie, że mój umysł jest mądrzejszy ode mnie. To, czego ja chcę, nie ma znaczenia. Mój umysł pracuje bez przerwy.

Rudy spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

- To jaka ty musiałaś być w wieku lat dwudziestu? - powiedział prawie sam do siebie.

- Nie wiem - odparła nieśmiało. - Powiedz mi.

- Pamiętam, że miałaś szaloną energię.

Uśmiechnęła się.

- Podobało ci się to?

- To akurat lubiłem.

- Wydawało mi się, że nie lubiłeś mnie na początku - powiedziała. - Myślę, że w jakiś sposób mi na tym zależało. Interesowałeś się mną na niby. Wiedziałam, kiedy inni ludzie mnie lubili. Ale jeśli chodzi o ciebie, to nie wiedziałam nic.

Rudy usiadł i spojrzał na stojący przy łożku zegarek.

- Ty jesteś dziewczyna z jajami - powiedział, sprawdzając godzinę.

- W jakim sensie „z jajami”? - zapytała.

Rudy był oszczędny w komplementach, a kiedy już je mówił, były zwykle dobrze przemyślane.

- Nie boisz się... - przerwał. - Nie boisz się tego, co w gruncie rzeczy wywołuje w tobie strach - powiedział w końcu. - Bez przerwy stawiasz temu czoło. Nie brak ci odwagi.

- Przy tobie nie czuję się taka odważna - powiedziała, podciągając kolana i przykrywając się kołdrą. - Czuję się jak dziewczynka. Nie jest tak ze mną przy innych mężczyznach, ale z tobą tak właśnie jest.

Przeczesał ręką włosy.

- Masz na myśli - jak kobieta?

Zastanowiła się, jak przystało na kobietę.

- Jak kobieta? Tak, chyba tak. No wiesz, taka stłamszona i mało ważna.

- Cóż. Myślę, że to jest miłe. Kobiecość jest przyjemna.

- Myślę, że w takim razie to kwestia sprawowania władzy.

- Co masz na myśli?

- Ja traktuję kobiecość jako pewien rodzaj nieśmiałości - odparła. - No wiesz, taka skromna, uległa i słodka.

- Daj spokój, Dinah - zaśmiał się Rudy. - Wątpię, żebym kiedykolwiek cię za taką uważał.

- Jestem skromna i słodka w porównaniu z tobą - powiedziała ostro. - Ty jesteś bardzo męski.

- Zawsze uważałaś, że jestem arogancki.

- No, nie - powiedziała. - Raczej wielki.

- Ale nie w takim znaczeniu, jak było w „Byстрыm i doskonałym” - zauważył. - Nie chcesz powiedzieć, że jestem jak Cole Porter.

- Rodgers i Hart.

- Słucham?

- To oni to napisali. Uczyliśmy się tego w szkole.

- Widzisz - powiedział - masz wiedzę.

- Pewnie. Informacje zupełnie bez znaczenia. Ty sprawiasz na mnie wrażenie kogoś godnego szacunku.

Rudy skrzywił się.

- Kiedyś powiedziałaś, że jestem nadęty. Właściwie to wykrzyczałaś.

Dinah szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

- Wykrzyczałam? - próbowała sobie przypomnieć. - Wątpię, abym tak się zachowała. I z pewnością nie uważam, że jesteś nadęty. Myślę, że jesteś bardzo pewny słuszności swoich opinii i przekonań, ale nie uważam tego za nadętość. Nadętość to tylko fasada, za którą nic się nie kryje. Ty po prostu masz tę niesłychaną pewność siebie, która wynika z twoich osiągnięć, doświadczenia, wszystkiego. Jesteś rasowy. Nie dzięki swojej przeszłości, ale dzięki sobie samemu. Zasłużyłeś sobie na to, by dumnie stąpać po ziemi. Ale nie dlatego, że jesteś napuszony jak paw.

- Ja tylko staram się zapewnić sobie komfort dzięki temu, że zrezygnowałem z dzieciństwa - wzruszył ramionami. - Równie dobrze ty mogłabyś być bardziej zdecydowana i przestać udawać, że nic nie wiesz - bo jest inaczej. Albo, że jesteś naiwna - bo nie jesteś.

- Czy dlatego sprawiasz wrażenie, jakbyś był gdzieś daleko? - zapytała.

- Mogę sprawiać takie wrażenie, bo w myślach prowadzę drugą, zupełnie inną rozmowę.

Dinah skwitowała tę uwagę uśmiechem. Spojrzeli spięci na siebie.

- Tak naprawdę to wcale nie krzyczałam, że jesteś nadęty, prawda?

Rudy ściągnął lekko wargi i przymrużył oczy.

- Może nie. I tak mówisz dosyć głośno. Może mówiłaś tak jak zwykle, a ja tego dnia byłem nadwrażliwy. To nie ma znaczenia - westchnął.

Słuchając go wstrzymała oddech.

- Czasem, kiedy cię słucham, to jakbym słuchała przemówienia burmistrza - powiedziała cichym głosem, żeby udowodnić, że nie mówi głośno.

Rudy zaśmiał się i wstał.

- Burmistrz Osiedziesiątej Pierwszej ulicy - odparł.

- Jego Świątobliwość, chiński burmistrz - dodała.

- Dlaczego chiński? - zapytał, idąc wolno do łazienki.

- Bo trudno cię zrozumieć i odgadnąć - odparła.

- Rozumiem - powiedział i wskazał ręką w stronę drzwi. - Muszę iść do łazienki.

- Jakże to upokarzające - powiedziała.

Rudy znów się zaśmiał.

- Czasami pod koniec naszego spotkania mam ochotę poklepać cię po ręku i powiedzieć: „Nie martw się, niczego nie zdradziłeś” - krzyknęła w jego stronę.

Nie odpowiedział. Usłyszała z łazienki chlupot wody. Nie rozumiała, co ją skłoniło, by to powiedzieć. Wiedziała tylko, że przez te dwa lata rozłąki spotkała go tylko kilka razy. Dlaczego miałby jej cokolwiek zdradzać? Kim dla niego była? Wyobrażeniem uczuciowej hojności? Istniało jedno uczucie, którego nikomu nie skąpiła - to była jej nerwowa energia, pełen radości niepokój. Ona sama i jej nieokiełznany duch.

Jak to możliwe, że Rudy i Lindsay tworzyli normalną parę? To znaczyło, że winę za klęskę ich związku ponosiła wyłącznie Dinah. On dostał w prezencie zwyczajny, spokojny romans, a wszystko, co miała ona, to zakończona fiaskiem znajomość z niedoszłym Sycylijczykiem. Powinna była zostać z Rudym. Dlaczego tak im się nie układało? Na to pytanie na pewno istniała odpowiedź, ale Dinah zapomniała jaka, pochłonięta ogarniającym ją coraz bardziej poczuciem winy.

Nie układało im się z konkretnych powodów. Dinah czuła się nieważna i niepotrzebna. W takich chwilach miała wrażenie, że Rudy jest gdzieś bardzo daleko, czuła bijący od niego chłód. To bolało. Jak mogła rozniecić w nim ogień? W końcu uciekała się do najłatwiejszego sposobu - złości. Widząc jego obojętność, miała ochotę uciekać. Jak wtedy, gdy była dzieckiem i chciała ukarać rodziców. Wyobrażała sobie, jak by się czuli, gdyby wpadła pod autobus. Brakowałoby jej im. Żałowałiby, że źle ją traktowali.

Wpadała w panikę, kiedy porównywała, jak Rudy się zachowywał, kiedy był tylko trochę nieczuły i wtedy kiedy był lodowaty. Zresztą, jej też mogłoby przestać zależeć. Zapłaciłaby mu za to wszystko - za ból, upokorzenie... Nikt nie mógłby przyłapać jej na tym, że jej bardziej zależy niż jemu. Że czeka, aż on jej zapragnie. Wylałaby z siebie całe to uczucie i dopasowała się do jego każdego wzruszenia ramionami. Zobaczymy, jeszcze zobaczymy. Chciała odejść, żeby mógł za nią zatęsknić. Ale nie, on mówił, że nigdy za nikim nie tęskni. Owszem, na początku umierał z tęsknoty. Już tylko

to, że mógł leżeć przy niej, sprawiało mu ulgę. Było czymś specjalnym. On jednak odrzucił władzę, jaką miała nad nim. Kochał ją i zawiodł się. Ona zawsze czuła się zawiedziona. Nigdy nie wierzyła, że mogłaby czuć cokolwiek innego, niż rozczarowanie. Do wszystkiego podchodziła z rezerwą, żeby się potem niepotrzebnie nie rozczarować. Jeśli tak się nie stało, mogła być tylko mile zaskoczona. To była jej najskuteczniejsza obrona, choć nie zawsze była dzięki niej bezpieczna.

Dinah przywiązała się - wbrew sobie. Pokochała bez opamiętania i zawiodła się bardziej, niż była na to przygotowana. Z całych swoich sił, biorąc pod uwagę jej przeszłość, kochała Rudy'ego do szaleństwa i miała nadzieję, że zdoła w nim wzbudzić jakąś konkretną odpowiedź. Kochała go miłością, pod której żarem mógłby się roztopić, która mogła pokonać wszelkie jego opory, zawładnąć nim, ogrzać lodowaty błysk w jego oczach. Mogła obudzić jego śpiącą wyobraźnię i pogrzebać rozczarowanie ich obojga.

W końcu jednak pomyślała sobie: „Muszą gdzieś być łatwiejsze Ściany do skruszenia, w które nie będę musiała bezskutecznie walić głową”. I odeszła. Ruszyła na poszukiwanie nowej, kruchości ściany, choć wciąż za nim tęskniła.

Rudy i Dinah nawzajem złamali sobie serca, a to bardzo zbliża. Jak wspólna walka na wojnie - w jakiś sposób wiąże na całe życie. Wspólne, bogate doświadczenie, gorzka miłosna podróż. I kiedy przeszli przez to razem, kiedy przeczołgali się na drugą stronę, zaczęli przyglądać się sobie z lękiem i z pewnym szacunkiem. Tak jak się patrzy na gotowego do czynu zamachowca. Chińska tortura - żeby ją przeżyć, trzeba ją polubić.

Rudy wyszedł z łązienki. Wyglądał trochę niedbale, ale miał w sobie coś rycerskiego. Dinah nie patrzyła na jego przyrodzenie.

- Jak nazywają się te zwierzęta, które dobierają się na całe życie? - zapytała jak mała dziewczynka. - Łabędzie?

- Łabędzie - zamyślił się. - Tak, chyba tak. Albo wilki.

- Właśnie tak jest z nami - powiedziała Dinah. - Stworzyliśmy parę. Przynajmniej ja -jestem twoim łabędziem. Twoim czarnym łabędziem z piekła.

Zapadła niezręczna cisza. Rudy próbował zmienić temat.

- Dinah, będę musiał być...

- Nie, poczekaj - przerwała mu. - Myślę, że to są gołębie. Tak, zgadza się. Pamiętam taką historię. To chyba były gołębie pocztowe?

- Co? - cierpliwie zapytał. - Nie jestem pewien. Tak mi się wydaje. Może.

- Tak, tak - mówiła szybko. - Słyszałam historię o tym, jak się je trenuje. Najpierw łączy się je w pary, a potem rozdziela. I to całe dostarczanie wiadomości polega na tym, że umieszczają ukochaną lub ukochanego tam, gdzie ma dolecieć jakiś gołąb i on tam po prostu leci. Gołębie przekazują wiadomości w nadziei, że ponownie spotkają swojego partnera - przerwała, nie mogąc złapać tchu. - Ale to jest bardzo smutne, bo tak naprawdę rozdzielone gołębie nigdy się nie spotkają. One żyją tęsknotą i nadzieją. Wciąż wierzą, że choć na chwilę ujrzą swoją drugą połówkę. Są po prostu niewolnikami miłości.

- Będę musiał niedługo iść - powiedział Rudy.

Dinah poczuła, że drętwieje ze strachu. Pozwoliła sobie zapomnieć, że on kiedyś znowu odejdzie. A teraz nieoczekiwanie wracała do swojej starej przyjaciółki - rzeczywistości: Co może być bardziej realnego niż bolesne uczucia? Miała nadzieję, że coś takiego musi być. Boże, proszę - coś musi być.

- O, Boże - powiedziała przygnębiona. - Ciągłe zmieniam kurs, co? Albo robię coś szalonego, albo spokojnie odpoczywam sobie w domu.

- Ja też jestem w pewnym sensie domatorem - skomentował, wkładając spodnie.

Powinna była je spalić i trzymać go przy sobie gołego, aż zgodziłby się zaakceptować ją taką, jaką była, i zostać.

- Chcesz, żebym cię odwiozła? - powiedziała, obserwując go jakby z daleka, z jakiegoś miejsca, gdzie już było po wszystkim i gdzie już nic nie mogło jej zranić. Naprawdę nic. Gdzie czułaby się lepiej, niż się spodziewała. Jak Eleanor Roosevelt - sprawiała wrażenie, że jej umysł działa niezależnie od niej. Niestety, odwrotna strona medalu nie była prawdą. Co Rudy teraz mówi?

- Zadzwoń mi po taksówkę z telefonu w łazience.

Dinah kiwnęła niewyraźnie głową. Jęknęła w środku. Rudy planował ucieczkę. Nie może się doczekać, kiedy sobie od niej pójdzie. Recydywa - tak to się nazywa. Powrót na miejsce przestępstwa. Nieodparta potrzeba powrotu, żeby jeszcze raz bezkarnie uciec.

- Dlaczego? - powiedziała nagle. - Musisz rano wstawać?

- Pewnie, że muszę - odparł, sięgając po koszulę.

„Pewnie, że musi rano wstawać” - pomyślała Dinah, wykrzywiając twarz. - „Jestem jedyną osobą, która nigdy już nie wstanie i która, po pierwsze, nigdy nie powinna była się podnosić”. Zazdrościła Rudy'emu tej umiejętności oszczędzania sobie bólu. Na wszystko miał jakąś dobrą historię.

- Powiedziałem Lindsay, że zadzwonię do niej. Robi się bardzo zazdrosna.

Dinah kiwnęła głową sparaliżowana, tłumiąc wewnętrzny bunt.

- Jakim dekoratorstwem ona się zajmuje? - zapytała za smutkiem.

Musiała odwrócić uwagę od tego, co w tej całej sprawie było najważniejsze. Ważniejsze ponad wszystko na świecie.

- Głównie nowoczesnym - odparł. Usiadł na łóżku i zaczął wkładać skarpetki. - Ale nie jest to coś, czym ona bardzo się interesuje. Z czasem może da sobie z tym spokój. Ja się z tym zgadzam. Po naszym rozstaniu zdałem sobie sprawę, że nie chcę być z kimś, kto poświęca się karierze zawodowej.

Dinah wlepiła w niego wzrok. Po tym wszystkim jeszcze coś takiego.

- Nie chcesz, żeby pracowała - stwierdziła kategorycznie.

- Niezupełnie - powiedział zawiązując sznurowadła. - Chciałem powiedzieć, że to nie jest praca, która całkowicie ją pochłania. Ona chce z tym skończyć, a ja tylko ją zachęcałem, żeby zrobiła to, na co naprawdę ma ochotę. Dostała kilka dobrych propozycji. Powiedziałem tylko, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie. To się po prostu nie sprawdza, kiedy obie strony myślą wyłącznie o karierze. Oboje pracują na zbyt wysokich obrotach. To jest wyczerpujące. Kobieta musi mieć pracę wymagającą mniejszego wysiłku.

Dinah słuchała tego wszystkiego z udawaną obojętnością. Zwykle skubała kciuk. Jakby nic się nie działo.

- Na przykład?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Zmarszczyła brwi, mając nadzieję, że nie będzie wyglądała zbyt groźnie. Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

- No, jak myślisz?

- Kotku, powiedziałem ci, że nie wiem. Nie dlatego, że nigdy o tym nie myślałem, ale dlatego, że po prostu nie wiem. Słuchaj, naprawdę chciałbym mieć mniej wyczerpującą pracę, ale tak nie jest. Więc dla mnie bycie z kimś, kto równie intensywnie pracuje, jest... Cóż, to się po prostu nie uda.

Dinah zastanowiła się i powiedziała:

- Nikt nie będzie miał wtedy czasu pomyśleć o samym związku. Rudy niemalże się uśmiechnął.
- No właśnie.

Dinah za wszelką cenę próbowała stłumić to, co naprawdę myśli. Chciała być z dala od tego pokoju, od tego miasta.

- Więc co ona będzie robić, jeśli nie będzie pracować? - zapytała łagodnie.

- Ma jeszcze inne zainteresowania - odpowiedział.

Wziął z krzesła marynarkę i stanął niepewnie przy łóżku.

„Nigdy nie powinnam była tego robić” - pomyślała Dinah. - „Matka miała rację. Mężczyźni chcą tylko jednej rzeczy, a kiedy już ją dostaną - zanim zdążysz się obejrzeć, już ich nie ma”. Podniosła wzrok na Rudy'ego, który wciąż mówił. Obserwowała jego poruszające się usta.

- Lubi zajmować się ogrodem i... polityką.
- I tobą - dodała. „I tym, jak się tobą zajmować” - pomyślała.
- I mną, tak - powiedział zwyczajnie. - Po prostu pragnie, żebym był szczęśliwy.

Dinah pokręciła głową, nie wierząc własnym uszom. Uszczęśliwić. Rudy i szczęście. Wspólna podróż do słońca.

- Czy to nie zbyt duża odpowiedzialność? Mam na myśli takie trzymanie kogoś na dwudziestoczworgodzinny dyżurze, aby mógł cię w każdej chwili uszczęśliwić? Pozwoliłbyś jej rzucić pracę tylko po to, by mogła siedzieć w domu, uprawiać ogródek, rozmawiać o polityce i dawać ci szczęście? A ona - czy ty też musisz zapewniać jej szczęście? Czy to działa tylko w jedną stronę?

- Ja myślę o tym, co jej daje szczęście - odparł poważnie. - Myślę o tym, co zapewnia szczęście nam obojgu. W każdym razie cieszę się, że nie muszę jeść przez cały czas zamawianej na wynos chińszczyzny.

- Cóż... - zdumiała się Dinah.
- Cóż?

Zapadła nieunikniona głucha cisza.

- Udało się. Dzięki za demystyfikację - powiedziała.
- Posłuchaj. - Związek dwojga ludzi to pewien proces, a ty i ja jesteśmy mniej więcej nastawieni na osiągnięcie konkretnego celu. Tym razem chcę być bardziej przygotowany na to pierwsze.

Dinah uśmiechnęła się.

- Nam świetnie wyszło zdobycie zamku - tylko nie wiemy, jak w nim żyć, kiedy jest już nasz.

Wzrok Rudy'ego nieco złagodniał.

- Zgadza się. Takie zamczysko jest potwornie trudno ogrzać.

Przez chwilę nie patrzyli na siebie. Tęsknota Dinah mogła wypełnić ocean po brzegi.

- Myślę, że to dobrze, że się spotkaliśmy - powiedział, starając się, by zabrzmiało to serdecznie.

- Zdaje się, że naprawdę jestem w całkiem niezłej formie - odparła trochę bez sensu. „Chciałabym, chciałabym?” Jaki sens miało to, czego chciała.

Rudy zaśmiał się i przełknął ślinę.

- Jesteś jedyną dziewczyną, jaką znam, która sama sobie prawi komplementy.

Zmarszczyła brwi i zastanowiła się.

- Myślę jednak, że to naprawdę miłe z mojej strony.

Patrzyli na siebie przez chwilę, której potrzebowali, by zrozumieć, co miała na myśli. Oboje roześmiali się.

- Lepiej, żebym sama to robiła, bo Bóg jeden wie, kiedy zrobi to ktoś inny.

- Prawisz sobie komplementy od zawsze - powiedział.

Przez moment patrzyli sobie prosto w oczy. Dinah próbowała odgadnąć, co on czuje, rozbudzić tkliwość w jego oczach, przypomnieć mu kim - przez tę krótką chwilę - byli dla siebie. I kim, przy pomocy tłumy oddanych fachowców, może kiedyś będą znowu.

- Nachyl się - odezwała się w końcu delikatnie - nachyl się, żebym mogła zapamiętać.

Rudy nachylił się i pocałował ją. Zamknęła oczy, przyjmując ten pocałunek niczym sakrament.

- Żałuję, że nie mogę poznać cię dopiero teraz - powiedziała łagodnie. To było jak magiczne zaklęcie.

Rudy wyprostował się i spojrział na nią ostrożnie.

- Nie żałuj - powiedział. - Bo gdybyś poznała mnie teraz, byłbym zupełnie rozbity. Tak jak w tej chwili.

Podniósł się.

- Nie byłbyś - zapewniła go. - Bo jesteś rozbity przeze mnie. Gdybyś nie znał mnie wcześniej, nie byłbyś rozbity.

- Chyba masz rację - odparł. Przez chwilę patrzył na nią dziwnie. - Spróbuję zadzwonić do ciebie jutro, koło drugiej, przed wyjazdem - powiedział cicho, po czym wyszedł z pokoju.

Dinah spojrzała ponuro na miejsce, w którym stał. Pomyślała; „Nie proś o więcej, bo dostaniesz mniej, niż już masz. Nie wywróc tej łódki do góry dnem. W takim razie na jakiej jestem łodzi, skoro nie mogę o nic prosić?” Zastanowiła się. Na statku miłości.

Znajdowała się na krańcu świata -jego świata. Wygnana z krainy miłości, skazana na banicję. Zrezygnowała z niego i nagle poczuła skutki tej decyzji. Pragnęła wyjść razem z nim - bez względu na warunki, jakie by jej postawił.

Kiedy Rudy wyszedł, Dinah włączyła telewizor, nie mogąc znieść ciszy, jaką po sobie zostawił. Nie mogła słuchać samej siebie teraz, kiedy on wrócił do hotelu, żeby zadzwonić do swojej zazdrosnej, ale miłej przyjaciółki. Zasnęła oglądając odcinek serialu „Wielki McGinty”. Śniło jej się, że Rudy zakochał się we Francuzce, a ona musiała udawać obojętność.

Rano zadzwoniła do swojej przyjaciółki Connie. Nauczyła się polegać na jej radach - niekoniecznie po to, by z nich korzystać, ale po to, by trochę się rozerwać. Opowiedziała jej o demistyfikacji.

- Demistyfikacja - zamyśliła się Connie - to brzmi jak coś, co robią w myjni z samochodem.

- Nie powinnam była iść z nim do łóżka. Obiecałam sobie, że nie pójdę - powiedziała Dinah. - Teraz jeszcze bardziej będzie mi brakować piątej klepki.

- Daj spokój - cedziła słowa Connie. - Nie miałaś wyboru. Byłaś zgubiona w chwili, kiedy powiedział, że ma inną. Doznałaś szoku i on przywrócił cię do życia klepiąc cię penisem po pochwie.

- Connie, bądź poważna - błagała ją Dinah. - Jest mi naprawdę ciężko.

- Kochanie, wszyscy śpiąją ze swoimi byłymi - powiedziała jej Connie na pocieszenie. - A jeśli tego nie robią, to mają na to ochotę. Byłaś z tym facetem całą wieczność. Najpierw byłaś na niego wściekła, potem dostałaś po dupie, zaczęłaś się go bać, a teraz odczuwasz wszystkie te trzy rzeczy jednocześnie. Spójrzmy prawdzie w oczy - trudno jest za nim nadążyć.

- Chodzi o to, że przed nim nikogo nie było.

- Nie przesadzaj, przecież nie byłaś dziewicą, kiedy go pode-rwałaś.

- Nie - odparła Dinah zniecierpliwiona. - Sama już nie wiem. Teraz straciłam go na zawsze. Myślałam, że wszystko jest w porządku. To znaczy... czułam się znacznie lepiej, jak już ze sobą zerwaliśmy. Byłam taka, byliśmy tacy? Boże, Connie, co ja teraz zrobię?

- Najważniejsze, że w tej chwili nie musisz o niczym decydować. Nie zrób tylko jakiegoś głupstwa. Może wybierzemy się do klubu odnowy biologicznej i przedyskutujemy nasze możliwości?

- Connie, ty naprawdę jesteś w dechę - powiedziała Dinah z wdzięcznością.

- Tak mówią - odparła Connie wspaniałomyślnie. - Tak właśnie o mnie mówią.

Siedziały w saunie w Koreańskim Centrum Odnowy Biologicznej w centrum Los Angeles. W kącie cicho grał telewizor. Leciał jakiś azjatycki serial, którego akcja toczyła się na sali sądowej. Dwie drobne Koreanki siedziały na drewnianej ławce. Jedna skrzyżowała nogi po turecku. Twarz miała przykrytą ręcznikiem.

- Jakbyśmy czekały na egzekucję - wymamrotała Dinah, kiedy się już usadowiły na drugim końcu ławki.

Connie uśmiechnęła się i spuściła głowę.

- Więc - jaki był ten seks? - zapytała, wyglądając rącznik.

- Dobry - odparła Dinah. - Dobry i smutny.

- Kiedyś uważałam, że seks nie może być udany, jeśli nie ma w nim odrobiny smutku.

- Ten akurat z kilku powodów był bardziej smutny niż zwykle - zaczęła opowiadać Dinah. - Jednym z tych powodów, wcale nie najmniej istotnym, było to, że wyrzuciłam Toniego z pokoju. On jest przyzwyczajony do tego, że śpi ze mną i przez cały czas, kiedy się

kochaliśmy, siedział za drzwiami i skamlał. To był tragiczny akcent całej tej sytuacji.

- Pierwszy raz uprawiałaś seks, odkąd dostałaś Toniego? - zapytała zdumiona Connie. - Przecież on ma już prawie rok.

- Dziesięć miesięcy. Dostałam go, jak miał sześć tygodni. Pamiętasz? To było wtedy, gdy zerwałam z Kevinem. Gzyli jakieś siedem lub osiem miesięcy temu. Tak, przez jakieś osiem miesięcy nie uprawiałam seksu. Czy to źle? Wcale nie tak bardzo. Z kim niby mam chodzić do łóżka?

- To nie jest źle, Di, tylko długo - odparła Connie. - Nic dziwnego, że teraz to na ciebie tak wpłynęło. Mam nadzieję, że chociaż się onanizowałaś albo coś w tym stylu.

- Ja się nie onanizuję.

- Nigdy?

- Raz - powiedziała Dinah.

Jedna z Kореanek wstała, okręciła się ręcznikiem i wyszła z sauny.

- Mam nadzieję, że to nie dlatego, że nas podsłuchiwała - zauważyła Dinah, wiodąc za nią wzrokiem.

- Większość kobiet w Korei masturbuje się przynajmniej dwukrotnie przez trzydziestką - zażartowała Connie.

- Rozumiem.

- To pewnie znaczy, że ci się wtedy nie spodobało - stwierdziła Connie.

- Co? - zapytała Dinah. - Ach, masturbacja. Nie, to nie zupełnie było tak. Całkiem mi się podobało. Problem polegał na tym, że dojdzie do orgazmu zajęło mi chyba z osiem godzin i choć było wspaniałym przeżyciem, to stwierdziłam, że nie jest warte aż takiego poświęcenia.

- Osiem godzin to za długo - zgodziła się Connie, wpatrując się w ekran telewizora. - Nie miałaś fantazji erotycznych?

- Na początku miałam - powiedziała Dinah powoli. - Na początku udawałam, że jestem kimś innym. Że moja ręka to jakaś osoba, ktoś kto jest ze mną. Ale na koniec zdałam sobie sprawę, że wciąż to tylko ja. Wiesz, faceci mają szczęście - wszystko mają na wierzchu, dostają erekcji w autobusie, budzą się z erekcją. Penis to... Penis to jest organ. Pochwa to taki niby... organ.

Connie pokręciła głową ze zdumienia.

- Chciałabym wiedzieć, czy ktoś ma z tego więcej przyjemności niż ludzie.

Poprawiła ręcznik.

- Czekaj, ale co z Rudym?

- Nie powinnam była mu nic mówić o tym czarnym łabędziu prosto z piekła - powiedziała Dinah, krzywiąc się lekko.

- Słucham?

- Nic, nic - westchnęła Dinah, wycierając pot na plecach. - To tylko idiotyczne zdanie, które mu powiedziałam i które częściowo odkryło moje wnętrze.

- Rozmawialiście o tej małej przygodzie?

- Masz na myśli tę błogosławioną przygodę? Nie, nie rozmawialiśmy o tym. Myślę, że to dobrze.

- Pewnie, że dobrze. To podtrzymuje napięcie. A napięcie może się zawsze przydać.

Było tak gorąco, że w powietrzu można było zawiesić siekiere. Taką malutką. Koreanka wypięła tyłek przed twarzą Dinah i zmieniła program w telewizorze. Dinah nachyliła się do Connie i powiedziała cicho:

- Myślę, że ktoś powinien nas sobie przedstawić.

Connie zaśmiała się.

- Co najmniej.

Kobieta pochyliła się bardziej, jej tyłek znalazł się jeszcze bliżej Dinah.

- I może powinna poznać z czasem moich rodziców - dodała.

- Wiesz, kiedy moja siostra idzie do ginekologa - powiedziała Connie - to zanim on jej cokolwiek włoży, łącznie z samym sobą, ona mówi z szeroko rozłożonymi nogami: „Doktorze, czy mógłby pan mnie przynajmniej pocałować?”. Byłam właśnie u ginekologa w tym tygodniu, który tak długo badał mnie przez odbyt, że w tym czasie mogłabym spokojnie nawiązać jakąś poważniejszą znajomość, zerwać, a to badanie wciąż by trwało. Chciałam zapytać: „Hej, czego pan tam tak naprawdę szuka? Może mogłabym pomóc.”

- Wiem - odparła Dinah. - Mężczyźni mogą przynajmniej odwrócić się plecami - chodzą do lekarza tylko wtedy, kiedy mają kaszel.

- A u nas lecą dalej po liście: „Żadnych zgrubień w piersiach, sutki w kolorze normalnym. Co pani teraz czuje?”. A co mogę czuć? Rozszerza mi pan pochwę metalowym wziernikiem i wkłada mi pan coś głęboko do środka. „Macica jest miękka i doskonale ukształ-

towana, badanie przez powłoki brzuszne nic nie wykazuje, zewnętrzne narządy płciowe wyglądają prawidłowo." A ty w tym czasie leżysz jak kawał surowej szynki przed włożeniem do pieca. Jakby cię tam w ogóle nie było. Jakbyś siedziała w drugim pokoju, piła poncz i jadła ciastka.

Tylek Koreanki zniknął z pola widzenia.

- Nie mogę sobie przypomnieć - zamyśliła się Dinah - Jak to jest - duże dłonie, duży fiut, czy małe dłonie, duży fiut?

- Duże dłonie.

- Jesteś pewna?

- Zawsze chciałam powiedzieć - mała górna warga, duże jaja.

Albo przynajmniej jedno z nich.

- Albo - nie ma głowy, nie ma fiuta.

- Nieee, to takie Zen.

- Muszę już wyjść - powiedziała Dinah .

Podniosła się i owinęła ręcznikiem. Otworzyła drewniane drzwi. Connie poszła za nią, długie, jasne włosy przylegały do jej głowy i szyi.

Główne pomieszczenie przed łaźnią było przestronne i wyłożone różowymi kafelkami z wzorkiem w kolorze kasztanowym. Znajdowały się w nim trzy baseny - każdy z wodą o innej temperaturze: gorącą, ciepłą i lodowatą. Do środka prowadziły dwie rynny, w których siedziały kobiety i myły się - włosy, ciała, siebie nawzajem. W jednym końcu sali stały trzy prysznice, w drugim - cztery stoły przeznaczone do masażu. Na nich ubrane w majtki i staniki Koreanki robiły sobie masaż, albo za pomocą rękawic zrobionych z rośliny zwaną luffa usuwały zrogowaciałą warstwę naskórka. Następnie przemywały całe ciało mlekiem i nakładały maseczkę. Dinah i Connie weszły do basenu z ciepłą wodą. Nie opodal pływała jakaś kobieta. Miała zamknięte oczy i znad wody wystawała jej tylko głowa. Na ścianie nad wannami do masażu wisały instrukcje z napisami po koreańsku, z wyjątkiem tabliczki: „Usługi firmy Culligan Water” i „Rak skóry”.

- Myślę, że musiałam bardziej kochać Rudy'ego nie na początku naszego związku, ale pod koniec. Pod koniec kochałam go bardziej.

- To nie o to chodzi, że ty go bardziej kochałaś. Wydaje mi się, że on kochał cię równie mocno jak ty jego. Różnica polega na tym,

że ty potrzebowałaś jego pochwał za to, że go kochasz, a on twoich - nie. I może w tym tkwiła jego przewaga. A ty chciałaś, żeby zaakceptował nawet ten powód, dla którego go rzuciłaś. To tak jak ludzie, którzy dzwonią do kogoś i mówią, że się zabijają tylko po to, aby ten ktoś mógł im to wyperswadować. Byłam zdania, że on ci nie ufa, bo myśli, że jeśli cię zaakceptuje, to ty od niego odejdziesz. Przypuszczam, że on po prostu nie jest w stanie kochać bezkrytycznie. Wielu jest takich ludzi. Nie mogłaś nic zrobić tak długo, jak długo on był jeszcze gotów tobie się podporządkować. Byłaś dla niego ciekawostką. Ciekawostką, która desperacko próbowała stać się jego pasją.

Dinah westchnęła.

- Widzę siebie jak przed nim siedzę i mówię: „Zobacz, jaka jestem zabawna, jaka ładna, jaka błyskotliwa. Polub mnie. Proszę cię, polub mnie.” Jak katarynka dla ciała i małpka dla umysłu - powiedziała.

- Masz to już za sobą.

- Może mam to za sobą, ale nie doszłam jeszcze do siebie.

Dinah zaczęła wychodzić z basenu, po czym zmieniła zdanie i weszła z powrotem do wody. Wzięła oddech i zniknęła pod wodą. Wynurzyła się po chwili,

- Więc to wszystko, jeśli chodzi o Rudy'ego? - zapytała Connie. - Powiedziałaś coś o łabędziach, on powiedział ci o swojej dziewczynie, przespałaś się z nim i zadzwoniłaś do mnie? Jestem pewna, że jest coś więcej.

- Co więcej? Spotkałam się z nim, on powiedział, że ma nową, idealną przyjaciółkę. Poszłam z nim do łóżka, a on wraca teraz do Hampton, żeby Lindsay dała mu szczęście. Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć jego twarzy, kiedy mówił, jaka jest dla niego miła.

- Tam, skąd pochodzę, jest takie powiedzenie: „Jeśli nie potrafisz być interesująca, bądź miła” - powiedziała Connie. - Kochana, bez niego jesteś w dużo lepszej sytuacji. Zobacz, jak wszystko dobrze ci się układało w ciągu tych ostatnich kilku lat.

- Jak dobrze mi się układało? - spytała Dinah. - Jestem sama.

- Daj spokój, Dinah, to nie jest w porządku. To, że z nikim tak naprawdę nie jesteś nie znaczy wcale, że nic się w twoim życiu nie dzieje. I wcale nie jest tak, że nie miałaś żadnej okazji. Poza tym mężczyźni nie są jedyną rzeczą na świecie.

- Tylko żadnemu z nich tego nie mów - odparła Dinah. - Jak brzmi to twoje drugie powiedzenie? „Mężczyźni czerpią swoją osobowość z pracy, a kobiety - ze swoich mężczyzn”.

- Ale to chodziło o Chucka, a nie o ciebie i Rudy'ego - powiedziała Connie. - Mieliśmy wtedy ze sobą na pieńku.

- Więc tych twoich powiedzeń można używać tylko wtedy, kiedy ty uznasz to za stosowne?

- To są moje powiedzenia - Connie zrobiła nadąsaną minę. Z nosa ściekał jej pot. - Dinah, przecież wiesz, że lubię Rudy'ego. Zawsze go lubiłam, ale nie sądzę, że jest dla ciebie odpowiedni. I myślę, że ty również tak uważasz, tylko nie możesz znieść myśli, że ktoś inny może go mieć. Zwłaszcza, kiedy jego kariera układa się tak dobrze.

- Niezupełnie tak jest - odparła Dinah. - To prawda, nie mogę znieść myśli, że ktoś inny może go mieć, ale to dlatego, że nigdy całkowicie mi nie przeszło, a nie dlatego, że oburzam się na myśl o jego nowej dziewczynie. A jego kariera zawsze układa się świetnie.

- Wiesz, co myślę? - zapytała Connie.

- Nie, ale jestem pewna, że mi powiesz.

- Myślę, że dla ciebie groźna jest beczynność - stwierdziła Connie. - Myślę, że to przez ten strajk. Uważam, że powrót tematu, jak ważny jest dla ciebie Rudy, wynika z tego, że nie masz pracy i nie wiesz, co zrobić z czasem. Całą energię, którą zwykle zużywasz na pisanie seriali, przeznaczasz teraz na różnego rodzaju dzikie fantazje. Masz czas i energię, żeby stworzyć sobie przedstawienie z własnego życia. Dlaczego nie zrobisz tego, co ci proponowałam na początku strajku - skończ jedno ze swoich opowiadań, napisz scenariusz...

- Nie chcę być łamistrajką - wyjaśniła Dinah.

- Dinah, wszyscy to robią. Tylko nieoficjalnie i nie z myślą o producentach.

Przyszły rok będzie niesamowity.

- Nie umiem pisać scenariuszy - odparła Dinah. —Nie jestem aż tak dobra.

- Więc znajdź kogoś, z kim mogłabyś pracować i kto jest dobry w tym, co tobie sprawia trudność - przekonywała ją Connie. - Tak jak ja i Lorraine. Odwaliłyśmy kawał roboty w czasie tego strajku. Beczynność jest niebezpieczna.

- Ja nie siedzę beczynn timer - jęknęła Dinah.
- Naprawdę? - spytała Connie. - A co takiego robisz?
- Trzy razy w tygodniu chodzę na kurs masażu w Santa Monika, uprawiam jogę i zastanawiałam się nad... seminarium na temat pisania scenariuszy pod koniec miesiąca.

Connie spojrzała na nią.

- Dinah, wiesz przecież, o co mi chodzi - powiedziała łagodnie. - To dobrze, że znalazłaś sobie jakieś zajęcie, ale żadne nie wydaje się na tyle absorbujące, żeby... Wiesz, o czym mówię?

- Myślisz, że gdybym zaczęła pisać, to byłoby mi łatwiej? O czym niby mam pisać? O moim niezbyt znaczącym życiu? O tym jak czołgam się od rana do wieczora jak powolna, gruba pluskwa?

- Co chcesz więc zrobić? Wpakować się w jakąś historię, żeby mieć potem p czym pisać?

- Pisanie na podstawie własnego doświadczenia jest zawsze bardziej interesujące. Bo to pisanie o tym, co zna się najlepiej.

- A co z wyobraźnią? A co z wcześniejszymi doświadczeniami? Myślisz, że jak zamienisz swoje życie w jakieś laboratorium do przeprowadzania badań nad prozą to...?

- Nie spotkałam się z Rudym po to, żeby o tym napisać! - wykrzyknęła Dinah. - To on do mnie zadzwonił! I nie chcę wcale o tym pisać! Nie chcę nic robić. Chcę tylko wyjechać i trochę poczytać. Nie chcę pisać. Piśzę, żeby zarobić na życie, więc dlaczego miałabym to robić na wakacjach? Albo w czasie strajku czy czegoś innego?

- Dokąd wyjechać? - zapytała Connie podejrzliwie. - Nie myślisz chyba o wyjeździe na wschód?

- Nie, nie myślę - powiedziała Dinah stanowczo. - A nawet, gdyby... to niekoniecznie po to, żeby spotkać się z Rudym, wiesz o tym? Przez długi czas mieszkałam na wschodnim wybrzeżu. Mogłabym mieć inne powody, dla których chciałabym odwiedzić całe wybrzeże, nie tylko jednego faceta.

Zapadła cisza. Connie spojrzała na Dinah. W końcu powiedziała:

- Tylko mi obiecaj, że nie zrobisz żadnego głupstwa, dopóki najpierw ze mną nie porozmawiasz.

- Connie, nie mam zamiaru robić nic głupiego.

- To ty tak myślisz - odparła Connie. - Obiecuj, że porozmawiasz ze mną, zanim podejmiesz jakąś decyzję.

Dinah wzruszyła ramionami.

- Dobra.
- Co dobra?
- W porządku - powiedziała Dinah rozdrażniona. - Obiecuję, że porozmawiam z tobą, jak coś zdecyduję.
- Zanim - nalegała Connie.
- No zanim, zanim, już dobrze? Możemy iść na masaż?

Dinah śniło się, że była w łóżku z Rudym. Przytulali się, całowali, pocierali zabawnie nosami, śmiali się. Zauważyła, że na czymś leżą, na jakichś niewielkich przedmiotach. Rudy wstał, żeby pójść do łazienki. Dinah spojrzała w dół i zauważyła, że całe łóżko pokryte jest małymi, drewnianymi zabawkami - zwierzątkami. Zaczęła zrzucać je z łóżka na podłogę.

- Rudy - zawołała. - Czyje to zabawki?
- Jakie zabawki? - zapytał męski głos, który wcale nie był głosem Rudy'ego.

Zza drzwi od łazienki wyjrzała uśmiechnięta twarz. To był Joshua Souther - aktor, który odtwarzał postać Blaine'a MacDonalda. Aktor, który grał Rudy'ego.

Obudziła się. Connie leżała na stole obok, twarz miała pokrytą miodem i ogórkami i cała była wysmarowana oliwką. Spojrzała na Dinah wzrokiem ofiary przeznaczonej dla wielkiego Konga. Namaszczona olejem, namydlna i wypolerowana. Gotowa do małżeństwa, do ofiary dla Wielkiej Małpy, czyli dla całego rodu męskiego. Przyszła żono boga, pani Kong w pełni księżyca, oświeć mnie swoim światłem chwały.

Potężna, gruba kobieta szła w stronę stojącego obok stołu - jeszcze wspanialsza panna młoda dla Konga. Była Koreanką. Położyła się na stole, zamknęła oczy i zanuciła piosenkę. Masażystka nacierała ją olejkami i miodem. Robiła to wszystko, przez co wcześniej przeszły Dinah i Connie. Piosenka, którą śpiewała Koreanką brzmiała jak „Que Sera Sera”, więc Dinah zaczęła śpiewać razem z nią. Connie dołączyła do nich i wszystkie trzy, a także masażystki, które nie mówiły po angielsku, śpiewały, śmiały się i masowały w rytm piosenki:

Kiedy byłam małą dziewczynką,
zapytałam mamy, kim będę.
Czy będę ładna,
j czy bogata?
Na co mama odrzekła mi:
Queeeeee sera, sera?

Kiedy doszły do ostatniego refrenu, Dinah wiedziała już, że może jednak pojedzie na wschód, do Hampton. „Co ma być, to będzie.” Myśli kołatały się w jej głowie.

- Która godzina? - zapytała nagle. Mój Boże, która może być godzina? Śniła na jawie - a co, jeśli przegapiła jego telefon? Rudy miał przecież zadzwonić. Teraz, albo za chwilę. Dinah stwierdziła, że musi zadzwonić do domu. O której godzinie miał zadzwonić? Doskonale wiedziała o której. O drugiej. - Która godzina?

- Za piętnaście pierwsza - odparła Connie. - Dlaczego pytasz? Masz coś do załatwienia?

- Czekam na telefon - odparła Dinah i zaczęła się ubierać. - Rudy powiedział, że zadzwoni przed wyjazdem.

Właściwie powiedział, że spróbuje zadzwonić. Ale jak można „próbować” zadzwonić? Wyobraziła sobie, jak Rudy próbuje dosięgnąć słuchawki i nie jest w stanie tego zrobić, jak wciska odpowiednie przyciski, ale one jakoś nie dają się wcisnąć.

Rozstała się z Connie na parkingu. Czuła się orzeźwiona i samotna.

- Nie rób nic...

- Do widzenia, Con. Dzięki - przerwała jej Dinah.

Kiedy szła do swojego samochodu, Connie zawołała do niej:

- Tylko pamiętaj, Dinah, że ludzie, którzy zarabiają ponad czterysta tysięcy dolarów rocznie nie zmieniają się tak łatwo.

Dinah odwróciła się. Connie ciągnęła dalej:

- A Rudy zarabia dużo więcej.

- A ja dużo mniej, czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Connie otworzyła drzwi samochodu.

- Nie dużo mniej - tylko mniej.

Dinah osłoniła oczy przed słońcem, żeby lepiej dojrzeć Connie.

- Co chcesz powiedzieć? Że powinnam się zmienić?

Connie wsunęła się do samochodu.

- Mówię, że on się na pewno nie zmieni - zawołała i zamknęła drzwi.

Dinah pojechała do domu i czekała na telefon od Rudy'ego. Nie zadzwonił. Spakowała walizkę, zamknęła dom, wzięła psa i pojechała na lotnisko, żeby złapać samolot na wschód. Rozpoczęła swoją podróż, swój szaleńczy lot w stronę starszego wybrzeża, które było kołyską Rudy'ego i jego panny młodej, gdy była dzieckiem, ogrodem, w którym grała w golfa. To były kłótnie, których nigdy nie było, wspólne noce, głębokie sny, jeszcze głębsze pocałunki. To było niebo.

Cząstka Dinah umarła, a ona sama leciała prosto do nieba. Przed nią rozciągała się szara autostrada, prowadząca na lotnisko - jak asfaltowa rzeka, która ma ujście w oceanie miłości. Ów ocean ma kształt serca, a Rudy z Lindsay pływają po nim szczęśliwi. Rudy szczęśliwy?

Unoszona do góry przez prąd powietrza, zawieszona w próżni jak strzała samolotu, wystrzelona prosto w serce Hampton, bezradna, przyciągana przez świat Rudy'ego, dalej i dalej za linię wroga... *que sera?...* Lot porzuconej pani Kong trwa.

Niewielkich rozmiarów samiec pajak zbliża się do swojej stosunkowo dużej partnerki i zaczyna kopulować. Samica pożera go w akcie kopulacyjnego kanibalizmu. Odgryza mu głowę, pozostawiając resztę jego ciała sprawną seksualnie, tak że jego nasienie może przedostać się do jej ciała. Samiec tarantuli przednie kończyny ma wyposażone w parę wykrzywionych wyrostków, którymi przytrzymuje otwartą szczękę samicy, uniemożliwiając jej w ten sposób schwytanie go podczas kopulacji.

8

Przed południem Dinah dojechała wynajętym samochodem do Sout Hampton. Przejechała obok sklepu Elizabeth Arden, biblioteki, mijała samochody, drzewa, ludzi, w końcu skręciła w lewo na Three Mile Highway, autostradę prowadzącą do East Hampton. Z radia płynęła muzyka- „Taniec księżycowy” Van Morrisona. Pomyślała, że ta piosenka musiała powstać w jakimś małym pomieszczeniu - wokół, w oddali rozciągał się równy, letni krajobraz. Zrobiła głośniejsze i wczuła się w rytm muzyki, pozwalając, aby zajęła jej myśli. Znalazła sobie miejsce gdzieś między głosem wykonawcy a gitarą. Wokół były pokryte gontami domy, na prawo lśniła woda. Wysoka trawa, plaże, drzewa. Dinah kierowała się w stronę Long Island, do East Hampton, do Amagansett, przyciągana szczęściem Rudy'ego. Do jego dopiero co odnalezionego domowego zacisza. Rudy spędza wakacje z Lindsay, pisze o niej nową sztukę i jej ją dedykuje. A ona zaspokaja jego potrzeby, opiekuje się nim, karmi, pociesza, całuje. Tego było za wiele.

Dinah zaczęła kręcić gałką radia i szukać głośniejszej, zagłuszającej myśli muzyki. Znalazła w końcu „Sułtanów swinga” i nastawiła na cały regulator. Pędziła autostradą prosto przed siebie na złamanie karku.

Miała wrażenie, że gdziekolwiek spojrzy, tam widzi jakąś parę. Trzymają się za ręce i śmieją, zajęci czymś bezceremonialnym i intymnym. Trwało łączenie się w pary, jakby właśnie nadciągała arka Noego. Dinah pogłośniła muzykę. Słuchała za dwoje.

Opuściła swój świat i wkroczyła w jego świat. Była jak mucha złapaną do słoika.

Entuzjazm Rudy'ego wobec znajomych i przyjaciół był ograniczony i zawsze, prędzej czy później, miał swój koniec. Kiedy ostatecznie wygaszał, Dinah była świadkiem czegoś, co nazywała „smrodem znad bagna”. Kiedy zaczynała czuć ten smród - kiedy zdolność Rudy'ego do bycia z innymi dobiegała kresu - Dinah uciekała. Jeśli wtedy ktoś znalazł się w jego polu widzenia, gdy czuć było ten smród, w jego oczach bez trudu dostrzegał niechęć i dezaprobatę. Bo Rudy był samotnikiem, który od czasu do czasu zaszczycał innych swoją obecnością. W końcu wracał do siebie, zostawiając wszystkich rozbudzonych, czujnych, nie zaspo-kojonych.

Ponieważ Rudy pracował w samotności, jego potrzeba innych stopniowo zmniejszała się, aż w końcu zanikała zupełnie. Wtedy Dinah odchodziła, choć bywało, że myliła się w swoich obliczeniach i popadała w jego niełaskę. Wyczuwała, że coś zrobiła źle. Albo mówiła za głośno, albo za dużo, albo za późno przyjechała, zasnęła, oglądała telewizję, rozmawiała za długo przez telefon, miała zbyt wielu przyjaciół - tak zwanych przyjaciół, którzy zbyt często do niej dzwonili. Kiedyś powiedziała, że jeśli on podnosi słuchawkę, a telefon jest do niej, to patrzy na nią takim wzrokiem, jakby przed chwilą zastrzeliła w jego salonie policjanta.

Dinah nie wiedziała, dlaczego ludzie czasem się kochają. Może było tak, że kiedy byłeś gotów, otwierały się drzwi i ktoś przez nie przechodził - dostawał się do środka twojego systemu. Jego feromony mieszały się z twoimi i nagle byłeś rozmontowany i tylko ta wybrana osoba mogła złożyć cię z powrotem. Rośniesz jak roślina w stronę jej słońca, grasz tak, jak ona zagra, żyjesz według jej prawą. Przychodzisz na jej sygnał, którego nikt inny nie słyszy. I wszystko dzieje się dlatego, że twój kwiat rozkwita właśnie tego dnia, gdy światło tej jednej jedynej osoby pada na ciebie i od tej pory rośniesz tylko ku temu jednemu słońcu. To jest nieuczciwo, niewygodne i ponizające. Uzależniające i bezmyślne. Stajesz się na zawsze

posłuszny i pokorny. Chylisz głowę przed tym objawionym nieoczekiwaniem istnieniem.

Dinah przyjechała do Amagansett około południa. Powitała ją tablica z napisem „Miejscowość Amagansett, założona w 1790 roku”. Kiedy wjechała do miasteczka, odnalazła kilka biur, zajmujących się sprzedażą nieruchomości. Zajeżdżała na tyły drugiego biura po prawej - głównie dlatego, że można było tuż obok zaparkować. Przed wejściem znajdował się napis „Domy do wynajęcia”. Zresztą, wszyscy pośrednicy mieli ustawione takie tabliczki przed wejściem.

Zaparkowała samochód, zostawiła w środku niepocieszonego Toniego i weszła do biura. Za biurkiem siedziała otyła dziewczyna.

- Dzień dobry - powiedziała Dinah. - Chciałabym wynająć dom.

Uśmiech dziewczyny roztopił się w jej tłustym ciele.

- Oczywiście, zaprowadzę panią do jednego z naszych pośredników - powiedziała i zabrała Dinah do dużego, słonecznego pokoju z mnóstwem metalowych biurków i szafek z papierami.

W kącie siedział mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna i rozmawiał przez telefon. Dwie kobiety siedziały w przeciwległych końcach pokoju i również rozmawiały przez telefon. Mężczyzna nosił okulary i miał wielkie jak u królika zęby, ledwie zasłonięte przez nadęte wargi. Tabliczka na biurku mówiła, że nazywa się Barney Shout. Barney wskazał Dinah krzesło. Gruba dziewczyna wyszeptwała słowo „wynajęcie”, na co on cierpliwie skinał głową. Dziewczyna odeszła kiwając się jak kaczka, a tymczasem Dinah przysłuchiwała się, jak Barney kończy swoją rozmowę.

- Niech pani pomyśli o tym, na jak długi okres po sezonie chciałyby pani przedłużyć swoją umowę. Powiedzmy do października. Ponieważ, jak mówię, oni są zainteresowani... hmm... tak... oczywiście, proszę się zastanowić... nie ma sprawy. Porozmawiamy pod koniec tygodnia... tak... Bardzo dziękuję, pani Adelson.

Uśmiechnął się niewyobrażalnie szeroko, ukazując swoje królicze zęby i starannie odłożył słuchawkę na widełki, po czym stopniowo przeniósł swój uśmiech na Dinah. Uniósł się lekko i wyciągnął rękę.

- Barney Shout - powiedział przyjaznym głosem, kiedy Dinah się z nim witała.

Miał zimną rękę.

- Dinah Kaufinan - odpowiedziała poważnie.

Barney z powrotem usiadł.

- W czym mogę pani pomóc?

- Cóż - zaczęła Dinah niepewnie. - Chciałabym wynająć dom.

- Oczywiście - odparł bez większego entuzjazmu. - Ale zdaje sobie pani sprawę, że sezon jest w pełni. Większość domów jest już wynajęta.

- Tak, wiem. Bardzo niedawno wpadłam na ten pomysł. Myślałam, że może mogłabym dostać jakąś zniżkę albo coś takiego.

Barney roześmiał się.

- Może, kto wie.

Otworzył leżącą przed nim książkę.

- Zobaczymy, co my tu mamy.

Radośnie zmarszczył brwi.

- Jakie ceny panią interesują?

Dinah wydeła usta.

- Nie wiem. A jaka jest przeciętna cena, czynsz, jakkolwiek się to nazywa?

Barney uśmiechnął się i oblizał usta. Miał na sobie koszulę w szkocką kratę i kamizelkę.

- W tym sezonie cena może wahać się od kilku tysięcy dolarów w górę aż do siedemdziesięciu pięciu tysięcy. W zależności od wielkości, wyposażenia, lokalizacji, sama pani wie.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy! - wykrzyknęła Dinah dramatycznie. - Za taką cenę można praktycznie kupić nowy dom.

- Ale niezbyt ładny - powiedział Barney ze smutkiem. - Na pewno mogłaby to być niezła zaliczka.

- Albo kilka samochodów - odparła Dinah. - Albo mieć za co żyć przez kilka lat.

- Rozumiem, że interesuje panią coś z drugiego krańca tego przedziału?

- Zdecydowanie - odparła Dinah. - Nie miałam pojęcia, że to takie sumy. Kiedyś przyjeżdżałam tu z moim mężem... chłopakiem, ale to zawsze on płacił. To znaczy - nie wiem, nigdy nie pomyślałam o tym, żeby go zapytać, ile to kosztuje. O rany.

Pomyślała, że powinna zadbać także o siebie i poprosić go o alimenty. Poprosić? Pozwać go do sądu. O odszkodowanie. Ale on wymyśliły tę historię o zależnej od niego Dinah, o Dinah pijawce. Po co miałyby go podawać do sądu o alimenty? Żyła przecież na odpowiednim poziomie. Więc po co? Otóż po to, żeby teraz mieć pieniądze. Wystarczająco dużo, żeby wynająć dom niedaleko Rudy'ego i jego nowej przyjaciółki i urządzać głośne, wspaniałe przyjęcia. Przyjęcia za alimenty. Wielki Gatsby. Gatsby - ale nie tak bardzo wielki. Dinah, znajdująca się po drugiej stronie Dźwięku. Słyszalna i niewidzialna.

- Więc? - powiedział Barney wyczekująco.

Ocknęła się z zamyślenia.

- Bardziej interesują mnie te kilkutyśne stawki - odparła. - Im mniej, tym lepiej. Aha, poza tym mam ze sobą psa. Małego psa.

- Cóż, w takim razie to nas trochę ogranicza.

Zmarszczył oczy i uważnie zaczął przeglądać swoją księgę. Dinah czekała - czuła się trochę tak, jakby czekała na decyzję w sprawie posady. Barney przeleciał na koniec książki.

- Myślę, że powinniśmy rzucić okiem na Springs.

- Gdzie to jest? - zapytała Dinah.

- To dzielnica Hampton - wyjaśnił Barney. - Można powiedzieć, bardziej ekonomiczna.

- Tania - wyszeptała Dinah.

Barney wyjął cztery czy pięć spisów ze swojej księgi i rozpoczęli zwiedzanie okolicy. Woził Dinah dookoła Springs swoim beżowym eldorado. Oglądali małe domki - ostatnie miejsca do wynajęcia na ten sezon. Domki z przygnębiającym linoleum na podłodze i resztkami mebli. Pomiedzy tymi kryjówkami dla elfów Dinah siedziała załamana w samochodzie Barneya i obserwowała przez okno okolicę. Toni leżał grzecznie na tylnym siedzeniu, wysunął język i dyszał.

- Może powinnam po prostu sprzedać samochód i znaleźć coś przyzwoitszego - powiedziała Dinah z przygnębieniem. - Chociaż, w zasadzie - może to nawet nie byłaby jedna trzecia tego, ile trzeba zapłacić za coś przyzwoitego. Poza tym, nawet nie mam swojego samochodu, tylko pożyczony.

- Niech pani w ten sposób nie myśli - Barney starał się przymi-
lić, kiedy dotarli do ostatniego miejsca.

Jadąc pokrytą żwirem drogą zauważyli tabliczkę „Domki pani Salter”. To było na samym końcu Fireplace Road w Springs.

- Mogę spytać, kim pani jest z zawodu?

- Pisarką - odpowiedziała Dinah, kiedy podjeżdżali pod główny budynek. - Piszę dla telewizji - dodała, obawiając się, że może być oskarżona o wmawianie mu, że jest zapoznaną artystką, która wielce się założyła dla jakiegoś społeczeństwa trzeciego świata.

- Naprawdę? Dla telewizji? A jakie programy? Nie ma mi pani za złe, że pytam?

Wyłączył silnik i popatrzył na nią badawczo.

- Piszę serial. Nazywa się „Pragnienie serca”.

Spojrzał na nią rozpromieniony.

- To niesamowite. Muszę powiedzieć o tym żonie - ona to bez przerwy ogląda. Jaki to był tytuł?

Dinah otworzyła drzwi samochodu.

- „Pragnienie serca” - powiedziała wysiadając.

- „Pragnienie serca” - powtórzył Barney poważnie. - „Pragnienie serca”...

Na kawałku ziemi, prowadzącym prosto do wody stało dużo małych domków. Na froncie stał większy dom. Między domem a najbliższym drzewem rozciągał się sznur, na którym suszyła się bielizna. Dwa białe podkoszulki lekko kołysały się na wietrze.

- Tu mieszka pani Salter - powiedział Barney konspiracyjnym tonem. - Pójdę po klucz.

Żwir zgrzytał pod jego butami, kiedy podniecony szedł w stronę domu. Głowę miał pochyloną do przodu i patrzył na nogi, jakby chciał pomóc im iść. Dinah stała niepocieszona na podjeździe i patrzyła poprzez prześwit między domkami na połyskującą wodę. „Mam nadzieję, że polubię to miejsce” - pomyślała. Gdzieś w oddali szczekał pies, na falach kołysały się łódki.

Barney wyszedł z domu uszczęśliwiony. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Słońce odbijało się w szklach jego okularów.

- Mam! - krzyknął, zwycięsko podnosząc do góry dłoń zaciśniętą w pięść. Zadzwoił pękiem kluczy. - To ostatni dom na prawo, prawie przy samej wodzie.

Przeszli po skrzypiącym żwirze obok dwóch małych, pokrytych gontami domków.

- Wynajęła go pewna para, ale najwyraźniej ktoś z ich krewnych zachorował i nie mogli przyjechać - wyjaśnił Barney. - W każdym innym przypadku takie miejsce byłoby zajęte na samym początku sezonu, niech mi pani wierzy. Te domki to prawdziwa okazja za tę cenę. Tak blisko wody i w ogóle.

Doszli do ostatniego domku na prawo - tego, który stał tuż przy samej wodzie. Obok zobaczyli jeszcze jeden domek.

- Jeden sus i już się jest na plaży - powiedział stary, pocziwy Barney, wkładając klucz do zamka.

Kiedy otwierał drzwi, przypominał do złudzenia małego pieska, merdającego ogonem.

- Powiedziałem pani Salter, że jest pani pisarką, a ona odparła, że tu przyjeżdża wielu pisarzy. Kilku jest nawet teraz. Jeden z nich mieszka w jednym z tych dwóch domków przy wodzie - Barney wskazał w nieokreślonym kierunku.

Dinah spojrzała na domki bez przekonania, wchodząc za tym mężczyzną-pieskiem do środka. Znaleźli się w małym saloniku, w którym stała kanapa, pokryta czarnym materiałem, dwa drewniane krzesła z beżowymi poduszkami, zaś w kącie znajdował się stół z olbrzymią czerwoną lampą. Żółty, zniszczony dywan leżał na podłodze i zakrywał część linoleum. Przodem do kanapy i krzesel stał telewizor, a przy barku wysokie stołki. Słońce wpadało przez okna, w których wisały zasłony w brązowe i żółte kwiaty. W powietrzu unosił się stęchły, zastarzały zapach. Dinah zauważyła kurz, przyłapany przez promień słońca. Całe miejsce sprawiało wrażenie kryjówki niezbyt groźnego kryminalisty.

- Przytulnie, prawda? - zauważył Barney bezstronnie, kierując się w stronę zamkniętych drzwi.

Otworzył je.

- Jest mniej przynębiające niż tamte poprzednie miejsca. Mniej nowoczesne. Przynajmniej nie przypomina umeblowanej garderoby - powiedziała Dinah.

Barney zaśmiał się z drugiego pokoju.

- Umeblowana garderoba - to mi się podoba. Muszę pamiętać, żeby powiedzieć żonie. „Pragnienie serca” i umeblowana garderoba. Tu jest sypialnia.

Dinah przeszła przez niewielki pokój i zajrzała do środka. W sypialni było łóżko, obok niego nocny stolik z małą lampą do czytania i telefon z obrotową tarczą.

- Jest nowy materac - powiedział Barney z dumą. - Tu jest szafa, a tamte drzwi prowadzą do łazienki.

Dinah kiwnęła głową.

- A tu jest kuchnia - ciągnął dalej.

Przeszli przez duży pokój do kuchni. Zauważyła, że Barney ma w spodniach niewielką dziurę.

- Wszystkie urządzenia są nowe - powiedział, wskazując kuchenne sprzęty. - A tu - mówił dalej, otwierając drzwi znajdujące się obok żółtej lodówki - jest wyjście na taras, gdzie może pani jeść, pisać, robić to, na co ma pani ochotę. Przez cały dzień świeci tu słońce i jest bardzo przyjemnie. I nikt nie będzie przeszkadzał.

Stali na tarasie, na którym znajdował się mały stolik z dwoma ławkami i krzesło. Widać stąd było kawałek wody i tył tego drugiego domku.

- Ile kosztuje to miejsce? - zapytała najuprzejmiej jak mogła.

Barney uśmiechnął się zamyślony i spojrział na swoje dłonie.

- Obawiam się, że ten domek kosztuje trochę więcej niż inne ze względu na ten widok.

Dinah zamknęła oczy.

- Ile? - zapytała z obawą.

- Cztery tysiące - powiedział Barney ze smutkiem.

- Cztery tysiące? Przecież to jest zwykła chata!

Barney wzruszył tylko ramionami.

- Sama pani powiedziała, że to miłe miejsce, że nie wygląda jak... umeblowana garderoba. A kiedy coś jest miłsze, jest droższe - mówił przeproszającym tonem. - To znaczy, nie jest to może oszałamiający widok, ale ma w sobie ukryty potencjał...

Zza rogu wyszedł mężczyzna, przeszedł obok nich i skierował się w stronę plaży albo drugiego domku. Dinah zamilkła i przyjrzała mu się. Miał ciemne, kręcone włosy i bardzo niebieskie oczy. Był średniego wzrostu i drobnej budowy, ubrany w jasnobrązowe spodnie i białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Niósł ze sobą książkę P;G.Wodehouse'a.

- Dzień dobry - powiedział przyjaznym, trochę zdenerwowanym głosem. - Wprowadza się pani?

Na jego twarzy pojawił się piękny, trochę nieśmiały uśmiech. Dinah stała jak skamieniała. Był atrakcyjny, Stremowany i zupełnie obcy.

- Tak - odpowiedziała automatycznie. Równie dobrze mógłby ją zapytać o jej pierworodnego syna. Tak. Nie. Zaczerwieniła się i spoglądała na Barneya. - To znaczy - myślę, że tak.

- Wspaniale - odrzekł trochę zażenowany nieznajomy. - Jestem Roy. Roy Delaney. Mieszkam w tamtym domku. Będziemy sąsiadami.

Roy sprawiał wrażenie kogoś, kto nie może spokojnie ustać w jednym miejscu. Poprawiał ręką włosy, zakrywał usta, wkładał rękę do kieszeni i zaraz ją wyjmował. Przeształ z nogi na nogę. Jego wielkie oczy były błyszczące i roześmiane. Był jak skala Richtera ustawiona w miejscu, gdzie następują jedno po drugim małe trzęsienia ziemi.

- Roy - tak nazywa się jeden z moich nastrojów - powiedziała Dinah, uśmiechając się nieśmiało. - Jestem Dinah Kaufman - dodała szybko.

- A ja jestem Barney Shout - Barney wyciągnął do niego rękę. Roy przywitał się z nim.

- Oboje państwo się wprowadzacie? - zapytał.

Wyciągając rękę do Barneya upuścił książkę. Przywitał się i pochylił po książkę. Dotknął ręką szyi. Wyglądało to jak kontrolowana epilepsja.

- Ja? - zaśmiał się Barney. - Nie, nie, ja jestem tylko pośrednikiem.

- Rozumiem - powiedział Roy. Uśmiechnął się i znów książka wypadła mu z ręki. - Ups - powiedział, podniósł ją i wytarł o nogawkę. - Cóż - spojrział na Dinah i lekko skinął głową. - Witamy.

Ich spojrzenia spotkały się - nerwowe i śmiejące się.

- Sąsiadko - dodał i przeczesał ręką włosy.

- Sąsiedzie - powtórzyła, skinąwszy głową.

Przez chwilę oboje przypominali lalki z kiwającymi głowami, które wozi się jako maskotki w samochodzie. Roy podniósł drugą rękę.

- Do zobaczenia - powiedział, cofając się o kilka kroków, po czym odwrócił się i odszedł w stronę swojego domku, który stanowił główny element kosztownego widoku z jej tarasu.

- Do zobaczenia - powiedziała Dinah, kiedy zniknął w środku i zamknęły się za nim drzwi.

Odwróciła się do Barneya, który stał z rękami w kieszeni i uśmiechał się. Dinah starała się wyglądać poważnie.

- Wciąż jestem zdania, że to za dużo pieniędzy.

Barney uśmiechnął się przepraszająco i popatrzył na swoje olbrzymie dłonie.

Dinah uważała, że jeśli wzbudzi w kims miłość, to zostanie zwolniona z obowiązku kochania tej osoby. Dla niej miłością była tylko jedna strona - gonitwa za uczuciem i zastawianie sieci. Kiedy ktoś ją już pokocha - jej cel zostanie osiągnięty, a ona będzie mogła odejść. To było tak, jakby kochała głównie po to, aby być kochaną. Najważniejszym problemem, dotyczącym Rudy'ego było to, że nigdy nie była w stanie zupełnie nim zawładnąć. Kiedyś powiedziała do niego:

- Chcę cię zdobyć totalnie.

A on odpowiedział:

- Kochanie, zdobyłaś mnie wiele lat temu.

- Tak - odparła - ale teraz chcę zawładnąć twoim zachowaniem.

Tego nigdy nie mogła zrobić. Potrzebowała jego aprobaty - czegoś, czego on nie był w stanie jej dać. Konsekwentnie i szczerze. A Dinah myliła miłość z aprobatą - to była jej scena, na której odgrywała swoją rolę. Jeśli miała go kochać tak długo, aż on dałby wyraźnie do zrozumienia, że ją akceptuje - musiałyby go kochać całą wieczność.

- Czekasz na zbyt wiele pochwał - powiedział jej Rudy. - A ja nie lubię nikogo chwalić. Nie plotę bez sensu. Jeśli już mówię komplement, to naprawdę można mi wierzyć.

- Wcale nie jestem pewna, że ci zależy - odparła Dinah - nawet jeśli w rzeczywistości nie dają tego po sobie poznać.

- Oczywiście, że mi zależy. A poza tym... jak możesz wierzyć w to, co widzisz? - zapytał. - Czy mogłabyś ufać komuś, kto w ogóle nie kryje się ze swoimi uczuciami?

- Nie - odpowiedziała ze smutkiem.

Ponieważ prawdopodobnie i tak nigdy nie czułaby się kochana, wolała wierzyć, że jest to wynik czyjegoś zachowania wobec niej, że to nie jej problem. Ostatecznie jednak - to był jej problem, bez względu na to, jak okrężną drogą to sobie uświadamiała.

Dinah jeździła bez celu dookoła Long Island, z Amagansett do East Hampton, a stamtąd do Sag Harbor. Zauważyła wymalowaną

przez kogoś tabliczkę z wizerunkiem cygana i strzałką wskazującą kierunek. Ruszyła w tamtą stronę i dotarła do budynku, a dokładnie mówiąc - na jego tyły. Kiedy podjechała bliżej, zobaczyła na ścianie napis „Parking medium”. Gdy wjeżdżała na miejsce pod tym proroczym szyldem, wyobraziła sobie, jak parkuje samochód jedynie przy pomocy telepatii. Obeszła budynek dookoła - na jego froncie, nad brzęczącym niczym obietnica napisem „Odczytywanie z Kart Tarota”, świecił neon w kształcie księżycy i gwiazdy. Weszła do niewielkiego, prawie pustego pokoju. Stała w nim jedynie beżowa kanapa i nieduży stolik z czasopismami. Na ścianie wisiało okrągłe lustro. Oceniała pokój łagodnym wzrokiem. „Trzy tysiące miesięcznie” - doszła do wniosku, rozglądając się wokół siebie. W rogu znajdowały się drzwi. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły dźwięki telewizora. Kiedy wzięła do ręki jedno z czasopism, spomiędzy zawieszonych na ramie drzwi koralików wynurzyła się głowa młodego, ciemnego mężczyzny.

- Chwileczkę - powiedział, najwyraźniej zdziwiony, po czym jego głowa zniknęła z powrotem w jaskini medium.

„Co ja tutaj robię?” - zastanawiała się Dinah. Może medium będzie wiedziało. Właśnie otwierała gazetę, kiedy zza różowych koralików pokazała się niska, dobrze zbudowana indiańska kobieta. Stanęła, za jej plecami kołysały się sznury paciorków.

Pokazała Dinah, żeby poszła za nią. Przeszły przez następne drzwi, w których również wisiały koraliki. Te jednak były złote i bursztynowe. Bujały się i pobrzękiwały.

W małym pokoju stały naprzeciwko siebie dwa krzesła. Usiadły, a ich kolana prawie zetknęły się ze sobą. Pomieszczenie bardziej przypominało izdebkę niż pokój. To była jaskinia medium, kabina do głosowania dla umarłych. Na niziutkiej półce utworzono coś w rodzaju ołtarza - kolorowe lampki, karty do tarota, świece. Z obrazu nad głową medium patrzył smutno Chrystus.

Dinah mogła się teraz dobrze przyjrzeć kobiecie. Miała szare, metaliczne włosy i ciemnobrązową skórę, która wisiała na niej jakby kiedyś należała do kogoś innego, jakby była używana - trochę jak zdjęta ze starszej siostry. Przylegała do swojej przypadkowej właścicielki jak onieśmiałe dziecko. Medium miało małe oczy złotego koloru, otoczone ciężkim wianuszkiem zmarszczek, a cała twarz sprawiała wrażenie dosyć płaskiej i przypominała studzienkę. Ko-

bieta rzucała ukradkowe spojrzenia. Miała lekki zarost i białe zęby. Sztuczne. Dinah była zdenerwowana i miała nadzieję, że ta wizyta okaże się skuteczna i niezbyt kosztowna. Indianka uśmiechnęła się jakby była podwójnym agentem - jak ktoś, kto utknął między naszym światem, a tym na górze, wymyślonym przez Junga.

- Nazywają mnie Mamuška - powiedziała z silnym akcentem, biorąc ze stołu talię kart. - Proszę, przełóż karty.

Patrzyła, jak Dinah przekłada, po czym wzięła połowę talii i rozłożyła ją w wachlarz odwrotną stroną do Dinah.

- Wybierz cztery karty - powiedziała.

Świdrujące oczy wróżki spotkały spojrzenie Dinah.

- Mogę je zobaczyć?

- Oczywiście - odparła Mamuška.

Dinah uważnie wybrała cztery karty, jakby wszystko od nich zależało. Na jednej byli mężczyzna i kobieta trzymający kielich, na drugiej tańcząca para pod tęczą i dwoje dzieci. Trzecia przedstawiała kobietę - arcykapłana jakiegoś kościoła, a czwarta - powiększoną stronicę książki. Wręczyła swoje cztery karty Mamuške i bezwiednie spojrzała w górę, na Chrystusa, po czym zmieszana popatrzyła w inną stronę. Mamuška studiowała karty.

- Będziesz długo żyła - oznajmiła.

„To dobrze” - pomyślała Dinah. „Chociaż to mam z głowy - przynajmniej w kartach.” Drgnęła.

- Cieszysz się dobrym zdrowiem.

Dinah uśmiechnęła się prawie uspokojona. „Nie może być źle.” Mamuška przyglądała się jej obojętnym wzrokiem.

- Śmiejesz się, ale jesteś smutna.

„Wspaniale, zaczyna się. Mam przed sobą długie, zdrowe i smutne życie. Idealnie.”

- Rozumiesz? - dociekała Mamuška.

Dinah skinęła głową, udając powagę.

- Jesteś samotna. Rozumiesz?

Czy mogło być coś bardziej zrozumiałego - Dinah kiwnęła głową.

- Nad tobą unosi się cień - chmura - rozumiesz?

Dinah kiwnęła leciutko. Mamuška nie zauważyła.

- Jaka jest twoja data urodzenia? - ciągnęła dalej.

Dinah powiedziała.

- Urodziłaś się na dwudziestym siódmym stopniu twojego znaku słonecznego - wyjaśniła Mamuśka. - To bardzo interesujące. Miejsce, które znajduje się dokładnie pomiędzy dwudziestym szóstym a dwudziestym siódmym stopniem nazywa się Stopniem Plejad. A ci, którzy są urodzeni na dwudziestym siódmym stopniu swojego znaku słonecznego są kierowani przez ich gwiazdne źródło - Plejady. Moje źródło, odziedziczone po przodkach to także Plejady. Z tego źródła pochodzą gwiazdni ludzie. To znaczy, że ty od dawna zajmujesz się jedną rzeczą. To znaczy również, że ostatnio byłaś w wielu miejscach i że kierują tobą siły niebieskie - jak mało kto pozostajesz pod ich wpływem. To nie jest łatwe, ponieważ dlatego jesteś naprawdę samotna i obca innym ludziom. Nie masz braci ani siostr, którzy wiedzieliby, kim naprawdę jesteś. Bo przybyłaś z daleka. Zgodziłaś się tutaj przybyć, ale wcale nie musiałaś. Jednak kiedy już przychodzimy - dajemy się złapać. Chcemy poznać smak ostateczności, dowiedzieć się, co istoty niebieskie kazały zrobić gwiazdnym ludziom, gdy przybyli na Atlantyde.

„O rany” - pomyślała Dinah. - „Wszystko jest jasne, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy niebieskie. Atlantyda. No pewnie.”

Kobieta ciągnęła dalej:

- Musiały nauczać i podnosić świadomość tych ludzi, ale nie mogły nawiązywać z nimi żadnych kontaktów fizycznych. Jednak tym, co ta planeta ma do zaoferowania jest ciało, a ciało to kolejna forma doświadczenia. To, czego doznajesz doświadczając jest dla ciebie równie ważne, równie istotne. Odczucia odgrywają niezwykłą rolę. Będziesz robić rzeczy ostateczne po to, by poczuć je do głębi. Jesteś nauczycielem i nauczasz w taki sposób, jak robią to źli rodzice - uczysz tego, czego nie wolno robić. Zwłaszcza samą siebie. To jest siła, którą wybrałaś. Nie ma w tym nic złego, ale to działa wstecz. Księżyc? - zamyśliła się. - Jesteś istotą, wywodzącą się z Plejad - ludzi z wierzchołka Księżyca, a oni muszą czynić dwa razy tyle co inni, ponieważ działa na nich siła dwóch istot. Jesteś jak Kali, bogini zniszczenia, robisz najbardziej skrajne rzeczy. Potrzeba dużo czasu, żeby to zrozumieć. Nie osiągniesz właściwej oceny niektórych spraw, dopóki nie ukończysz czterdziestu lat. Nie masz jeszcze chyba czterdziestu lat?

Dinah pokręciła głową.

- Dwadzieścia osiem.

- Aha - wróżka mówiła dalej, wolno kiwając głową, jakby to była ostatnia część tej łamigłówki, która - właściwie ułożona - przywróci ład i porządek. - Trwa teraz twój powrót Saturna.

- Co to znaczy?

- To jest czas, kiedy w twoim życiu panuje bałagan. Chaos. Następuje wiele zmian.

- Aha - Dinah nie bardzo wierzyła słowom Mamuśki, ale jej wywody był ciekawe i gdyby przepowiednia się sprawdziła, mogłaby przynajmniej powiedzieć, że wiedziała co miało się zdarzyć. Gdyby jednak istnieli gwiazdni ludzie, bogowie i Atlantyda, nie wahałaby się zajmować sprawami ducha.

- Kiedy będziesz miała czterdzieści lat, będziesz mogła przestrzegać wszystko inaczej, odnajdziesz w tym więcej humoru. Twój północny węzeł znajduje się w znaku Skorpiona, a to oznacza siłę i władzę. Dużo władzy.

Dinah przerwała jej:

- Mój północny węzeł?

Mamuśka kiwnęła potakująco głową.

- To wspaniale. Ja sama zastanawiam się, gdzie znajduje się mój północny węzeł. Od lat nie potrafię go znaleźć - uśmiechnęła się. - Ty uwielbiasz się bawić. Przybyłaś na ziemię właśnie w tym celu. Jesteś bardzo szlachetna i lubisz ludzi, którzy są tacy jak ty. Artystów. Osoby wyznające filozofię ducha. To wszystko jest tańcem na cześć siły. Jesteś naprawdę silna jak na kobietę, choć jesteś delikatna, drobna i bardzo ładna.

Dinah uśmiechnęła się i oblała rumieńcem. Wszystko to za niską, bardzo niską cenę. Oby.

- Masz dużo siły. Prędszej o taką siłę można by posadzić mężczyznę. Potrzebny więc będzie naprawdę silny mężczyzna, żeby zmierzyć się z twoją siłą. A tymczasem wielu słabych mężczyzn będzie przychodzić do ciebie.

- Słabi mężczyźni? - zamyśliła się Dinah. - Wielu słabych mężczyzn. Cóż.

- Nie będziesz czuła się dobrze jako kobieta. Bo jesteś zbyt twarda. Ta właściwa znajomość jest jeszcze przed tobą. Nie spędzisz życia samotnie. Ale nie jest ci dane bez przeszkód tańczyć przy ognisku. Tobie potrzebny jest partner, druga połowa. Jesteś bardziej królem niż królową i dlatego jako kobieta jesteś z siebie niezadowo-

łona. Twoje karty są bardzo mocne. Płoniesz żywym ogniem. Jesteś pełna skrajności. Widzę, jak rwiesz sobie włosy z głowy, zdzierasz z siebie ubrania. Widzę, jak stoisz w samym centrum tego wszystkiego i mówisz: „Jak ja to zrobiłam? Jak to się stało? To wspaniałe. Gdzie jest moja druga połowa?” Powołałaś jakieś prastare siły. Powinnaś zacząć studiować medycynę czarnej wdowy.

Dinah kiwnęła głową.

- Dobrze. Jest jakaś tego typu szkoła medyczna w okolicy?

- Wszystkie kobiety-marzycielki czczą czarną wdowę. Jest wyjątkowo ważna. Wiesz, samiec czarnej wdowy, jeśli tylko jest bardzo bystry i szybki, potrafi zapłodnić samicę, ocalając swoje życie. To się może zdarzyć... Jest jednak taki mężczyzna, który ciebie rozumie, wie jaką snujesz nić. Uran znajduje się na jedenastym stopniu Lwa, a to oznacza, że dokonasz przełomowych rzeczy w branży filmowej. Jesteś we właściwym miejscu o właściwej porze - wyczuwasz to instynktownie. Zapewniłaś sobie tę moc, kiedy wcieliłaś się w to ciało. Nie żyjesz dla siebie, nie należysz do siebie - należysz do świata, i z tego powodu również jest ci tak ciężko. Tu, na ziemi łatwiej jest należeć do kogoś. Nie ma jednak nikogo, kogo mogłabyś zatrzymać dla siebie bez zabijania. Należysz do swojego gwiazdowego źródła. Twój brak zaspokojenia wywoła owo zaspokojenie. Weź do ręki pieniądze i pomyśl sobie dwa życzenia. Płacisz trzydzieści pięć dolarów.

Dinah podniosła torebkę i zaczęła szukać pieniędzy, myśląc jednocześnie, że medium nie żąda zbyt wiele za tę smutną, pełną samotności i raczej ponurą opowieść. Delikatną i bardzo ładną. Dała jej do ręki dwudziestodolarowy banknot i trzy piątki, mało elegancko zwinięte w rulon.

- Wypowiedz jedno życzenie.

- Chciałabym mieć dziecko.

Dlaczego to powiedziała? Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że chciała mieć dziecko. No, może nie nigdy. Ostatnio.

Kobieta kiwnęła głową.

- Aha. Czy jest ktoś, z kim chciałabyś je mieć?

Dinah skinęła głową jak zahipnotyzowana. Po co miałyby jeszcze cokolwiek ukrywać?

- Z moim byłym mężem.

- Rozumiem - uśmiechnęła się Mamuśka, jakby wiedziała o tym od samego początku. Jakby znała Rudy'ego i setki kobiet,

które błąkały się po ulicach i chciały mieć dzieci ze swoimi byłymi mężami, którzy właśnie zaczęli nowe, udane życie u boku innej kobiety. Kiwała bez przerwy głową.

- Jest jednak problem.

„Ona wie!” - pomyślała Dinah. - „Ona może mi pomóc. To wszystko dzieje się naprawdę.”

- Ktoś chce was rozdzielić. Widzę cień nad twoją głową.

„A więc o to chodziło. Ciebie. Wiedziałam!”

Mamuśka wskazała na kartę, przedstawiającą parę z pucharem.

- Zobacz.

Dinah spojrzała z uwagą. To była prawda. Cała karta pokryta była małymi, szarymi plamkami, których wcześniej nie zauważyła. Może taki był właśnie wzór tej karty, może to była tylko mistyfikacja. W nadziei, jaką żywiła Dinah pojawił się cień wątpliwości. Miała jakieś niejasne wrażenie, że zachowuje się jak idiotka.

- Rozumiesz? - zapytała Mamuśka.

Dinah pomyślała, że może kobieta wyczuła jej powątpiewanie. Energicznie kiwnęła głową, chcąc w ten sposób ukryć swoje uczucia.

- Coś stało się kiedyś między tobą a twoim ojcem, i właśnie to przeszkadza ci w znajomości z tym mężczyzną.

Tak, zgadza się. Ona wie! Ale przecież takie rzeczy zdarzają się każdemu. O, nie.

- Jest jednak ktoś jeszcze - dwie osoby, które nie chcą, żebyście byli razem. Jeśli chcesz, mogę ich usunąć.

- Nie - powiedziała Dinah kpiąco. - Niech one zostaną. To pomoże mi umacniać mój charakter. Kto to jest?

Indianka skrzyżowała ręce i spojrzała na Dinah niewzruszona.

- Usunę cień znad twojej głowy, ale to będzie cię więcej kosztować.

Więc o to chodzi. Kosztowne przepowiednie tkwiły w jej umyśle, w owej świątyni, w której czciła bożka niewłaściwych mężczyzn. Przełknęła ślinę i zapytała niepewnym głosem:

- Więcej?

Mamuśka wyglądała na zniecierpliwioną. Jej skóra na twarzy zmarszczyła się, pokryła fałdami mięśnie i kości.

- Sprowadzę jasność nad twoją głowę, rozumiesz?

Dinah nie rozumiała, ale w każdym razie brzmiało to przyjemnie i obiecująco.

- Zwykle za to specjalne błogosławieństwo biorę... - kobieta dramatycznie zawiesiła głos - tysiąc dolarów.

Dinah ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Cień wątpliwości zniknął. Zrozumiała, że ma przed sobą oszustkę. Jej wątpliwości podwoiły się, potroiły, i nie czuła już niczego więcej. Pieprzeni ludzie z Atlantydy, powinna była się domyśleć. Plotła te idiotyczne bzdury o gwiazdach i czarnych wdowach. O samicach, które zabijają swoich samców i o jej, Dinah, samotności. Może to nawet była prawda. Albo i nie. Prawdopodobnie nigdy się nie dowie, co jest prawdą, a co nie. A jeśli to jest prawda, a ona nie daje wiary, choć to jedyna szansa na to, by... Właśnie - na co? Nagle jej wątpliwości zmaląły wobec oczywistego argumentu. Czyż rzeczy nie kosztują drożej, gdy podnosi się ich wartość? Tak jak mężczyźni, kiedy się ich pożąda, zanim się ich zdobędzie? Wtedy właśnie mają największą wartość. Tysiąc dolarów za usunięcie złej aury i przywrócenie kolorowej tęczy nad głową, którą wcześniej otaczały chmury.

- Rany - Dinah spojrzała na medium jak zaskoczone dziecko - nie mam aż tyle pieniędzy.

Mamuśka wpatrywała się w nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- A ile masz?

Dinah zmarszczyła brwi i ścisnęła torebkę.

- Sto - zabrzmiało to prawie, jak prośba.

- Masz czek - zapytała kobieta, składając ręce.

- Nie - odpowiedziała Dinah szczerze i otworzyła przed nią torebkę, jakby pozwalała jej zajrzeć do środka, by mogła się sama przekonać.

Na Mamuśce nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Ile masz w domu?

Tym razem Dinah skłamała.

- Dwieście - odparła cicho głosem dorosłej osoby, która kłamie wróżce z pomarszczoną skórą.

- Daleko mieszkasz? - stara Indianka nie dawała spokoju.

Dinah zawahała się.

- Zatrzymałam się w Springs.

„W taniej dzielnicy Hampton” - dodała w myślach. - „W upokarzającej dzielnicy, dzielnicy przeklętych.”

- Obdarzę cię błogosławieństwem jasności - to usunie barierę między tobą a twoim mężem. Ale musisz więcej zapłacić. Będziesz mi

dziękować. Będiesz kochać Mamuśkę i przynosić jej prezenty. Zapalę świece.

Dinah obserwowała ją, kiedy to mówiła. Bała się patrzeć jej prosto w oczy, ale kiedy kobieta przestała mówić, zauważyła nagle, że wpatruje się w nią jak zahipnotyzowana.

- Musisz zaufać Mamuśce, musisz ufać jej całkowicie - oczy medium zwały się. - Jest jeszcze jeden mężczyzna.

- Jeszcze jeden - powtórzyła Dinah z nadzieją w głosie, postanawiając, że nie przestanie jej ufać, dopóki nie usłyszy o tym drugim facecie. Przyglądała się jej z obawą.

- Ale tym, którego kochasz, jest twój mąż.

- Oczywiście - odparła Dinah grzecznie. - Ale co z tym drugim mężczyzną?

- Kiedy możesz wrócić z pieniędzmi?

Dinah uśmiechnęła się lekko.

- To zależy częściowo od mojego gwiazdowego źródła i... tego drugiego faceta.

Mamuśka przyglądała się jej z powagą. Siedziały naprzeciwko siebie, wpatrywały się w siebie nawzajem i obie czegoś bardzo chciały. Jezus przyglądał im się z góry. W końcu Mamuśka roześmiała się gardłowym śmiechem. Skóra wokół jej szyi zdawała się niemalże wibrować. Śmiech stawał się coraz głośniejszy. Odrzuciła głowę do tyłu i uderzyła się rękami w kolana. Dinah przyglądała się jej z uśmiechem.

- Co z tym drugim mężczyzną? - powtórzyła, naśladując Dinah. - Co z nim?

Dinah zaczerwieniła się. Mamuśka uspokoiła się wreszcie, wytała oczy i popatrzyła na nią.

- Daj mi swoją prawą rękę.

Dinah wyciągnęła dłoń. Mamuśka ujęła ją w swoje ręce.

- Ten drugi to twój brat z innego życia. Ty i on byliście chłopcami-bliźniakami. Tu jest jeszcze jeden mężczyzna - dodała.

Dinah pochyliła się do przodu, żeby móc się przyjrzeć swojej dłoni.

- Ten mężczyzna jest młodszy, to przyjaciel.

- Czy to znaczy, że on już jest przyjacielem?

Mamuśka skinęła głową.

- To może być Japończyk. Może. Mówię to, co widzę. Masz wielu mężczyzn. Mężczyźni są stworzeni dla świata, a kobiety stworzone są dla mężczyzn. Kiedy wrócisz z pieniędzmi?

Dinah zastanowiła się przez chwilę.

- Jutro po południu. Wielu mężczyzn, mówi pani?

Mamuśka złożyła jej dłoń w pięść i puściła ją.

- Sprawię, że nad twoją głową zapanuje jasność, nie martw się. Będziesz miała swojego męża.

Dinah kiwnęła głową, myśląc o czymś innym. „Jaki Japończyk?” Pożegnała się, rzuciła okiem na portret Jezusa i wyszła. „Co za Japończyk? Ci Japończycy są już po prostu wszędzie.”

Wyjechała z Sag Harbor i wróciła przez East Hampton do Amagansett. Jechała bez celu. Może pójdzie na pizzę i do kina. Jadąc ulicą Further Lane zauważyła drewniany płot. Dom Rudy'ego. Za ogrodzeniem zobaczyła trawnik porośnięty wysokimi drzewami. Prześwitywał przez nie białoszary, dwupiętrowy dom. Dom Rudy'ego. Rudy i Lindsay... Szczęśliwi... Dinah zatrzymała samochód i zaczęła wpatrywać się w ten dom. Przypomniała sobie jak kiedyś była tu z Rudym. Późnym popołudniem siedzieli przed telewizorem - Rudy oglądał mecz Jankesów. Nie szło im zbyt dobrze, więc i Rudy nie był w najlepszej formie - mężczyzna i jego drużyna. Dinah siedziała ze swoim przenośnym komputerem na kolanach i pracowała nad zwrotem akcji, mającym nastąpić w kolejnym odcinku „Pragnienia serca”. Od czasu do czasu rzucała okiem na mecz i na Rudy'ego. Lou Pinella uderzył piłkę i pobiegł na pierwszą bazę. Ktoś złapał piłkę gdzieś daleko w polu gry. Lou wrócił na ławkę rezerwowych - kokpit, jak mówiła Dinah. Kiedy zbiegał po schodkach, jeden z graczy uderzył go w tyłek. Dinah patrzyła z zainteresowaniem. Pokręciła głową, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Mężczyźni mają dobrze z tymi typowo męskimi rodzajami sportu. Kobiety są tego pozbawione.

Rudy spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Chryste, przestań ciągle narzekać.

Dinah była lekko zaskoczona.

Nagle usłyszała klakson, który wyrwał ją z zamyślenia. Nacisnęła pedał gazu i ruszyła do przodu.

Przypominając sobie tę scenę, pomyślała, że od tamtego czasu wszystko zaczęło się psuć. Jankesi przegrali i stosunki między Rudym i Dinah pogorszyły się.

Kiedy odjeżdżała, spojrzała w tylne lusterko. Zauważyła w nim zamazany obraz dziewczyny z jasnymi włosami w kolorze miodu. Serce zaczęło jej bić szybciej. Czy to była Lindsay? Dinah odjechała i ponownie spojrzała w lusterko, kiedy znalazła się przy znaku „stop”. Nie chciała spojrzeć wcześniej - nie chciała dać się przyłapać. Samochód zniknął. Dinah zamknęła oczy i spuściła głowę. Co ona tu w ogóle robi? Chryste, przestań wreszcie narzekać.

Dinah trwała w stanie zawieszenia między Kochaniem Rudy'ego a niekochaniem go. Czuła się rozdarta pomiędzy te dwa światy. Kochała pamięć o nim, możliwość bycia razem, wszystkie ślady jego obecności.

Darzyła szacunkiem to, co robił. Był w tym naprawdę dobry. Ponieważ była wychowywana w wierze, że kobieta powinna wspierać mężczyznę w jego dokonaniach, Dinah chciała stać się kimś, komu mógłby zaufać, bo wciąż by powtarzała: „Rób tak dalej, Kochanie, bo robisz to naprawdę dobrze”. Mówiłaby to wyraźnie, szczerze i z prawdziwym przekonaniem. Dinah wydawało się, że mężczyźni nie muszą aż tak popierać tego, czym zajmują się kobiety. Nie mają obowiązku ich podziwiać, raczej sprawować nad nimi kontrolę. Kobieta mogła być po prostu piękna. I gdy tak było, stawała się wystarczającym trofeum.

Mimo to Dinah uważała, że dla mężczyzny ważniejszą zdobyczą jest bogactwo, władza, talent. Zaś mężczyźni, których się podziwiała, zwykle potrzebują troskliwej opieki. To byli mężczyźni, o których warto było walczyć i za którymi warto było stać. Dinah nie wiedziała, czy to jest słuszne, czy nie. Tak po prostu jest. Mężczyźni szukali opiekunek, a kobiety żywicieli. Doszła do wniosku, że lepiej zaakceptować taki stan rzeczy, zanim będzie chciało się go zmienić. A czy można było cokolwiek zmienić? Zgadzało się to wszystko z tym, o czym mówiła Connie - dla kobiety źródłem jej osobowości jest jej mężczyzna, dla mężczyzny źródłem jego osobowości jest jego

praca. Dlatego trzeba szukać faceta z dobrą pracą. Pewnie, że dla kobiety dobra praca może być źródłem satysfakcji i dawać poczucie własnej wartości. Jednak, by spełnić się naprawdę, trzeba mieć wspaniałego albo chociaż dobrego mężczyznę, zaś po upływie lat - jakiegokolwiek faceta. Przecież - myślała Dinah - to ciągle jest świat mężczyzn. Wystarczy spojrzeć na byle film - wątki koncentrują się na dramacie mężczyzny, kobieta jest tylko obiektem miłości, punktem odniesienia, nie zaś centrum uwagi. Może nie tyle w telewizji, co...

Rudy pociągał więc Dinah dlatego, że podziwiała to, co on robił. Myślała, że jest z nią, bo jest ładna i nie musi się wstydić tego, czym ona się zajmuje. Mogła stać za nim i mówić: „Dobrze, kochanie, rób tak - rób tak dalej” i nie czuła się jak hipokrytka, ale jak towarzyszką jego życia, która go całkowicie popiera.

Podziwiała jego zdyscyplinowanie - sposób podejmowania decyzji. Podziwiała jego stanowczość. W niej nie było żadnej stanowczości. Siła woli nie była jej drugą naturą.

Rudy uważał, że jest nie tyle zdyscyplinowany, co dobrze zorganizowany. Dinah mówiła sobie, że - w najlepszym przypadku - myśli prawą półkulą. Czasami jednak uważała, że jej prawa półkula osiąga wyniki właściwe dla lewej półkuli. Wyciągała zająca lewej półkuli z kapelusza prawej.

Praca Dinah stawała się coraz bardziej absorbująca. Kiedy stała po stronie Rudy'ego, to tak naprawdę albo siedziała przy telefonie, albo pracowała nad scenariuszem. Jej pragnienie, by wspierać mężczyznę, który był tego wart, było coraz mniej pewne. Wydawało się przestarzałe. Nie spędzała już z nim tyle czasu i miała dosyć zajęcia opiekunki. Mówiła: „Jeśli chcesz mieć opiekę, powinieneś załatwić sobie prywatną stację telewizyjną”, albo: „Jeśli chcesz, żebym pilnowała cię przez cały czas, zachowuj się jak telewizja”. Powiedzmy, że jej dzienna praca zaczęła przeszkadzać jej w pracy nocnej.

To, czego Dinah zwykle potrzebowała od mężczyzny, bardzo często było czymś, czego według niej brakowało jej samej. Ci, którzy ją przyciągali byli wspaniali. Wielki intelekt i dusza artysty. Cieszyli się ogólnym szacunkiem. Więc Dinah nie uważała się za osobę o wybitnym intelekcie, obdarzoną artystyczną naturą, nie uważała się też za osobę dojrzałą i powszechnie szanowaną. Wciąż szukała

swojej lepszej połowy, a kiedy ją już znalazła, zadawała sobie pytanie: „Co on sobie myśli - że kim jest?”.

W obecności Rudy'ego zwykle czuła, że nie ma racji, że jest młoda i głupia. Tym samym Rudy, oczywiście, był starszy, mądrzejszy i miał zawsze rację.

Dinah spoglądała w lusterko, w którym zniknęła jasnowłosa dziewczyna w błękitnym samochodzie. Czy pojechała do domu Rudy'ego? Czy właśnie w tej chwili stoi za nim i szepce: „Napisałeś wspaniałą sztukę, kochanie. Napisz jeszcze jedną”. Dinah doskonale wiedziała, że tak właśnie było.

Przejechała przez całe Amagansett. Myślała o Rudym. Urok, który ktoś na nią rzucił. Szukała go. Niczym rozbitek, unoszący się na bezkresnym morzu. Możliwe, że żaden mężczyzna nie jest wyspą, ale niektórzy z pewnością takie sprawiają wrażenie.

Dinah czuła w środku zamęt i smutek. Przez te wszystkie lata, kiedy ogarniał ją taki nastrój zaczynała pisać. Uciszała ów zamęt przy pomocy pióra, wylewając swoje odczucia razem z atramentem. Jednak wtedy, kiedy pracowała nad „Pragnieniem serca”, pisanie przestało być jej potrzebą, stało się koniecznością i dlatego pisała teraz rzadko, chyba że wymagał tego producent. Ale teraz, w Amagansett, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, ogarnęła ją pasja twórcza. Nie miała jednak ani papieru, ani pióra. Wróciła więc do East Hampton i kupiła sobie blok do pisania i długopis firmy Papermate. Wsiadła z powrotem do samochodu i zaczęła pośpiesznie pisać niedbałym, dziecięcym pismem, jakby chciała wyrzucić z siebie te słowa raz na zawsze i na zawsze o nich zapomnieć.

„Mam coś dla ciebie.

Nie wiem, co to jest, ale to coś wie, że istnieje i że ciebie zna.

Czeka na ciebie. Myślę, że jest twoje.

Zauważyłam to niedługo po naszym pierwszym spotkaniu.

Utorowało sobie drogę poprzez całe moje życie i teraz leży i czeka na ciebie - na coś, co powiesz, na żar, jaki cię spala.

To coś zna ciebie, nazywa cię po imieniu, pragnie być blisko.

Próbowałam przemówić tej rzeczy do rozsądku, ale to na nic się nie zdało.

To coś ma mnie, a teraz chce ciebie.

Objężdżam to coś dookoła, próbuję ukołysać je do snu, ale ono odmawia słuchania dziwnej melodii zdrowego rozsądku.

Zamiast tego - wyśpiewuje pochwały na twoją cześć, szuka ciebie w twarzach innych ludzi. Woła ciebie, a dotyczy mnie.

To wszystko jest bardzo wyczerpujące.

Mam coś dla ciebie.

Coś dobrze znanego, coś, co sprawia, że wciąż czekam aż zgubię pantofelek.

To coś trzyma mnie jako zakładnika i żąda ciebie jako okupu.

To coś kazało mi napisać ten list."

Skończyła i poczuła dużą ulgę, zrzucając ciężar tych słów z piersi - z miejsca, w którym przez cały czas się ukrywała. Wróciła z powrotem do siebie, do swojego nowego domu, na coś zdecydowana, choć dokładnie nie wiedziała, na co. Nie zastanawiała się dłużej, po co tu przyjechała - wiedziała tylko, że musiała tu przyjechać, że postąpiła słusznie.

Dzień dobiegał końca - zapadał pełen czułości zmierzch. Kiedy przejeżdżała przez Springs, radio grało melodię „Przestań ciągnąć za sobą moje serce”. Próbowała stanowczo nie zwracać uwagi na słowa piosenki.

Dinah czekała na jakieś wydarzenie. Na coś, co pozwoli jej zrozumieć zaplątany węzeł, którym stało się jej życie. To było dziwne, bardzo dziwne - przejechała cały kraj, całą Amerykę, żeby przypadkowo znaleźć się blisko nowego domowego ogniska swojego eks-mążonka. Było to o tyle dziwniejsze, że ona sama nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. Jej decyzja wydawała się nie cierpiąca zwłoki, konieczna i zupełnie słuszna. Tak, jak gdy przejeżdża się obok miejsca wypadku, zwalnia się, by móc zobaczyć z bliska skutki tragedii - gapiostwo, tak to nazywają. Szczęście Rudy'ego było dla niej właśnie taką małą destrukcją, taką sceną - przedstawiającą rozbity samochód, z którego ktoś wyleciał przez przednią szybę.

I kiedy ona zwolniła, by przyjrzeć się ciału, zobaczyła, że to chodzi o nią, i wcale się nie zdziwiła. Wiedziała o tym od samego początku.

W ten oto sposób znalazła się w Hampton, by popatrzeć na rozbity miłość Rudy'ego i Lindsay. Wypadek, który oni przeżyli, a w którym ona zginęła - ofiara ich miłości. Nie chciała, by ją to tylko skrzywdziło - chciała, by całkowicie nią zawładnęło, pragnęła zatracić się w ich miłości w nadziei, że w ten sposób może się odnajdzie. Chciała wyruszyć z pielgrzymką do ołtarza, do świątyni ich szczęścia - szczęścia, którego ona nigdy nie była w stanie z nim dzielić, a które on dzielił z kimś innym. Myśl o tym, że oni mogą cokolwiek dzielić ze sobą - życie, szczęście, pokój, łóżko - wydawała się jej odrażająca. Miała wrażenie, że ich świat jest przed nią zamknięty, że została wygnana z krainy idealnej miłości. Teraz Rudy miał z Lindsay to, czego nigdy nie mógł mieć z nią. Przecież właśnie tak było...

Dinah uważała, że mogło być tylko tak. Była brakującym zepsutym ogniwem. To, czego nie mógłby nigdy osiągnąć będąc z nią, miał teraz łatwo, zwyczajnie i bez problemu - z Lindsay.

Dinah wracała od wróżki z Sag Harbor do domu. Mijała domy, zbudowane tylko po to, by mogły służyć szczęściu, zaprojektowane dla dwojga. Tymczasem ona wynajęła za masę pieniędzy chatę za miastem, tuż obok znerwicowanego pisarza. Domek zaprojektowany dla jednej osoby. Klatkę dla królika, mieszkanie dla samotnika z ciemną chmurą nad głową, przed którym długie, smutne życie rozciąga się niczym tory kolejowe, prowadzące donikąd.

Jechała późnym popołudniem i krajobraz wokół sprawiał wrażenie, jakby był rozświetlony wewnętrznym światłem. Delikatnym światłem, które chciało jej przypomnieć, kiedy popełniła błąd - z Rudym, i w ogóle w mężczyznami w jej życiu. „Zawładnąłeś mną bez reszty”... Dinah zmieniła stację. The Rolling Stones śpiewali „Tęsknię za tobą” - piosenkę, której słuchała tego wieczoru, kiedy poznała Rudy'ego. Oczy Dinah wypełniły się łzami. Jedna wymknęła się spod powieki, wypłynęła zza okularów przeciwsłonecznych i potoczyła się w dół. Dinah wytarła ją i jechała dalej, spoglądając przez szybę i wyglądając skreću na Springs.

Wróciła do domu, nakarmiła psa i zaczęła przygotowywać się do spania. Wślizgnęła się między prześcieradła i zasnęła. Tej nocy śniła

jej się, że są razem z Lindsay w hotelowej recepcji. Kochała ją. Uważała, że Lindsay jest jedną z najbardziej czarujących dziewcząt na świecie i czuła, że musi ją ochraniać.

Obudziła się spocona. Leżała w łóżku w prawie pustym pokoju w Springs, skąpana w porannym świetle. Toni siedział obok niej niczym strażnik u bram jej świadomości. Tylko Toni wyglądał znajomo, wszystko wokół wydawało się obce. Minęło kilka minut, zanim zorientowała się, gdzie jest. W świecie Rudy'ego. Obcy człowiek na obcej ziemi. Dziewczęta o złotych włosach, błękitne samochody, domy stworzone do życia we dwoje, ciemna chmura nad jej głową, jasność, narzeczona King Konga, Chrystus na ścianie. Wybaw mnie, wielki Kongu...

- Jest tu ktoś? - zawołał jakiś głos, najwyraźniej nie jej własny, pierwszy głos po zbyt długiej ciszy.

Czy rzeczywiście był czyimś głosem? A może to jej umysł zawładnął przestrzenią wokół niej, rozrastał się i rozrastał, aż w końcu jej myśli przelały się na wszystko dookoła do tego stopnia, że przestała odróżniać siebie od całej reszty? Wszelchobecna Dinah. Dinah nie wyczuwająca różnicy między sobą a światem, dziewczyna bez granic.

- Halo! -gdzieś wysoko nad jej głową odezwał się męski głos. - Pani Kaufman? - zapytał ciepło, choć wciąż pozbawiony cielesnej powłoki. Taki głos, jaki ona lubiła. - Tu Roy Delaney z sąsiedniego domku.

Dinah błyskawicznie usiadła na łóżku. Toni zaszczekał.

- Już idę! - zawołała.

Pies zeskoczył z łóżka, spojrział na nią i zamachał ogonem. Dinah spuściła nogi na podłogę i popatrzyła na nie z pewnym powątpiewaniem. Jej różowy mały palec był taki mały - w południowo-wschodniej Azji uchodziłby za nie lada kasek. Był do tego stopnia malutki, że nie była w stanie nim ruszyć. Zebrała siły. I nic.

- No, może nie tak zupełnie już - powiedziała do swojego nie dającego znaku życia palca.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - zawołał Roy przprasającym głosem.

- Ależ skąd! - zapewniła go. - Która godzina?

- Prawie jedenasta.

- Chryste!

- Może wolisz wpaść do mnie, kiedy będziesz bardziej...
- Co bardziej? - zapytała. - Co mogę być „bardziej”?
- Przytomna. Bardziej przytomna - odparł Roy. - Wracam właśnie z targu. Kupiłem trochę bułek.
- To wspaniale.

Słuchała odgłosów jego kroków, które rytmicznie skrzypiały na drodze do jego domku. Stała nieśmiało przed lustrem i spojrzała na swoją twarz. Wyglądała jak coś, co jeszcze nie ukształtowało się do końca, coś co jeszcze ulegnie zmianom zanim przyjdzie ostateczny kształt. Jak jedzenie, które potrzebuje jeszcze dziesięciu minut w gorącym piekarniku, albo gotuje się na wolnym ogniu, stoi w lodówce czy na parapecie. Spuściła głowę i przecesała ręką krótko ścięte włosy, dochodząc do wniosku, że nie powinna ich tak krótko obcinać. Nie powinna tak bardzo siebie eksponować.

Obcięła włosy, kiedy osiem lat temu przyjechała po raz pierwszy do Nowego Jorku. Na krótko. To pasowało do jej nowej życiowej strategii. Nowa praca, nowa fryzura, Nowy Jork. Jednak zaraz po tym, jak je obcięła, zaczęły ją prześladować - nie istniejące rozdwojone końce, włosy, których nie można było już odzyskać. Widziała siebie jako pełnego kobiecego wdzięku chłopca, chorego elfa. Kogoś, kto nie jest dobry w sporcie, jest zamknięty w sobie, nieokreślony płciowo, nieśmiały. Chłopiec wyrzucony z chóru. Wtedy, gdy pomaszerowała po schodach do fryzjera i dzielnie zaproponowała, by ściał jej loki miało to dla niej znaczenie symboliczne. „Symbol - czego? ” - zastanawiała się teraz. Chciała mieć znowu swoje loki, wyglądać tak jak dawniej.

Odnosiła wrażenie, że jej twarz otaczają obce włosy, włosy kogoś innego. „To musi być jakaś pomyłka”. Wtedy chciała wyglądać lepiej, zapewnić sobie szybszy start w nowe życie, podejść bliżej centrum, rdzenia, miejsca gdzie życie stawało się łatwiejsze.

Mimo wszystko pozostała przy krótkich włosach z tego tylko powodu, że mogła sobie wyobrażać, o ile lepiej by wyglądała, gdyby zrzuciła kilka kilogramów i zapuściła włosy. Do atrakcyjnego wyglądu brakowało jej tylko tego. Czuła się teraz jak uszkodzony towar - coś, co jest przecenione, ale tylko w tym tygodniu - nie wolno przegapić takiej okazji, ceny gwałtownie spadają, wszystko musi zostać sprzedane. Dlatego też usunęła się z targu, na którym

królowały romantyczne uczucia. Zakryła twarz, wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w odgłos odrastających włosów.

Odkręciła prysznic, zdjęła koszulę nocną i bieliznę i weszła pod ciepły strumień. Rytuał przygotowania się na spotkanie z Wielką Małą rozpoczął się po raz kolejny.

Pół godziny później zupełnie inna Dinah - wyszorowana i umalowana, stanęła z miną pełną rezygnacji na werandzie Roya Delaneya.

- Dzień dobry!

- Hej! - usłyszała z daleka.

Widziała, jak idzie w jej stronę.

- Przyszłaś - powiedział z uśmiechem, poprawiając ręką włosy i otwierając drzwi.

- Przyszłam - odparła.

„Nie rób żadnych kawałów” - pomyślała, po czym poprawiła się: - „Żadnych głupich kawałów.”

- Zrobiłem grzanki, ale boję się, że już trochę wystygły - powiedział Roy, przestępując z nogi na nogę.

- Lubię letnie grzanki - odparła Dinah uprzejmie, wchodząc za nim do środka.

Roy zaśmiał się nerwowo.

- Tylko tak mówisz.

Dinah uśmiechnęła się.

- Masz rację, tylko tak mówię. Nie mam żadnych stanowczych zasad w kwestii grzanek.

Roześmiał się i o mały nie przewrócił krzesła.

- Ups. Nie masz żadnych uprzedzeń w stosunku do grzanek.

- Dokładnie.

Dinah weszła za Royem do kuchni i przyglądała mu się, jak wyjmuje dwa talerze i kładzie na nich dwie letnie grzanki.

- Ktoś jest z tobą w kuchni - powiedział z lekkim uśmiechem. - Założę się, że to ci się często zdarza.

- Cóż - zastanowiła się Dinah. - Wcale nie tak często. Tak naprawdę wcale o tym nie wiem.

Świat jej uczyć można było czasem opisać w ten sposób: była sama nocą w domu na wzgórzu, ale oprócz niej był ktoś jeszcze.

Patrząc na Roya Dinah doszła do wniosku, że gdyby mieli ze sobą dziecko, to praktycznie nie miałyby ono górnej wargi. Ale gdyby miało jego oczy - byłyby bardzo ładne. Dinah miała oczy ciemno-

brazowe, Roy - błękitne, o dalekim spojrzeniu. Czy kolor jej oczu nie byłby dominujący? Dinah miała nadzieję, że ich dziecko miałoby jego oczy, ale za to ani po niej, ani po nim nie odziedziczyłyby górnej wargi. Czy to był właśnie zegar biologiczny? Wybijający te fantazje za każdym razem, kiedy patrzyła na twarz nowego faceta, w ogóle jakiegokolwiek mężczyzny?

Wyobraźnia ścisnęła jej umysł jak imadło. Dinah wyobraziła sobie, że wyszła za Roya i jest z nim szczęśliwa, i że to on jest tym, na którego czekała. Ale to nie mogło być prawdą. Nie istniała szczęśliwa para - Roy i Dinah. Ona po prostu nie spotkała tej właściwej osoby. To prawda, dla każdego istnieje gdzieś ta jedna jedyna osoba. A kiedy zaczyna się rozpaczać, że nigdy już się jej nie znajdzie - pojawia się tak nieoczekiwanie.

Musiał istnieć ktoś, dla kogo stworzona była Dinah. Ktoś, kto akceptowałby ją taką, jaką była naprawdę, a ona nie miałaby nic przeciwko temu. Podziwiałaby jego gust, jego osobowość. Była gotowa biec boso na spotkanie jego duszy i śpiewać piosenki z filmu „Brigadoon”.

Obawy Dinah były uzasadnione. To nie był strach przed intymnością, lecz strach przed intymnością z niewłaściwą osobą. Klaustrofobia. Jeśli uczucie jest prawdziwe, to jego przedmiot nigdy cię nie drażni, nie nudzi, zostaje z tobą. W tej fantazji Dinah kochała Roya, a on kochał ją i wszystko było w porządku. Życie ułożyło im się tak jak trzeba - nie walczyli ze sobą, a niepewność i śmierć zostały na zawsze zapomniane. *Que sera.*

Roy i Dinah
Siedzą na drzewie
I całują się.
Najpierw jest miłość,
Potem małżeństwo,
A potem?

Dinah usiłowała przejąć z powrotem kontrolę nad swoimi myślami i uwolnić się z uścisku tego odurzającego wyobrażenia. To była kobieca wersja erekcji w nieodpowiednim miejscu i czasie. Kiedy chłopiec poznaje dziewczynę - popełnia głupi błąd, a kiedy dziewczyna poznaje chłopaka - oznacza to małżeństwo i idealne życie. Jeśli jemu dopisze szczęście, będzie mógł ją pieprzyć. Ona

będzie pieprzona, chyba że będzie miała szczęście. Będzie ją pieprzyło wyobrażenie. A właściwie - zostanie uwiedziona przez wyobrażenie i zerznięta przez rzeczywistość.

Poznajesz faceta i przez twoją głowę zaczynają się przewijać kolejne wizje mężów i potencjalnych żywicieli. Poranna erekcja twoich wyobrażeń; jedna połowa twojego ciała budzi się, gdy druga połowa jeszcze śpi. Tej jednej rzeczy Dinah żałowała w związku z tym, że nie ma penisa. Zresztą nie tylko tej jednej. Również onanizowania się w trakcie oglądania „Penthouse'a”. I zapinania się na lewą stronę.

Jednym z powodów, dla którego Dinah chciała mieć dziecko było to, że gdzieś wyczytała, że kobiety, które mają dzieci, rzadziej chorują na raka. Od czasu do czasu zastanawiała się nad problemem śmierci i doszła do wniosku, że urodzenie dziecka zmniejszyłoby lęk towarzyszący umieraniu. Zostałaby po niej cząstka jej samej. Ktoś, kto mógłby wic dalej nić jej życia, bez względu na to, jakie by ono nie było. Miałaby pewność, że jej dziecko przeniesie jej własną tradycję do Nowego Świata i będzie się z niej śmiać gdzieś przy stoliku w szkolnym bufecie. Jeśli nie mogła żyć w rzeczywistości, to przynajmniej chciała żyć częściowo.

Całują się,
najpierw jest miłość, potem małżeństwo,
a po nim w wódeczku zjawia się maleństwo.

- Nic nie mówisz. O czym tak myślisz? - zapytał Roy, uroczo przechylając głowę.

Dinah spojrzała na jego górną wargę i uśmiechnęła się.

- O niczym - odparła, kręcąc głową. - Po prostu jeszcze nie całkiem się obudziłam.

- Wyglądasz jakbyś miała tapetę na twarzy - powiedział, podchodząc do kuchennego blatu.

Dinah udała, że nie słyszy komplementu.

- Za bardzo się umalowałam, żeby jeść śniadanie.

Wytarła usta dłonią i, powiedziała:

- Już. Teraz wyglądam jakbym była pokryta cienką farbą.

Usiadła przy niewielkim, stojącym w kuchni stoliku i obserwowała, jak Roy nalewa kawę. Spojrzał na nią przez ramię, mieszając kawę.

- Ktoś taki, jak Florence Henderson z migreną. Naprawdę.

Dinah zastanowiła się, czy warto zareagować na tę zaczepkę i zdecydowała, że jednak zmieni temat.

- Twój domek jest większy od mojego.

Roy przyniósł kubek z kawą i postawił go przed Dinah.

- Z mlekiem?

- Poproszę - odparła. - Możesz wrzucić do niej wszystko. Nawet części do samochodu, jeśli oczywiście, je posiadasz.

Roy podszedł do lodówki i wyjął mleko.

- Jeśli mój domek jest większy, to możesz być pewna, że za to płacę. Tutaj płaci się za każdy centymetr kwadratowy powierzchni, i tego widoku.

Nalał jej mleka do kawy.

- Powiedz, kiedy wystarczy.

Wydawało się, że nalewanie mleka trwa wieki. W końcu Dinah powiedziała:

- Kiedy wystarczy.

Roy spojrział na nią zdziwiony, po czym usiadł naprzeciwko niej z kubkiem czarnej kawy w dłoni i zimną grzanką.

- Więc - zaczął, krzyżując nogi i pochylając się do przodu. Dinah obserwowała go uważnie. - Co sprowadza cię do Hampton?

Spojrzała na niego obojętnie. Nie przyszło jej dotąd do głowy, że ktoś może jej zadać to pytanie.

- Słucham? - zapytała zmieszana.

Roy okazał zrozumienie.

- Co cię tutaj sprowadza? Przyjechałaś na wakacje?

W promieniach przedpołudniowego słońca jej twarz wyglądała bardzo blado. Sprawiała wrażenie kogoś, z kim każdy mógł kiedyś chodzić do szkoły. Kiwnęła głową.

- Na wakacje. Przymusowe. W Los Angeles trwa strajk pisarzy, więc...

- Jesteś pisarką?

Kiwnęła głową jakby w przeproszającym geście.

- Piszę seriale telewizyjne.

- To dopiero coś - odparł Roy z entuzjazmem. - Ja też jestem pisarzem. Piszę scenariusze.

- Wiem. To była jedna z atrakcji tego miejsca. Coś, co miało mnie zachęcić do wynajęcia domu właśnie tutaj. Pośrednik mówił, że mieszka tu wielu pisarzy. Ty jesteś doskonałym przykładem -

wzruszyła ramionami i ugryzła swoją bułkę. - Chciałam stać się członkiem tej społeczności.

Roy roześmiał się.

- Społeczność pisarzy w Springs. Bardzo dziwne.

Dinah uśmiechnęła się. Wyobrazila sobie, że są małżeństwem i jedzą właśnie śniadanie. Potrafili ułożyć sobie życie. A Rudy tam był. Istniał jako pojęcie. Był jak sieć. Jak niebo. Jeśli będzie grzeczną dziewczynką, to kiedyś się tam dostanie. I będzie to dla niej wspaniałą nagrodą. Będzie panią Kong. Uśmiechnęła się.

Jej umysł przekładał fantazje na rozsądek, obrazy na słowa. Opisywał rzeczy w taki sposób, w jaki ona je odbierała - najpierw emocje, potem myśli. Tłumaczenie z czarnego na białe. Notatki pomagające zrozumieć skomplikowaną rzeczywistość. Jej umysł próbował upchnąć wszystko do jednej torby z napisem „świat”, a potem dokonać interpretacji. Był zmuszony do pojmwania zjawisk rzeczywistości w sposób podporządkowany i podlegający kontroli. Tylko wtedy Dinah mogła czuć się bezpiecznie- oña, wiecznie szukająca odpowiednich słów, zmęczona nieustannym myśleniem, żyjąca marzeniami.

- Przyjechałeś tu popracować? - zapytała uprzejmie.

- Tak - odparł. - Pracuję nad powieścią. Miały to być nowele, ale zrobiła się z tego powieść. Popieram ten strajk, ale tak się złożyło, że ja nie musiałem z niczego rezygnować. Dopiero zimą będzie gotowy film z moim scenariuszem, więc i tak muszę czekać. Ale po co ja ci to wszystko mówię? Przecież ciebie to nie interesuje.

- Może i nie, ale w gruncie rzeczy to jest ciekawe. Ludzie opowiadają o sobie, żeby usłyszeć odpowiedź. Albo żeby zrobić dobre wrażenie, albo po to, by pokazać, jacy są zabawni, błyskotliwi, ciekawi, jakie odnoszą sukcesy. Żeby stworzyć jakiś pozytywny kontekst rozmowy. Czasami mam ochotę iść na skróty i zapytać wprost, czy ktoś mnie lubi, czy uważa, że jestem zabawna i interesująca. Może każdą rozmowę powinna zacząć od przedstawienia opinii innych osób, które były właśnie takiego zdania.

- Z tego wynika, że muszę teraz oznajmić, że jestem kimś, kto zajmuje się naprawdę ważnymi sprawami, wartościowymi sprawami.

- Wierzę ci na słowo. I tak wyglądasz na wartościową osobę - bez względu na wszystko.

- A co ty możesz o sobie powiedzieć?

- Że jestem zabawna i interesująca - rozmarzyła się.
- Tak? - spytał Roy.
- Jestem w dość trudnej sytuacji. Mój były mąż ma nową przyjaciółkę i jest bardzo szczęśliwy. Jak to powiedzieć w skrócie?
- Jesteś tylko człowiekiem.
- Mam obsesję na jego punkcie. On tu jest.
- Więc po to...
- Dokładnie. Ale kto wie? Może zrobię również coś jeszcze? Poopalam się. Albo wrócę do domu.

- Nie wracaj. Kogo będę częstował moimi zimnymi grzankami? Wszyscy wokół mają ich dosyć. Poza tym potrzebna mi jeszcze jedna kobieca postać do moich opowiadań.

- A gdzie jest kobieta, która zwykle ci towarzyszy?
- Mam żonę, która jest w szpitalu psychiatrycznym i przyjaciółkę, która jest na mnie zła, że się nie rozwodzę i nie żenię z nią. Nie mogę odejść od żony, bo ją to zabije.
- Mówiąc w skrócie - masz duże powodzenie.
- Zbyt duże.
- Więc pewnie nie miałbyś ochoty na romans z przyjaciółką mojego byłego męża.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że są szczęśliwi.

Dinah wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że to mógłby być niezły wątek.

- Czyli w skrócie - nie podoba ci się to, że...

Dinah wstała.

- Za dużo jak na jeden dzień. Myślę, że dokończymy tę rozmowę innym razem. Kiedy będziemy się znali trochę dłużej. Dłużej niż dziesięć minut.

Ruszyła w stronę drzwi. Roy podniósł się i odprowadził ją do wyjścia.

- W takim razie do zobaczenia. Później.

Dinah uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.

- Mówi się, jak do tej pory - bez problemu", ale co, jeśli coś dzieje się zbyt szybko? - powiedziała i wyszła.

Przeszła przez werandę i zniknęła za rogiem. Powietrze wokół niej wydawało się wyjątkowo lekkie - pogodne i słodkie jak uśmiech dziecka. Cieniutką smugą rozchodził się czyjś zapach - kogoś pełnego ciepła i nie wymagającego zachęty. Kogoś wspaniałego.

Wróciła do siebie i wypuściła Toniego. Utkwiła wzrok w aparacie telefonicznym. Tak długo próbowała się powstrzymać. Teraz nie wytrzymała. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Numer Rudy'ego. Chciała usłyszeć jego opanowany głos, ale usłyszała tylko sygnał. Było zajęte. Słuchała przez chwilę i przez tę chwilę znów z nim była. Sygnał w słuchawce stał się odgłosem jej bijącego serca - złamanego serca, bijącego tylko dla niego. Czuła ból, myśląc o tym, jak łatwo ją zranić.

Przejechała ręką włosy i popatrzyła na tańczący w słońcu kurz. Czuła się jak sierota podczas hormonalnej burzy, a właściwie - uczty estrogenów. Przez chwilę próbowała poczytać „Madam Bovary”, po czym włączyła telewizor. Leciał serial „Jane Eyre”. Edward powiedział do Jane:

„Czuję się tak, jakby spod moich żeber wychodził sznur, który łączy mnie z tobą. Boję się, że jeśli odejdziesz za daleko, mógłby pęknąć i wtedy powoli wykrwawiłbym się na śmierć...”

Dinah przełączyła na inny program. Właśnie nadawali streszczenie poprzedniego odcinka „Pragnienia serca”.

Blaine oglądał telewizję - mecz Jankesów. Rose siedziała z przenośnym komputerem na kolanach i pisała. Spojrzała na ekran w chwili, kiedy piłka została wybita daleko w pole gry. Kiedy ją złapano, pałkarz pobiegł na pierwszą bazę. Zbiegł po schodkach na ławkę rezerwowych. Jeden z graczy klepnął go w tyłek.

- Mężczyźni mają dobrze z tymi typowo męskimi rodzajami sportu. Kobiety są tego pozbawione.

Blaine spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Chryste, przestań ciągle narzekać.

Podniósł się i wybiegł z domu. Rose zrzuciła z kolan komputer i pobiegła za nim. Otworzyła drzwi i krzyknęła:

- Idź, na co czekasz! Tylko nie myśl, że nie wiem dokąd. Całe miasto o tym mówi! Spotykasz się z tą...

Dinah wyłączyła telewizor. Doszła do wniosku, że powinna kupić jakieś jedzenie. Postanowiła zrobić sobie przejażdżkę. W sklepie tępym wzrokiem wpatrywała się w owoce. Rudy lubił owoce.

Soczyste, czerwone jabłka. Ona była królową Śnieżką, a on jej wymarzonym księciem. Może powinna kupić trochę bananów? Są zdrowe. Ale czy nie mają za dużo kalorii? Może i tak, ale to są pożyteczne kalorie, nie jakieś tam puste kalorie. Poza tym banany je się w bardziej zabawny sposób niż jabłka. Są jak jedzenie dla dzieci, na niby, do zabawy. Jabłka mogą podrażniać dziąsła, a poza tym trzeba je chrupać. Banany są miękkie i delikatne. Podjęła ostateczną decyzję i sięgnęła po kiść bananów. Nagle tuż za wagą ujrzała Johna Delmana. Był szwagrem Rudy'ego.

Cofnęła rękę, jakby coś ją ugryzło, jakby tym gestem miała sprawić, że zniknie. John zniknie, banany zostaną. Jednak tak się nie stało, a zaskoczony John odezwał się:

- Dinah! Nie wierzę własnym oczom! Jak się masz!

Ruszył z miejsca, żeby ją uścisnąć. Zaskoczył ją i dla zachowania równowagi musiała się o niego oprzeć. John cofnął się.

- Niech ci się przyjrę. Boże, nie widziałem cię od...

- Witaj, John. Dobrze wyglądasz.

Nie cierpiała, kiedy ktoś się jej przyglądał, ale jeszcze bardziej nie znosiła, jak ten ktoś ją o tym dodatkowo informował. W takich chwilach próbowała sobie przypomnieć, jak właściwie wygląda. Nie mogła. A ponoć miało to mieć znaczenie.

- Nie narzekam. Przybyło mi kilka kilogramów, ale myślę, że dobrze mi to zrobiło.

John był mniej więcej czterdziestopięcioletnim mężczyzną średniego wzrostu i był bardzo, bardzo chudy. Miał mały nos, który wyglądał, jakby należał do kogoś innego i nosił wąsy. Odkąd go znała, twarz Johna zawsze sprawiała wrażenie wychudzonej. Niczym twarz arystokraty albo Indianina. Albo też znanego indiańskiego arystokraty. Robiła na niej wrażenie twarzy, którą można zobaczyć na butelce sosu do sałatek.

- Jak Laura? - zapytała uprzejmie.

Laura była żoną Johna - siostrą Rudy'ego.

- W porządku. Ciągłe próbuje rzucić palenie.

Dinah uśmiechnęła się. Laura była najbardziej nerwową osobą, jaką kiedykolwiek znała. W przeciwieństwie do Rudy'ego. Zawsze albo się śmiała, albo płakała, albo paliła papierosy.

- Pozdrowisz ją ode mnie?

- Musisz nas odwiedzić - nalegał John. - To, że odeszłaś od Rudy'ego, nie znaczy wcale, że zerwałaś z nami. Ciągłe jesteśmy rodziną.

Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Wyjął je i patrząc na nią pogładził wąsy. Dinah zaczęła obierać banana.

- To miło z twojej strony - zaczęła wolno, gryząc owoc. - Myślę jednak, że taka sytuacja jest trochę niezręczna.

- Bzdura - zaprzeczył John. - Sama to sobie wymyśliłaś.

- Dużo rzeczy sobie wymyślam - odparła z pełnymi ustami. - Ale liczą się także moje uczucia.

- Cóż, jedyny sposób, żeby sobie z nimi poradzić, to sprawdzić, czy są rzeczywiste.

- Jak mam to zrobić? - spytała nieśmiało, myśląc jednocześnie, że o wiele przyjemniejsze byłoby zmierzenie się z czymś o wiele bardziej niebezpiecznym.

- Możesz pojechać teraz ze mną do domu i zjeść z nami lunch.

Dinah wzięła się i skręcała, ale wiedziała, że wpadła już w sidła świata Rudy'ego i stopniowo była do niego wciągana - otoczona przez jego rzeczywistość i przerażona niczym schwywane zwierzę.

Oprócz bananów kupiła trzy bułki kukurydziane i małe opakowanie plastrów opatrunkowych z myślą o swoich kciukach, które zamierzała opatrzeć sobie po drodze. Czekająca ją stresująca sytuacja, a jej kciuki musiały znosić ciężar jej zdenerwowania. Wyszła ze sklepu i zobaczyła Johna, który czekał, aż ona ruszy za nim na ten przerażający lunch. Ale czy nie tego właśnie chciała? Dostać się do życia Rudy'ego bocznym wejściem. Odkryć tajemnicę jego nowego związku, ujawnić światu jego wady. Niedługo po rozstaniu strata Rudy'ego nie była aż tak bolesna, ponieważ nie straciła go wtedy do końca - odłożyła go na niewłaściwe miejsce. Gdzieś w świecie Rudy wciąż dla niej istniał. Był rzeczywisty, realny. Jak kraina wiecznej zieleni. Nie należał ani do niej, ani do nikogo innego. Teraz nie tylko nie był jej, ale w dodatku do kogoś należał. Ona go zgubiła i ktoś go odnalazł. Tym razem kraina wiecznej zieleni przestała istnieć na zawsze.

Dinah posłusznie jechała za brązowym BMW Johna. Chciała usłyszeć historię Rudy'ego i Lindsay. A jeśli to miały być same pozytywne wiadomości? Obiecała sobie, że zniesie to po męsku. „Ale jak mężczyźni to robią?” - zastanawiała się, skręcając w lewo

w aleję Egipską. Zaciskają wargi, uśmiechają się chłodno, coś w tym stylu. Zachowują się jak Anglicy. Jak Oskar Wilde. Może nie tyle Oskar Wilde, co - no kto? J. B. Priestley? Kingley Amis?

Zdecydowała się stawić czoło całej tej sytuacji - bez względu na to, co się stanie. Poza tym - lubiła to. Lubiła dawać się ponosić uczuciom, jak kiedyś. Zabrnęła już tak daleko, więc musi teraz brnąć dalej - nieważne, jaka to będzie droga.

Rozejrzała się wokół. Dzień był piękny i radosny, zachęcał do zdecydowanych działań. Doskonały na podjęcie decyzji - nawet jeśli oznaczała robienie czegoś, co już trwało, na wybranie czegoś, co już zostało wybrane. Odezwał się Roy-nastroj i Dinah popędziła przed siebie, wychodząc naprzeciw nawałnicy faktów uzbrojona w swoją bliższą sercu fikcję.

John wjechał na podjazd przed domem, pokrytym szarobiałą dachówką. Dinah skręciła za nim i zatrzymała samochód. Z wnętrza domu dobiegło głośne szczekanie psa, który wybiegł po chwili przez otwarte drzwi.

- Siad, Mitch - John przywołał teriera do porządku, kiedy pies podbiegł do Dinah i z radości zsiusiał się u jej stóp.

Dinah przykucnęła, pogłaskała go i uspokoiła.

- W porządku - powiedziała, kiedy pies zaczął ją lizać. - Dobry pies.

Usłyszeli pisk, a chwilę po nim rozległ się podobny do jęku śmiech. Dinah zobaczyła Laurę, biegnącą ku niej z wyciągniętymi ramionami. Z jej dużych, niebieskich oczu płynęły łzy.

- Zobacz, kogo znalazłem w sklepie - krzyknął John.

Laura biegła z taką szybkością i radością w oczach, że Dinah lekko się zaniepokoiła. Musiała oprzeć się o schodek, kiedy Laura rzuciła się na nią i trzymała tak mocno, jakby odnalazła kogoś, kogo szukała przez całe życie. Dinah odwzajemniła uścisk ostrożnie i zaskoczona spojrzała na Johna, który przyglądał się całej scenie z wyraźną aprobatą.

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę! - krzyczała Laura z twarzą w jej włosach. - Ty tutaj! Kiedy przyjechałaś? Dlaczego do nas nie zadzwoniłaś?

Słowa uwięzły jej w gardle.

- Dopiero co przyjechałam - powiedziała Dinah po chwili. - Zadzwoniłabym na pewno. Moją wizytę potraktuj jak telefon.

Laura zmieszała się. Przez chwilę starała się zrozumieć, co Dinah chciała powiedzieć, po czym otworzyła szeroko oczy i roześmiała się.

- Mam potraktować to jako twój telefon - powtórzyła. Wzięła Dinah pod rękę i wprowadziła do domu. - W takim razie właśnie podnoszę słuchawkę - dodała, przechodząc przez próg.

John pogładził wąsy i podążył za nimi. W domu było chłodno. Chłodno i biało. Cały front domu był oszklony. Na zewnątrz znajdował się taras z widokiem na morze. Dinah z przyjemnością wdychała delikatne, słone powietrze. Nad jej głową rozlegał się ptasi pisk. Kiedy Laura poszła po mrożoną herbatę, Dinah otworzyła chroniące przed owadami drzwi i popatrzyła na morze - morze Rudy'ego, którego wody docierały do niej ze wszystkich stron. Gdzieś na dole bawiły się dzieci - ich krzyki unosił lekki morski wiatr. Na wodzie kiwały się łódki. Laura przyniosła herbatę.

- Bardzo proszę - powiedziała radośnie.

Włosy opadły jej na twarz, a jasnobłękitne oczy wydawały się nieobecne, jakby próbowała przypomnieć sobie coś ciekawego lub smutnego, coś co wydarzyło się kiedyś, dawno temu.

- John bierze prysznic - powiedziała przepaszającym głosem, jakby ujawniała jakiś podejrany rytuał, w którym on brał udział, a którego ona nie mogła zrozumieć.

Dinah odnalazła w jej twarzy podobieństwo do Rudy'ego - taki sam ostry nos, wąskie surowe usta, które dzięki emocjonalnej naturze Laury nabrały zdecydowanie więcej łagodności.

- Ta cała sprawa z Quayle'em jest niesamowita - powiedziała Laura.

- Jaka sprawa? - spytała Dinah. - Kto to jest Quayle?

- Kto to jest? - Laura była zdumiona, - To przeciwnik Busha w wyborach. Gdzie ty się podziewałaś? W wiadomościach mówią o tym bez przerwy.

Dinah pobladła ze wstydu.

- Ostatnio byłam... - zastanowiła się przez chwilę - trochę wytracona z równowagi. Podróżowałam. Nie zachowywałam się jak porządna obywatelka. Nie mów o tym nikomu. Czy Quayle jest złym kandydatem?

Laura wzruszyła ramionami.

- Jest głupi - powiedziała. - A to jest złe, jeśli Bush... westchnęła i zmieniła temat. - Widziałas Rudy'ego? - zapytała niewinnie.

Dinah uśmiechnęła się, schowała brodę w ramionach i pokręciła głową.

- Nie. Tutaj nie. Widziałam go w Los Angeles, ale tutaj nie.

Laura odwróciła głowę i popatrzyła na nią.

- A zamierzasz się z nim tutaj spotkać?

Dinah westchnęła i uśmiechnęła się.

- Nie sądzę. Ma nową przyjaciółkę, więc...

Laura usiadła. Trzymała szklankę w taki sposób, jakby dzięki temu obciążeniu chciała zachować równowagę.

- Więc ci powiedział?

Dinah kiwnęła głową, patrząc na nią.

- Widziałaś ją? - zapytała jakby nigdy nic.

Założyła nogę na nogę i przybrała minę osoby, którą niewiele to interesuje i która dawno ma już za sobą potrzebę mało istotnych więzi międzyludzkich. Niby życzliwy przyjaciel, który z uprzejmości wykazuje zainteresowanie panującymi w towarzystwie zwyczajami. Laura odczuła zdecydowaną ulgę, widząc na twarzy Dinah niezmażony spokój.

- Tak, widzieliśmy ją kilka razy od czasu, kiedy są razem. Wydaje mi się, że jest bardzo miła i spokojna.

- Kto jest spokojny? - krzyknął stojący w drzwiach John, przebrany i odświeżony. Za nim pojawił się pies.,

- Z pewnością nie ty, kochanie - odparła beznamiętnie Laura, odwracając się w jego stronę.

John usiadł obok niej. Jego mokre włosy świeciły w słońcu.

- Rozmawiamy o Lindsay, kochanie - wyjaśniła mu cierpliwie. - Nowej przyjaciółce Rudy'ego.

- Ach, tak - odparł John, słodząc herbatę. - Świetna dziewczyna - ciągnął dalej. - Ogólnie rzecz biorąc, bardzo dobra dla niego. Nie sądzisz, kochanie?

- Oczywiście, nie da jej się z tobą porównać - powiedziała szybko Laura, odwracając się do Dinah trochę spłoszona. - A ponieważ między wami nie dało się jakoś wszystkiego ułożyć, ktoś taki jak Lindsay zajmuje drugie miejsce po tobie - dokończyła Laura wesoło.

„Ktoś taki jak Lindsay” - pomyślała Dinah. Prawdopodobnie ona właśnie taka jest, podobna do kogoś. Ktoś taki jak ona zamiast niej samej. Zamiast Dinah.

- Oczywiście. Dla niego to naprawdę wspaniale - powiedziała spokojnie, jakby miała to za sobą i wreszcie była wolna.

- Lauro, może przyniesiesz nam trochę tej sałatki z tuńczykiem - John zwrócił się z zapalem do żony.

Dinah zauważyła, że kołnierzyk jego koszuli śmiesznie odstaje - jakby postawił go silny wiatr. Laura wyszła do kuchni, zostawiając Dinah z Johnem i jego wyjątkowym kołnierzykiem.

- Właściwie się cieszę, że tak im się ułożyło - ciągnął dalej wylewnie. - Naprawdę myślę, że ma poważne plany wobec tej dziewczyny. To może być właśnie ta. Mówił ci, jaką ma nową teorię na temat związków?

Dinah odezwała się dopiero po chwili.

- Wydaje mi się, że nie.

- To jest bardzo interesujące, o ile dobrze pamiętam. Zaraz? - założył ręce za głowę i zmrużył oczy od słońca. Dinah czekała. - Myślę, że głównie chodzi o to, aby kogoś poderwać i zrobić wszystko, żeby się udało.

Dinah przełknęła tę wiadomość. W końcu powtórzyła bezbarwnym głosem:

- Poderwać kogoś i zrobić wszystko, żeby się udało.

John pokiwał głową.

- Tak, coś w tym stylu. Powiedział, że w każdym przypadku jest to trudne - nie, chwileczkę, powiedział tak? Może nie. W każdym razie coś takiego, że trzeba poderwać kogoś, z kim można spędzić trochę czasu - niekoniecznie musi to być od razu miłość - i po prostu się postarać, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Znaleźć kogoś, kogo się lubi i to uczucie z czasem przekształci się w pewien rodzaj miłości.

- Rozumiem - powiedziała Dinah.

Marzyła o jednym - chciała stracić słuch. John złożył ręce na piersiach i ciągnął dalej, patrząc na odbijające się na wodzie promienie słońca:

- Sądzę, że on się z nią ożeni.

Dinah zamarła. Coś się w niej załamało, pozostawiając tylko przejmujący ból. Wypełnił ją żalony jęk. Przybita całym tym ciężarem powiedziała prawie bez tchu:

- To wspaniale.

- Masz rację. Po tych wszystkich waszych problemach nie sądziłem, że będzie miał dość siły, by spróbować jeszcze raz. Ty masz

jeszcze dużo czasu, ale on jest starszy od ciebie. Więc jeśli chce mieć dzieci, nie może czekać z tym zbyt długo.

- Myślisz, że będą mieli dzieci? - spytała Dinah głucho brzmiającym głosem. Była jak zahipnotyzowana, przybita do miejsca, jakby poddawano ją chińskim torturom.

- Mam nadzieję. Wiem, że ona chce mieć. Jest w odpowiednim wieku. W twoim wieku.

Dinah milcząco pokiwała głową. John mówił dalej:

- Wiem, że szukali w mieście nowego mieszkania. Myślę, że Lindsay chciałyby zacząć wszystko od nowa.

W tym momencie Dinah ogłuchła. Nowe mieszkanie. Ona nigdy nie zdołałaby namówić go na nowe mieszkanie. Ani na dzieci. Jezus.

Pojawiła się Laura z sałatką. Dinah przesunęła miskę. Laura spojrzała zaniepokojona. John mówił już o czymś innym - o nowych filmach, pogodzie, Barbarze Bush, żonie Quayle'a. Dinah obserwowała jego usta i sączyła herbatę. W końcu podniosła się do wyjścia. Czowała się źle. Była kompletnie rozbita. Objęła Laurę i obiecała, że zadzwoni.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

Dinah nie pamiętała, co odpowiedziała. Mogła powiedzieć wszystko. Teraz wszystko było możliwe.

- Nic mi nie jest. Dzięki za tuńczyka.

Zapaliła silnik i ruszyła. Prosto do domu Rudy'ego. Jak strzała pędząca do celu. Do środka tarczy.

Podczas jazdy dokładnie wiedziała, gdzie ma jechać. Wiedziała, że panuje nad sobą. Chociaż okoliczności, w jakich się znajdowała, były raczej dziwne, za kółkiem mogła przynajmniej cieszyć się złudzeniem, że ma przed sobą rozsądny cel.

Zatrzymała się przy latarni w Amagansett. Staneła za jakimś samochodem, w którym siedziała para. Ich głowy zbliżone były do siebie jak dwie połówki owocu - wgrzyzali się nawzajem w swój słodki miąższ. Dinah wyobraziła sobie, jak sok cieknie po ich szyjach. „Gdzie jest moja druga połówka?” - zastanowiła się.

Znalazła ulicę, przy której mieszkał Rudy i stanęła przecznicę dalej w bezpiecznej odległości. Wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi. Ze spuszczoną głową przeszła na drugą stronę ulicy, wśliznęła się na sąsiednie podwórko i ruszyła w kierunku domu. W letnim upale wszystko wydawało się nieruchome. Dinah potarła brwi i szła dalej.

Przed domem nie było samochodu Rudy'ego. Nie było także jasnobłękitnego samochodu tamtej dziewczyny. Czy oni nie jeździli jednym? Dinah zastanawiała się nad tym, skradając się przez krzaki na tyły domu. Patrzyła w dół i oglądała się za siebie, serce miała w gardle. Szybko przeszła przez podwórko i weszła po schodach na werandę. „A jeśli ktoś jest w środku? Boże, co ja robię? Zauważą mnie, muszę pamiętać o oddechu. Co powiem, jeśli ich spotkam? Cześć, właśnie przechodziłam obok? Zostawiłam tu czerwony kostium kąpielowy trzy sezony temu? Powinna odejść, zacząć życie od nowa. Ale przecież zaczęłam nowe życie i oto, do czego ono mnie doprowadziło. Z powrotem do tego samego.”

Była już przy tylnym wejściu i patrzyła na dwie pary zapiazszonych butów przy drzwiach. Jego i jej. Ich. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Weszła do środka. Przekroczyła próg złego zachowania.

Zatrzymała się. Nie, są przecież jakieś granice. Nawet ona o tym wiedziała. Na co liczyła? Co chciała tam znaleźć? Dowód kłamstwa? Ubrania Lindsay? Tak, chyba o to przede wszystkim chodziło. Chciała się przekonać, jak ubiera się nowa przyjaciółka Rudy'ego. Chciała albo się upewnić, albo dowiedzieć, kim była Lindsay. I kim nie była. Nagle to stało się złe, poniżające i smutne. Głupie. Odwróciła się i skierowała do wyjścia. W tym momencie zobaczyła nadjeżdżający samochód Rudy'ego.

Zamarła, a z nią wszystko wokół niej. Dom, meble, dywan, ściany, drzwi, drzewa, promienie słońca - nie pozwoliły jej ruszyć się z miejsca. Przez boczne okno obserwowała, jak mercedes Rudy'ego zatrzymuje się przed domem. Silnik umilkł. Dinah rzuciła się do ucieczki. Staneła na środku salonu i zaczęła zastanawiać się, gdzie powinna się ukryć. „W szafie w przedpokoju... Szybko, już idą... Zdecyduj się... którędy... schodami na górę... nie... tam nie... Więc gdzie? - W szafie. Otwórz drzwi.”

Biegła do szafy, gdy usłyszała głos Rudy'ego i jego kroki na schodach. Otworzyła drzwi i wskoczyła do środka - nie zachowywała się za głośno? Słyszeli ją? Wepchnęła się pomiędzy ubrania, zamknęła za sobą drzwi najciszej jak mogła i pogрузzyła się w całkowitej ciemności. Szafa była w połowie drogi między salonem a sypialnią. Tuż obok płynęło czyjeś życie.

Chwilami Dinah miała wrażenie, że dokładnie wie, co robi. Było to jednak bardzo subtelne odczucie - gdyby kichnęła zbyt głośno lub zbyt gwałtownie się poruszyła, mogłoby zniknąć. A gdy kuliła się w szafie między płaszcami a butami zrozumiała, że przestało istnieć. Całkowicie.

Przekroczyła granicę łagodnego masochizmu. Od tej chwili byłby już brutalny. Dinah pragnęła bliskości, ale zawsze oczekiwała jej od tych, którzy trzymali ją na odległość ramienia. Czuła, że desperacko tęskni za bliskością tego mężczyzny, tych wszystkich facetów, ale jeśli chodziło o bliskość - taką, jakiej ona rzeczywiście chciała - nigdy nie wybrałaby Rudy'ego. Wybrała go z różnych powodów - dobrych i złych, kierowała się i rozsądkiem, i sercem. Wszystkie te powody były ze sobą beznadziejnie powiązane. Człowiek kocha to, co sprawia mu ból. Myślisz, że kochasz pomimo cierpienia, a okazuje się, że kochasz, dlatego że cierpisz. Kochasz ból. I rozumiesz przyczynę, dla której tak jest - wraca z głębokiej przeszłości. Uczucie dziecka, które myślało, że jest niewystarczająco dobre.

W szafie było duszno - coś lepkiego otaczało Dinah ze wszystkich stron. Wpadła w pułapkę nieświeżego, zastarzałego, bezwładnego, nieruchomego powietrza. Zastanawiała się, czy to samo powietrze było w tej szafie, kiedy ona i Rudy byli jeszcze razem. Zerwała plaster z jednego palca i zaczęła skubać kciuk. Kolejne kłopoty, które sprowadził na nią Roy-nastrój. Wstrzymała oddech. Zaskrzyphiał jej but. Zamknęła oczy i napięła mięśnie twarzy. Jeśli niczego nie zobaczy, to jej też nie zauważą. To, czego człowiek nie widzi, nie sprawia mu bólu. Chyba że są to zarazki albo środek znieczulający. Trzasnęły drzwi.

- Myślę, że powinniśmy wycofać nasze oddziały z Japonii i Niemiec i dopiero wtedy przekonać się, czy ich gospodarka będzie tak świetnie prosperować - powiedziała Lindsay zza kuchennych drzwi. - Daj mi je tu.

Dinah otworzyła oczy, jakby obudzona brzmieniem głosu nowej dziewczyny Rudy'ego. Lindsay?

- Lindsay, nie możemy tak po prostu wycofać ich stamtąd. Podpisaliśmy porozumienia z tymi krajami. Idę pod prysznic.

Dinah usłyszała pobrzękiwanie srebrnej zastawy.

- O Boże - powiedziała Lindsay. - Zostaw to. Ja się tym zajmę.

Rudy chrząknął.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

Kroki Rudy'ego zbliżyły się do szafy, zaskrzypiały drewniane deski w podłodze. Zatrzymał się. Serce Dinah zaczęło walić, jakby chciało ją zdradzić.

- Ruszałaś moje trampki? - zawołał tuż obok, za drzwiami, tak blisko, że słyszała jego oddech.

Czy mógł ją usłyszeć? Ukryła twarz między kolanami i skuliła się tak bardzo, jak to było możliwe. „Boże, błagam. Niech ona go sobie weźmie. Niech już będą razem. Tylko nie pozwól, żeby mnie tu znaleźli. Nie przeżyję takiego upokorzenia.”

- A gdzie je zostawiłaś? - zawołała Lindsay.

- Tutaj - odpowiedział. - Na schodach.

- Pewnie schowałam je do szafy.

„Boże. To już koniec. Teraz spotka mnie kara. Zostanę w takiej pozycji na zawsze. Umrę.”

- Do której szafy?

Poruszył się zamek. Nie, to nie może dziać się naprawdę.

- Na górze - odpowiedziała Lindsay.

„Uwielbiam ją za to” - pomyślała Dinah. Zamek się uspokoił.

- Kochanie, nie ruszaj moich rzeczy, dobrze? Zawsze zostawiam trampki na schodach, żeby mieć je pod ręką, kiedy idę rano pobiegać.

Jego kroki skierowały się na górę.

- Przepraszam - zawołała.

- Nie szkodzi - uspokoił ją.

Był już na górze, w sypialni. Lindsay odkręciła wodę w kranie i otworzyła lodówkę. Dinah słuchała tego z prawdziwą ulgą. Bolała ją szyja i zdrętwiały jej palce u stóp. „Boże, pozwól tylko mi się stąd wydostać. Wrócę do domu, przysięgam. Uspokoję się. Zwiążę się z jakimś facetem. Jakoś to przeżyję. Napiszę scenariusz, pójdę do kościoła, świątyni, gdziekolwiek, wszędzie. Tylko nie pozwól, żeby mnie tu znaleźli. Nawet jeśli mówi do niej «kochanie». To ja jestem jego «kochanie». Byłam. Każdy jest «kochaniem» dla kogoś.”

Poruszyła się odrobinę, żeby zdjąć ciężar z kolan. „Zachowuję się jak psychopatka” - pomyślała. - „Jak masochistka i psychopatka”. Wyprostowała się odrobinę, jej twarz znalazła się w ubraniach,

w ciemności, po czym usiadła ciężko na jakichś butach, wydając przy tym stłumiony odgłos. Skrzywiła się i znów pograżyła w ciszy. Czekwała na zbliżające się nieszczęście. Usłyszała jednak, jak Lindsay słodkim głosem podśpiewuje, krzątając się po kuchni.

Flintstones,
Oto Flintstones,
To rodzinka sprzed tysięcy lat,
Mieszka w mieście Bedrock,
To prawdziwy jest historii znak?

Dinah uśmiechnęła się do siebie. Może to o to chodziło z tym zachowaniem, sterowanym przez nastrój. Takie rzeczy nie zdarzają się każdemu - kiedy emocjonalny impuls staje się dekretem, prawem, któremu trzeba się podporządkować. Zaczyna się dość banalnie, ale z czasem mały strumyczek zmienia się w rwący potok, gwałtownie przybierając na sile. Dinah nie mogła się temu przyglądać: jeśli się nie patrzy - wielu rzeczy po prostu nie ma. Sama sobie dawała taką radę, jednak nie zawsze się to sprawdzało. To była serotonina - substancja w mózgu, która przepływa pomiędzy połączeniami nerwowymi i łączy je ze sobą. Dinah miała jej zdecydowanie za dużo. Za to wcale nie miała adrenaliny. Albo miała jej za mało. Roy i Pam. Przypływ i odpływ. A co teraz? Jaka fala wepchnęła ją do tej szafy? Serotonina. Jej nastrój był autorem muzyki, a umysł - autorem słów. „Operetka o serotoninie”.

Jedźmy przed siebie hen,
Kochany Fred uniesie ich?

Tych słów Dinah nigdy wcześniej nie słyszała. Pamiętała melodię z reklam i fragmentów filmu. Powracające refreny. Sposób, by rozproszyć myśli, który wyrobiła sobie przez lata, kiedy w pobliżu nie było ani telewizji, ani radia, dzięki którym mogła zapomnieć o wszystkim i przenieść się w swój własny świat.

- Jak ci idzie? - Dinah usłyszała nad swoją głową głos Rudy'ego, schodzącego po schodach.

- Dobrze - wyszeptała w ciemnościach.

- Dobrze - zawołała z kuchni Lindsay. - Jaki chcesz ryż - biały czy brązowy?

- Biały - odpowiedział Rudy tuż nad głową Dinah. - Przecież muszę uważać na swój cholesterol.

- Może w takim razie nie trzeba było kupować chińszczyzny. Powinniśmy pójść do japońskiej restauracji.

„Pięknie” - pomyślała Dinah, kiwając głową. - „A więc to o to chodzi.” Z nią miał chińszczyzny po dziurki w nosie, a teraz dalej gromadzi zbędny tłuszcz u boku Lindsay. Zdjęła plaster z drugiego kciuka i zaczęła obgryzać skórę spod resztki paznokcia.

- Nie ma sprawy - uspokoił ją głos Rudy'ego, który wciąż słychać było znad jej głowy. - Kurczak z orzechami wcale nie jest zły.

- Strączki grochu też są w porządku - dodała Lindsay.

„Strączki grochu są w porządku” - wyszeptła Dinah w ciemnościach, przysłuchując się, jak Rudy przechodzi obok jej kryjówki i wchodzi do kuchni.

- Groch jest niezły - zgodził się z Lindsay.

Dinah słuchała, jak oboje krzątają się po kuchni, przygotowując jedzenie. Drzwi od lodówki otwierały się i zamykały, zatrzeszczało pudełko do lodu i po chwili usłyszała stuk kostek wpadających do szklanki. Jedna, druga, trzecia, czwarta. Korek w butelce z winem zaskrzypiał i wyskoczył. Na stole znalazły się talerze. Słychać było, jak odsuwają krzesła. Pewnie na nich usiedli.

Dinah siedziała skulona z uchem przyciśniętym do drzwi szafy. Co takiego miała w sobie Lindsay, czego ona nie miała? A może miała mniej tego, czego Dinah miała za dużo? Pewnie tak było. Dawała się uzależnić i była podatna na wpływy. Była miłą ramą dla obrazu jego osoby. Mniej wymagająca, bardziej myśląca o nim niż o sobie, bardziej koncentrująca się na jego ambicjach niż na swoich. Bardziej odpowiedzialna, wykazująca większe zainteresowanie tym, co on robił, a sama mniej interesująca i mniej skomplikowana. Jak żona, na litość boską, jak żona. Do diabła, Dinah też chciała mieć kogoś takiego. Może niekoniecznie żonę. Partnera, towarzysza, sprzymierzeńca. Kogoś, kto byłby równie wrażliwy jak ona. Kogoś, kto byłby interesujący. Może nie zawsze, ale za to przede wszystkim. Żeby mogła zadawać sobie pytanie: co on o tym myśli, o czym marzy, co takiego powie?

Jedyne światło przedostawało się przez małą szparę pod drzwiami. Zapach ciasnej szafy kręcił ją w nosie. Dinah potarła go

grzbietem dłoni. Ostrożnie przesunęła kalosz, który wbijał jej się w nogę. Miała wrażenie, że żyje po śmierci, pokarana przez tego, który ją stworzył. Skazana na szafę, by mogła rozmyślać o Bogu i swoich złych uczynkach. Uwięziona w tej krypcie na ubrania. Wstydliva tajemnica Rudy'ego.

- Kupiłam dziś kilka książek kucharskich - powiedziała Lindsay.

Najwyraźniej zaczęli już jeść. Dinah ostrożnie przysunęła się bliżej drzwi, bo mówili teraz ciszej i byli od niej dalej.

- Naprawdę? - odpowiedział Rudy z pełnymi ustami nieco stłumionym głosem. - Jakie?

- Jedna z przepisami z Nowej Anglii, ze względu na potrawę z mięczaków, o której ci opowiadałam - odparła Lindsay - a druga to niespodzianka. Na jutro.

Dinah spochmurniała. Pokręciła głową. Niespodzianka domowej roboty. Jak ona mogła konkurować z czymś takim? Oderwała z kciuka długi kawałek skóry, musiała odgryźć ją zębami. Pocięła krew, wysssała ją z rany. Rozmowa w kuchni toczyła się dalej:

- Dlatego jutro przez cały dzień musisz się trzymać z daleką od kuchni - z przejściem powiedziała Lindsay.

Dinah usłyszała, jak odsuwa się krzesło. Po chwili otworzyła się lodówka i zamknęła z powrotem.

- Ale dlaczego aż przez cały dzień?

- Żeby potrawa z mięczaków była idealna, potrzeba czterech do pięciu godzin - odparła Lindsay z namysłem. - Mam na myśli pokrojenie wszystkich składników i duszenie. Potem trzeba połączyć to z... tą niespodzianką. No i to zajmie prawie cały dzień. Oczywiście najpierw przygotuję ci śniadanie. Kawałek melona i trochę miisli. A potem coś lekkiego na lunch. Może sałatkę z tuńczykiem.

Dinah z przerażenia pochyliła głowę do przodu i cicho westchnęła. „Miisli i tuńczyk? Cholera, w żaden sposób nie mogę się z czymś takim porównywać. Nawet nie wiem, co to jest miisli. Umiem zrobić tylko kanapkę z bananem i niesmaczną cielęcinę.” Zmieniła pozycję, żeby móc się położyć. Nie była pewna, jak długo wytrzyma na siedząco.

- Tuńczyk brzmi nieźle. Może wystarczy tylko trochę indyka - powiedział Rudy.

„Chryste” - pomyślała Dinah, podkładając sobie pod głowę buty. Nie miała pojęcia, że Rudy tak bardzo interesuje się jedzeniem.

Może gdyby Lindsay miała coś gotowego, coś co zaspokoiłoby kulinarne fantazje Dinah, też by zjadła. Opiekuńcza matka-przyjaciółka. I wokół żadnego rodzeństwa, żadnej konkurencji, z którą trzeba walczyć o akceptację i zainteresowanie. Mogłaby zadedykować takiej matce wszystkie swoje uczynki, jak władczyni w „Zrządzeniu losu”, wisząca na stryczku. To wszystko jest dla ciebie, Damien.

Dinah ziewnęła i gwałtownie wciągnęła ciężkie powietrze, którego robiło się coraz mniej. Nagle cicho kichnęła. Jezu! Zakryła usta ręką i czekała w przerażeniu. Oczy wlepiła w otaczającą ją ciemność.

- Słyszałeś coś? - zapytała Lindsay cicho.

Rudy zastanawiał się chwilę. Wstał, odsunął krzesło i przeszedł obok Dinah, kierując się w stronę drzwi wejściowych. Otworzył je, żeby sprawdzić.

- Nic nie widzę - powiedział po powrocie. - To pewnie nic takiego. Może nietoperz.

Dinah z ulgą zamknęła oczy i ponownie położyła się na butach. W ustach poczuła dawno zapomniany smak. Smak jedzenia z restauracji. Oblizła wargi i ponownie zamknęła oczy. Jutro się nad wszystkim zastanowi. Biorę Boga na świadka? Czy On to w ogóle widzi?

Lindsay coś mówiła.

- Kiedy jest ten pokaz sztucznych ogni? W sobotę, tak?

Znowu krzesło odsunęło się do tyłu, ktoś zebrał ze stołu naczynia.

- Tak, w sobotę - odparł Rudy ledwo słyszalnym głosem. Z kranu leciała woda. - O zmierzchu. Musimy wcześniej wyjechać, bo inaczej nigdzie nie będziemy mogli zaparkować.

Dinah poruszyła się w ciemnościach i włożyła rękę pod głowę, układając się wygodniej.

- Zostaw to, ja pozmywam.

Dinah uśmiechnęła się prawie przez sen. To jest naprawdę trudne do zniesienia. Ta dziewczyna to chodzący ideał.

- Jesteś pewna? - spytał Rudy grzecznie. Stał teraz bliżej, tuż przy szafie.

- Oczywiście - odparła Lindsay łagodnie.

Dinah niemalże czuła jej uśmiech - uspokoił ją. Słysząc było, jak Rudy wchodzi po schodach na górę. Jego głośne kroki były wstępem do jej snu. Unosiły się nad jej głową.

- Rudy? - zawołała Lindsay z dołu.

Zatrzymał się zawieszony na nitce jej głosu.

- Tak?

Dinah zajęła miejsce między nimi. Prawie już spała i o nich śniła. Śniła jej się jego odpowiedź i jej własny głos, który właśnie mówił:

- Chyba nie sądzisz, że w domu naprawdę są nietoperze?

Usłyszała jednostajne brzęczenie świerszczy. Bzyczący dźwięk przypominający o całej tej sytuacji - wisiał nieprzerwanie nad Dinah, świdrował w uszach, przeszywał panującą wokół ciemność. Ten wysoki dźwięk otoczył ją ze wszystkich stron i niczym prąd uniósł do krainy snu.

Rudy idzie sam, bez niej, na dwa przyjęcia. Dinah jest bardzo zdenerwowana i szuka tabletek w domu Connie i Ghucka. Urodziło im się zabawnie wyglądające dziecko. Dinah wychodzi zła, bo nie mogła znaleźć tych pigułek. Za nią idzie szczur, którego nie może się pozbyć, a który bardziej niż cokolwiek na świecie działa jej na nerwy. W końcu szczur znika, a ona nagle znajduje się w programie telewizyjnym. W różnych miejscach porozstawiano róże. Dinah czuje ulgę, bo jest to coś, co dobrze na nią wpływa. Czuje, że ktoś jej się przygląda. Idzie odszukać Rudy'ego - owo zainteresowanie jej osobą dodało jej sił. Ale ta droga jest długa i trudna. W końcu odnajduje swojego ojca, skutego razem z jakimiś ludźmi. Zdaje się, że coś stało się z dzieckiem.

Dinah obudziła się. Bolały ją mięśnie i kości. Twarz piekła od odcisniętych sznurówek, kciuki bolały, a serce biło mocno - tak, jak bije, gdy nagłe zostaje przerwany sen. Z zewnątrz, zza drzwi dochodziło cichsze już brzęczenie świerszczy. Dinah oparła się na łokciu, jej oczy zaczęły przyzwyczajając się do jeszcze większej ciemności. Przez szparę pod drzwiami wpadało teraz znacznie mniej światła. Usiadła, ręką odsunęła zakrywające jej twarz ubrania i czekała na jakiś odgłos życia za szafą. Wspólnego życia Lindsay i Rudy'ego. Życia przyszlých małżonków.

W domu jednak panowała kompletna cisza. Słysząc było tylko radosny śpiew świerszczy. Zachęcał ją, namawiał do wyjścia. Pod-

niosła się ostrożnie i dotknęła ręką drzwi. Serce jej waliło. Przekreśliła gałkę i delikatnie je otworzyła. Wokół była cisza.

Poustawiała buty, żeby przypadkiem nie zdradziły jej obecności i zamknęła za sobą drzwi krypty. Cichutko przekradła się przez dom i tylnym wejściem wyszła na werandę. Odetchnęła głębiej. Może powinna zakraść się na górę i popatrzeć na śpiących. Wyobraziła sobie, jak leżą przytuleni do siebie, jak śnią ten sam sen i trawią to samo jedzenie. Ich zsynchronizowane bicie serca. Jednego serca.

Z powrotem przemknęła się przez dom i ostrożnie weszła na górę. W połowie drogi stanęła jak wryta, kiedy schody zaskrzypiały pod jej nogami. Bezszelestnie pokonała ostatnie stopnie schodów, doszła do swojego starego pokoju i stanęła w drzwiach. Kołysała się na krawędzi nowego, lepszego życia Rudy'ego. Zauważyła ich dwoje, leżących w ciemnościach. Oczy miała suche, zmrużyła je i wróciła do swojego życia z nadzieją, że kiedyś naprawdę będzie należało do niej.

Świerszcze cykały, na trawie lśniła rosa. Była druga nad ranem, kiedy Dinah z bijącym sercem i poranionymi kciukami wróciła po cichu do samochodu i odjechała.

Po akcie kopulacji samica nietoperza wydaje z siebie głośny pisk, który jest sygnałem dla innych samic, aby wybrały dla siebie tego samego samca.

9

Dinah ostrożnie zdarła z kciuka kawałek skóry. Z palca ściekła cienka strużka krwi. Ścisnęła kciuk i strużka przemieniła się w okrągłą, drżącą plamę, która za chwilę mogła zacząć kapać. Wyssała ją troskliwie. Nie przypuszczała, że zabrnije tak daleko - że pogryzie pałce aż do krwi. Chociaż takie ryzyko istniało zawsze. Dinah nie obgryzała paznokci - były nawet ładne, ale ostatecznie służyły tylko jako narzędzie do zdzierania skóry z kciuków do czasu, aż były tak poranione, że nie miała już czego skubać.

Był szary, pochmurny dzień. Dinah jechała w stronę East Hampton w poszukiwaniu księgarni i apteki. Wzdłuż autostrady rosły drzewa - wyglądały jak zielona prośba, skierowana do pokrytego cętkami nieba. Droga dudniła. Dinah poprawiła na nosie okulary przeciwsłoneczne i pomknęła przed siebie.

A więc to tak wygląda, gdy się traci rozum. Oprócz innych problemów, które ją trapiły, Dinah po prostu się bała. Bała się, że zostanie sama tuż za bramą życia i będzie słuchała dochodzącego zza niej śmiechu, zaś dowcip, który go wywołał, będzie tak daleko, że kiedy zdoła do niego dotrzeć - nie będzie już śmieszny.

Było w Dinah coś takiego, do czego nikt nie był w stanie dotrzeć, nawet ona sama. Leżało to poza zasięgiem ludzkiego języka i zamieszkiwało jej obcy, zamknięty świat. Było nieprzetłumaczalne na słowa. To coś, co rozdarło ją ostatecznie.

Stała się latarnią morską na szalejącym morzu, jakim był świat. Wypatrywała oczy, płowiąła na słońcu, szukała - oceniała niebez-

pieczeństwo, trzymała wszystkich na dystans, rozbijała się o skały własnej osobowości - nie miało znaczenia to kim byk, ale co robiła, będąc właśnie taką.

Świat był obok na wyciągnięcie ręki. Rozbijał się o jej skały i jednocześnie był z nich zbudowany. Zachowywała się tak, jakby była pytaniem, na które odpowiedź brzmi „nie”. Szukała ludzi, na których mogłaby się oprzeć, żeby nie zdmuchnął jej potężny wiatr słów „Gdzie się wszyscy podziali? Przecież i tak wszyscy kiedyś umrzemy.”

Czasami Dinah miała wrażenie, że jej umysł jest jak wiadomość zamknięta w mózgu-butelce, która dryfuje w jej głowie wrzucona tam przez jakieś mądrzejsze, dowcipne stworzenie. To był głupi dowcip. Stworzony dla świata, ale nie przystający do niego. Dowcip ułożony z myślą o czymś innym - o jakiejś ponurej zachciance. Poważnej zachciance. To było naprawdę mocne uderzenie.

Dinah wciąż usiłowała zająć pozycję pośrodku - pomiędzy śmiertelną powagą a przesadną wesołością. Brała głęboki oddech i wyobrażała sobie, że dosłownie, używając siły, próbuje te dwie sprawy rozdzielić i przy okazji zachować nietkniętą osobowość.

Zaparkowała na tyłach apteki i wysiadła z samochodu, strzepując z kolan strzępki zdartej skóry. Weszła do środka i zaczęła poszukiwania skarbu, łupu - plastrów opatrunkowych na swoje pozdzierane kciuki.

Kupiła ich dwa rodzaje - z materiału, ponieważ nie można ich było zedrzeć z palca i z plastiku, bo z tymi było odwrotnie. Kupiła także wapno, bo nie chciała skończyć zgięta wpół jak jej prababcia. Zgarbiona i ślepa. Oczywiście, jeśli chodzi o ślepotę, to nie mogła wiele zrobić. Kiedy będzie trzeba, pokona i tę drogę - z laseczką.

Po krótkim namyśle wzięła także krem rozjaśniający na wypadek, gdyby przez noc pociemniały jej włosy na rękach. Była zadowolona. Mogła teraz iść na spotkanie z życiem z uniesioną głową, wyprostowanymi plecami, bez problemów z nadmiernym owłosieniem i poranionymi kciukami.

Zapłaciła za wszystko i pobiegła na drugą stronę ulicy do księgarni, po drodze przyklepiając plastry do palców. Z łatwością odnalazła dział z książkami kucharskimi - były na półce po prawej. Stała niepewnie. Było ich tak dużo - „Radość gotowania”, „Gotowanie bez cholesterolu”, kuchnia chińska, japońska, wegeta-

riańska, pieczywo, zupy, desery. „Kuchnia Nowej Anglii”. Potrawy meksykańskie, dla smakoszy, z Bliskiego Wschodu, sałatki, suflety. Może to, może właśnie suflety. Jeśli nauczy się je robić, będzie umiała przygotować każdą potrawę. Czy Rudy lubi suflety? Chyba każdy je lubi? Poza tym taka umiejętność naprawdę świadczyła o opanowaniu sztuki kulinarnej. Suflet to więcej niż mięczaki Lindsay. Kupiła także książkę o zupach. Zupy, suflety i „Radość gotowania”. Jeśli tkwiła w tym jakaś radość, to Dinah z pewnością nie chciała, by ją ominęła.

Kurczowo ściskając swoje trzy książki, Dinah podeszła do działu poradników. Wybrała książkę „Daj mu to, czego pragnie, nie czując się przy tym jak idiotka”, „Mądre pary, głupie związki”, „Kiedy chcesz, żeby wrócił” i dla żartu - „Twoje narządy płciowe są twoimi przyjaciółmi”. Wszystkie te pozycje w połączeniu z książkami kucharskimi zapowiadały naprawdę ciekawy weekend.

Dinah czuła się nieco skrępowana, gdy wręczała książki sprzedawcy. Ta jednak nawet nie mrugnęła powieką. Zachęcona Dinah dorzuciła jeszcze leżącą na ladzie książkę pod tytułem „Za szczupłe rzeczy w miesiąc”. Przy takiej ilości książek do gotowania jedna o diecie nie mogła zaszkodzić. Sięgnęła po torbę. Wychodząc ze sklepu pomyślała: „Kim się stałam?” Odpowiedziała sobie na to pytanie, kiedy przechodziła przez ulicę: „Kimkolwiek teraz jestem, mam nadzieję, że potrafię gotować”.

Zdecydowała, że zrobi suflet na słodko. Przystudiowała przepis na suflet jogurtowy z bananami i rumem - na dobry początek. Zatrzymała się przed supermarketem „Amagansett”; tym razem obeszło się bez dodatkowych przygód. Nie spotkała nikogo, kogo znałaby ona albo Rudy. W pewnej chwili zaczęła zastanawiać się nad przygotowaniem sufletu z marchwi i dyni, żeby nie robić tylko deseru, ale że potrzebne były do niego szalotki, których nigdzie nie widziała, zrezygnowała z tego pomysłu.

Skompletowała składniki potrzebne do przygotowania najprostszej zupy, na którą przepis znalazła w książce kucharskiej. Ale nawet ta wyglądała dosyć nietypowo. Zupa jarzynowa po amerykańsku. Sprawiała wrażenie dosyć prostej aż do lektury listy potrzebnych składników - takich jak jukka, czerwone papryczki i mamałyga,

specjalny rodzaj gotowanej amerykańskiej kukurydzy. „Co to, do diabła, jest ta jukka?” - zastanawiała się Dinah. Miała już zrezygnować, tak jak zrezygnowała z szalotek, kiedy przez przypadek natknęła się na jukkę. Okazało się, że jest biała, zamrożona i dosyć ciężka. Podeszła do kasy z nadzieją, że nie wezmą jej za gospodynię domową. Kogoś, kto ma męża i dzieci. I jakieś życie.

Wyszła ze sklepu z triumfalną miną, obładowana zakupami. Jak ktoś po uszy zakopany w domowej swojskiej atmosferze i zagubiony w otchłaniach młodości i niedoświadczenia.

Zupa jarzynowa po amerykańsku okazała się zupą jarzynową na sposób południowoamerykański. Jukka wyglądała jak guma i przypominała w smaku drewno. Zgodnie z przepisem należało pokroić składniki w drobną kostkę, a ponieważ Dinah nie bardzo wiedziała, jak należy to robić - postanowiła improwizować i pokroiła wszystko na małe kawałki. Jednak im dłużej to robiła, tym bardziej traciła cierpliwość. Kawałki robiły się coraz większe i coraz mniej przypominały drobną kostkę. W dodatku uszkodziła przy tym dwa paznokcie, zaś plastry na palcach przesiąkły sokiem z cebuli i zdarte do żywego kciuki piekły ją niemiłosiernie.

W końcu doszła do wniosku, że najpierw trzeba było wszystko pokroić, a dopiero potem podsmażyć cebulę i czosnek, ale było już za późno. Poza tym nie wiedziała, co to znaczy siekać, a przepis wymagał, żeby posiekać czosnek. Zrozumiała tylko, że trzeba go rozdrobnić, więc po prostu użyła tarki. Nie był to dobry pomysł, bo tarki nie dało się odmyć. Nie płakała przy cebuli, więc wzięła to za dobry znak - poczuła się spokojna i zdolna do wszystkiego. Skupiła się, żeby zdążyć w odpowiednim czasie podsmażyć cebulę, pokroić marchew, zielony groszek, seler, paprykę i ową nieszczęsną jukkę. W końcu jednak wszystko znalazło się w dużym garnku i postawione na słabym ogniu wyglądało bardzo kolorowo i egzotycznie. Dinah zabrała się do sufletu.

Ubijanie białek okazało się istną męką. Przez całe życie nie mogła poradzić sobie z ubiciem naprawdę sztywnej piany. Zastanawiała się nad kupieniem miksera albo czegoś innego, ale pomyślała: „Nie, skoro inne kobiety ubijają pianę same, to i ja mogę”. Jednak po piętnastu minutach zmagania z miską, wymachiwania trzepaczką i widelcem oraz ciągłym zmienianiem ręki musiała przyznać, że jedynym widocznym efektem jej pracy była piana

odrobinę sztywniejsza niż zwykle. Chryste, przecież to gotowanie może stać się koszmarem. Nie dała się jednak zrazić tym niepowodzeniem, tym niewielkim fiaskiem, ową impotencją kurzych białek. Doszła więc do wniosku, że może „puszyste” oznacza trochę mniej sztywne. Może mimo wszystko to wystarczy. Nie mogła uwierzyć w to, że kobiety na całym świecie były na tyle silne i wytrwałe, żeby zamienić białka w góry sztywnej piany. Jej suflet nie będzie więc sufletem dla wyrafinowanych smakoszy, ale będzie jednak sufletem. Rudy jeszcze zobaczy. Ona im pokaże. Wykarmi ich wszystkich. Cóż, może nie wszystkich...

Włączyła piekarnik i wróciła do swojej jajecznej bitwy. Dodała cukier i dalej - zgodnie z przepisem - ubijała pianę. Jednak według receptury piana miała się zrobić „sztywna, ale gładka”. Owszem, była gładka, ponieważ była trochę gęstsza od wody, ale z całą pewnością nie była sztywna. W porządku, zajmie się innym punktem przepisu.

Suflet jogurtowy. Dinah wybrała go dlatego, że miał egzotyczną nazwę i w dodatku wyglądał na potrawę z małą zawartością cholesterolu. I dlatego, że potrzebne były proste składniki. Połączyła jogurt z twarogiem i wymieszała na gładką masę. Bez problemu. Potem wymieszała pozostałe składniki: banany, rum, syrop klonowy i sok z cytryny. Poszło całkiem gładko. Teraz nadszedł czas, żeby dodać ubitą pianę - rzadką pianę. Boże, przecież to tylko ona, Dinah, nie żaden szef kuchni. Zniechęcona, ale zdecydowana dodała wodniste białka do całej reszty i pełna nadziei wymieszała wszystko razem, aż powstało to coś - coś beżowego o kremowej konsystencji. Nie miała pojęcia, jak to miało wyglądać, więc doszła do wniosku, że wygląda tak, jak powinno. Odstawiła na bok naczynie z beżową masą i wysmarowała masłem jedyne naczynie, które mogło służyć za formę do sufletów - mizernie wyglądającą ceramiczną miskę, choć w przepisie było wyraźnie napisane, że będą potrzebne „trzy oddzielnie wysmarowane masłem i posypane cukrem formy do sufletów, schłodzone i gotowe do użycia”. A co, jeśli nie miało się takich trzech foremek? Jeśli miało się tylko ceramiczną miskę? Przecież chciała tylko spróbować.

Dinah przelała efekt swoich kulinarnych talentów do miski i postawiła na blacie. Teraz deser był już gotowy. Gotowy, żeby włożyć go do piekarnika. A tymczasem na wolnym ogniu gotowała

się zupa. Teraz Dinah będzie mogła... Co? Będzie mogła... Która godzina? Kilka minut po szóstej. Teraz zajmie się owłosieniem na rękach. Tak. Odda się całkowicie przygotowaniu na spotkanie z King Kongiem. Pani Kong przygotowała swojemu nieobecnemu mężczyźnie lekką kolację, a teraz się umyje, rozjaśni włosy na rękach i wygładzi cerę. Bo już wkrótce złoży ofiarę z samej siebie.

Wymieszała farbę w miseczce nad zlewem i zdjęła ubranie. Miała na sobie tylko bieliznę i ręcznik, którym się przykryła. Nałożyła farbę na przedramiona i spojrzała na zegarek. Osiemnasta trzydzieści. Miała trzymać ją piętnaście minut. Postanowiła również nałożyć maseczkę na twarz, żeby móc jednocześnie skorzystać z obydwu środków upiększających. Wyglądała jak uczestnik jakichś podejrzanych obrzędów gdzieś na przedmieściach miasta. Doszła do wniosku, że spędzi te piętnaście minut na miłej rozmowie przez telefon. Przekartkowała notes w poszukiwaniu przyjaznego nazwiska - kogoś, kto nie będzie jej pytał, co robi i dlaczego jest w Hampton. Kogoś takiego, kim pragnęła być sama. Trudno było jednak wyobrazić sobie znajomych, którzy nie chcieliby dociekać, gdzie jest i dlaczego właśnie tu. Z całą pewnością nie mogła zadzwonić do Connie. Aż wreszcie znalazła idealne nazwisko. W środku notesu, pod literką K - Herb Kaufman, jej ojciec. Powoli i ostrożnie wykręciła jego numer w Boliwii. Która tam mogła być godzina? Nie mogło chyba być więcej niż kilka godzin różnicy? Usłyszała szum bardzo odległego połączenia i po chwili sygnał, że telefon ojca zaczął dzwonić. Dzwonił i dzwonił. Dinah słuchała tych przeszywanych dźwięków równo dwanaście minut albo, inaczej mówiąc, pięćset trzydzieści siedem razy, po czym odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki, żeby zmyć z rąk farbę.

Zamieszała zupę zamyślona, jak zahipnotyzowana. Wpatrywała się w garnek czekając na jakieś objawienie, wiadomość, jakby to była telewizja, a nie zupa. Warzywna telewizja kablowa. Smutna masa na suflety cierpliwie czekała w lodówce na swoją nieuchronną podróż do piekarnika.

Dinah westchnęła. Była teraz tylko biernym obserwatorem. Kiedy przestała się cieszyć tym, co ma się wydarzyć w następnej kolejności? Czy w ogóle kiedykolwiek umiała się tym cieszyć? Teraz przyszłość wydawała się oczywista, a to, co kiedyś zakrywała zasłona tajemniczości i radosnego podniecenia zdawało się niemal

przerazające i nie warte żadnego wysiłku. Jej przeznaczeniem był Rudy, a ona uciekła od niego myśląc, że życie ofiaruje jej coś więcej - coś innego, lepszego. I rzeczywiście - ofiarowało. Ale to wszystko było tak bardzo podobne. Dinah widziała - już przedtem to widziała - różne warianty tego samego: kim mogą się okazać ludzie, kim ona sama może się okazać? Więc obserwowała, czekała, żyła jako świadek podobnych do siebie wydarzeń. Chodziła po ulicach pełnych młodych ludzi, ekspansywnych, zaborczych, którzy przytulali się do siebie, śmiali, rozmawiali, papierosy zwisały im z kącików ust. Zastanawiali się, co może zdarzyć się dziś wieczorem, kogo spotkają za rogiem, jaka będzie następna impreza, dziewczyna, przyjemność.

Mieszała zupę. Symbol tego, czym nigdy nie chciała się stać - domatorki, kury domowej. Nie, chwileczkę. To przecież było charakterystyczne dla Pam. Pam najwyraźniej wróciła. Stała za jej plecami i popychała ją odrobinę za daleko w przeszłość, odrobinę za blisko garnka. Dinah poczuła ulgę. Jeżeli umiała to nazwać, to nie było to aż tak niebezpieczne. Było wciąż nieprzyjemne, ale musiało mieć swój kres. I nie dlatego, że Dinah była niedobrą dziewczynką. Uśmiechnęła się do garnka z zupą rodem z Ameryki Południowej, z przybranej ziemi jej ojca.

- Czy tu czuć zapach jedzenia? - zawołał jakiś głos.

Zupełnie jakby wiadomość, którą garnek z zupą miał jej przekazać, nareszcie dotarła.

- Tak, proszę pana - odparła Dinah, patrząc w kierunku, z którego dochodził głos.

W oknie pojawiła się twarz Roya - nieśmiała, uśmiechnięta, pogrążona w cieniu zmierzchu. Wyjęła łyżkę i położyła ją na blacie. Wytarła ręce jak prawdziwy fachowiec i poszła otworzyć drzwi.

- Nie miałabyś przypadkiem czegoś do zjedzenia dla ciężko pracującego pisarza? - zapytał. - Nie znaczy to, że akurat w tej chwili ciężko pracuję - dokończył z uśmiechem.

Dinah podeszła do drzwi, kiedy przypomniała sobie, że wciąż ma na twarzy maseczkę. Skrzywiła się.

- Możesz chwilę poczekać? - zapytała płaczliwie.

Zawahał się.

- Jasne. - To pewnie umacnia charakter.

- Cierpliwi dostają to, na co czekają - odparła obiecująco i pobiegła do łazienki.

Zmyła maseczkę i zrobiła błyskawiczny makijaż. Zadowolona ze swojego wyglądu, roztrzepała rękami włosy i wróciła do drzwi. Żałowała tylko, że nie zdążyła umalować się staranniej.

- Mam nadzieję, że to będzie jadalne - powiedziała, wpuszczając go do środka. - Jeśli najszybsza droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek, to pokaż mi inną.

- Górą czy doliną? - spytał Roy.

- Górą. Jak się masz?

- W porządku - odparł, stojąc nieśmiało tuż za progiem.

Dinah wskazała mu miejsce za stołem w kuchni.

- Usiądź. Jakie zrobić ci jajka? - zapytała.

Wyjęła z kredensu sztućce, szklanki i głębokie talerze. Nakrywała do stołu dla Roya.

- Jemy jajka? - spytał z namysłem, zdejmując marynarkę i zastanawiając się, co bardziej mu odpowiada - jajecznicą czy sadzone.

- Tak się tylko mówi - wyjaśniła mu cierpliwie. - Będzie zupa.

Roy spojrział na nią z ulgą. Po chwili zmieszał się.

- Tylko zupa?

Wy tłumaczyła mu, że to ma być lekki posiłek - zupa i suflet. Rozmawiali. Dinah nalała zupę i wstawiła suflet do piekarnika. Otworzyła butelkę wina i ściszyła radio. Czuła się teraz jak samica w gnieździe. Oto siedział przed nią mężczyzna, który miał wypróbować jej talenty gospodyni domowej. I to się jej podobało. Cieszyła się, że sama zrobiła zupę i że smakuje Royowi. Cieszyła się z tego tak jak ze wszystkich swoich dotychczasowych sukcesów, z wyjątkiem kilku pierwszych odcinków „Pragnienia serca”. Dzisiaj osiągnęła sukces. Usiadła z powrotem i zadowolona z siebie patrzyła jak Roy kończy drugi talerz zupy. Rozmowa przeszła na temat związków męsko-damskich. Roy mówił o swoich dwóch kobietach - żonie i przyjaciółce.

- W zasadzie nie spotykam się teraz z Karen - powiedział, odsuwając pusty talerz.

Jego wzrok błędził gdzieś daleko. Dinah wyduła usta i powiedziała:

- A Karen to...

- Moja przyjaciółka - odparł i mówił dalej. - Złości się na mnie z powodu mojej żony. A nasz związek wciąż ma potencjalnie szansę. A to sprawia, że Karen podejrzewa mnie o jeszcze inne romanse.

Spojrzał na Dinah jakby to ona była Karen.

- Ale to nie jest prawda - oznajmił gwałtownie. - Nigdy tak nie było.

Dinah obserwowała go - jego niebieskie oczy błyszczały spod ciemnej, kręconej czupryny.

- Myślała, że spotkałem się z moją byłą przyjaciółką, ale to nieprawda. Jednak ona nie chce mi wierzyć. Poza tym, ta cała sprawa z moją żoną. Karen nie rozumie, dlaczego się z nią nie rozwodzę. Powiedziałem jej, że to skomplikowana sytuacja. Cindy jest bardzo wrażliwa i... - westchnął i spojrzał na swoje dłonie. - Wciąż jesteśmy sobie bliscy, ale Karen nie może tego zrozumieć. Ona chce mieć mnie na własność i chce mieć dziecko - przerwał i spojrzał na Dinah. - Ale jak się nad tym zastanowić, to Cindy też chce mieć dziecko. Dla nich jestem tylko reproduktorem. Muszę obsłużyć ich zegary biologiczne.

- Powinniśmy odstawić cię do stadniny - odparła Dinah z uśmiechem.

- Czułaś kiedykolwiek taką potrzebę -biologiczną, czy jakąkolwiek inną, żeby mieć dziecko?

Dinah wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Chcę doświadczyć wszystkiego, czego może doświadczyć kobieta. To część mojej płci. Czasami bycie kobietą jest okropne, możesz mi wierzyć. Trzeba znaleźć faceta na męża, albo pójść zupełnie inną drogą, udawać, że akurat na tym nam nie zależy. Albo coś innego. W zeszłym tygodniu byłam w sklepie, w dziale z bielizną i chciałam kupić majtki i koszule nocne. Chodziłam i szukałam. Krążyłam wokół zdobyczy. Podniosłam głowę i zobaczyłam inne kobiety, tak samo jak ja zajęte swoim polowaniem. Wtedy pomyślałam: „Proszę, oto jesteśmy jak kury, zgubione gdzieś w niskich warstwach swojego gatunku, pochłonięte przez świat zakupów. Po co to robimy? Dlaczego nigdy nie przestaje nas to interesować? To znaczy, kogo to interesuje, czy jakaś firma wymyśli nowy odcień szminki? Mnie. I to bardzo. Zupełnie jak was, mężczyzn dogrywki w koszykówce”.

- Ja aż tak bardzo nie interesuję się koszykówką - przyznał się Roy nieśmiało.

- Wszystko jedno. Jesteś jednym z nielicznych facetów, którzy nie interesują się sportem.

- Lubię hokej.

Nachylił się ku niej, łokcie trzymał na kolanach.

- A widzisz - powiedziała z triumfem w głosie. - To przyjemny sport. Sport silnych ludzi.

Wstała i sprzątnęła talerze. Roy poruszył się na krześle jakby chciał jej pomóc. Dinah zaprotestowała.

- Nie, nie - powiedziała, stawiając talerze jeden na drugim. Kciukiem i palcem wskazującym trzymała dwie szklanki. - To dla mnie próba w zajęciach domowych - dodała i wyniosła nakrycia. Postawiła je ostrożnie w zlewie. - Zobaczmy, jak długo dam sobie radę nie tworząc wokół siebie chaosu. Powinam spytać, czy masz ochotę na kawę, ale... wiem tylko jak przygotować rozpuszczalną. Chcesz rozpuszczalną? A może wina? Co wolisz?

Roy zastanawiał się chwilę.

- Wino byłoby w porządku. Wystarczy? Czy chcesz, żebym przyniósł jeszcze butelkę?

Odkręciła wodę i zajrzała do lodówki.

- Mam jeszcze jedną - odparła. Podniosła butelkę do góry na dowód, że mówi prawdę. - Ale ty musisz ją otworzyć. Otwieranie wina to typowo męskie zajęcie. Otworzyłam sama pierwszą butelkę tylko dlatego, że nie rozmawialiśmy jeszcze poważnie o sprawach płci.

Roy wstał. Podała mu korkociąg.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która uznaje seksizm - powiedział.

Dinah otworzyła ostrożnie piekarnik i przyjrzała się sufietowi. Wzięła dwie kuchenne rękawice i założyła je. Twarz miała poważną.

- Nie, jestem tylko osobą praktyczną. Życie zmieniło się tak bardzo, że teraz kobiety mogą pracować - nawet jeśli są gorzej opłacane. Możemy pracować, ale dom wciąż jest najważniejszy. Musimy więc zajmować się i jednym, i drugim: pracą zawodową i całym tym domowym koszmarem - ostrożnie wyjęła z piekarnika foremkę z dziwną zawartością. - Myślę, że to nie jest w porządku - powiedziała.

Była poważna i przejęta. Roy podszedł do niej z tyłu i zajął jej przez ramię.

- A jak to powinno wyglądać? - zapytał wspaniałomyślnie, patrząc na to, co Dinah trzymała przed sobą.

- Na pewno inaczej - odparła, lekko kręcąc głową. - Jestem pewna, że powinno bardziej wyrosnąć. I mieć ładniejszy kolor.

Roy wrócił do stołu i zajął się otwieraniem butelki.

- Spróbujmy - powiedział, zmagając się z korkiem. - Jak bardzo może to być niedobre?

Dinah spojrzała na niego z wdzięcznością i powątpiewaniem.

- To jest kwestia lojalności - stwierdziła. Podeszła do kredensu i wyjęła czyste nakrycia. - Nazwę go „Suflet lojalności”. Suflet „Jak-bardzo-niedobry” - ciągnęła dalej, nakładając na talerze niewielkie porcje.

Wreszcie korek ustąpił. Roy wyjął z szafki dwa kieliszki i nalał wino.

- Spójrz na to w ten sposób - powiedział. - Wino zawsze może zabić nawet najgorszy smak.

- Wspaniale - odparła, stawiając przed nim miseczkę z szarym, tajemniczym deserem.

Gdzieś daleko zaszczekał pies, a oni tymczasem próbowali owego niewyrośniętego, słodkiego przysmaku. Roy smakował w skupieniu.

- Cóż, z pewnością to nie jest ohydne - zaczął. - Przypomina trochę? - ściszył głos, najwyraźniej szukając przenośni, ale zanim ją znalazł, Dinah przerwała:

- To smakuje jak kreda - oświadczyła ponuro i napiła się wina.

- Ale jak kolorowa kreda - pocieszył ją. - Albo jak słodka zaprawa murarska.

Dinah przechyliła głowę i przyjrzała mu się z sympatią.

- Widzisz? - powiedziała ze smutkiem. - To naprawdę jest suflet dla lojalnych.

Patrzyła na niego znad swojej szklanki. Miała nadzieję, że Roy ją lubi. Nie dlatego, że ona go lubiła, ale dlatego, że potrzebowała jego sympatii. Nie była pewna, czy lubi go aż tak bardzo, jak chciała, by on ją lubił. I nic nie mogła na to poradzić. W pewien sposób poczułaby się skrzywdzona, gdyby okazał się obojętny. Nie chodziło o to, czy Dinah wiedziała, kim był Roy i jak należy z nim postępować. Była pewna tylko jednego - nie będzie mogła żyć w zgodzie z samą sobą, dopóki Roy jej nie zaakceptuje.

Patrzyli sobie w oczy chwilę za długo, zdradzając tym samym, że w jakiś sposób są sobą zainteresowani - dała znać o sobie biologicz-

na więz, połączenie. Owo właściwe ssakom mimowolne łączenie się w pary. Oboje szybko odwrócili wzrok. Dinah zacisnęła powieki, próbując uciszyć w sobie wzburzone hormony - ucztę estrogenów, która odbywała się jej kosztem. Trzeba zmienić temat, znaleźć jakiś inny, jakikolwiek. Odezwali się w tej samej chwili.

- Więc ty?
- Dlaczego?
- Mów dalej - powiedział Roy.

Dinah uśmiechnęła się i pokręciła głową. Zaczerwieniła się.

- Nie - odparła. - Ty mów.
- Więc myślisz, że uda ci się do niego wrócić? - zapytała.

Oparł się plecami o krzesło i patrzył na nią wyczekująco.

- D o kogo? - spytała, błędząc gdzieś myślami. Nagle zrozumiała. - Ach, do mojego byłego męża - wykrzyknęła. Było jej głupio, że zapomniała o Rudym. - Masz na myśli to, czy znowu będziemy razem?

Popatrzyła na stojący przed nią suflet i odpowiedziała na zadane przez samą siebie pytanie:

- Nie, nie, wspólne życie było nie do zniesienia. W zasadzie sama nie wiem, co robię. Jestem w trakcie czegoś. Czegoś, co było przed tym pytaniem.

- Rozumiem - odparł ironicznie Roy. - Przed tym pytaniem było moje pierwsze pytanie. Więc jak jest naprawdę?

Dinah roześmiała się i napiła wina.

- A może po prostu cieszysz się, że mnie widzisz? - próbowała zmienić temat.

Roy ciągnął dalej.

- Nie, ale... Więc o co w tym wszystkim chodzi? Nie mogłaś znieść myśli, że związał się z inną kobietą. O to chodzi?

Skrzyżował nogi, odstawił kieliszek i potarł brwi. Dinah wzruszyła ramionami. Wyglądała na zmieszaną.

- Chyba tak - odparła. - Może. Muszę przyznać, że to właśnie nie daje mi spokoju.

Nagle spojrzała na niego.

- A ty, co ty byś zrobił? To znaczy, jeśli Karen albo...

- Cindy - przypomniał imię żony.

- Cindy - kiwnęła głową i mówiła dalej. - Co byś zrobił, jeśli któraś z nich znalazłaby sobie kogoś innego?

Roy uśmiechnął się i spojrział w dół.

- Tak już kiedyś było - powiedział. - Karen spotykała się z pewnym aktorem. To było straszne. Jestem pewien, że robiła to tylko po to, by mnie dręczyć. W tym czasie przechodziliśmy z Cindy terapię małżeńską i Karen chciała, żebym ją przerwał. Dlatego umówiła się z tamtym facetem.

- Co było dalej?

- Przerwałem terapię - powiedział zwyczajnie. - Minus całej tej sprawy polega na tym, że jeśli ona pieprzy się z kimś innym, to mnie to jeszcze bardziej podnieca. Nie chcę, żeby związała się ze mną na całe życie i uprawiała seks z innymi facetami tylko po to, żebym ciągle jej pragnął.

Dinah niepewnie pokiwała głową, próbując uchwycić sens jego rozumowania.

- Chcesz, żeby zainteresowała się kimś innym po to, żebyś mógł ją odzyskać?

Roy pokiwał głową.

- Właśnie. I wiesz co? Myślę, że może to jest moja rola. - Być jednym z tych facetów, którzy wciąż muszą zdobywać...

Dinah pochyliła się do przodu, trzymając w dłoni kieliszek.

- To jest właśnie to, co mi się podoba w Rudym. On zawsze interesował się mną w sposób... że nigdy nie byłam pewna... Tragedia polega na tym, że to mi prawie wystarczało. A nawet prawie byłam szczęśliwa.

- Prawie. Ale nie do końca - stwierdził rzeczowo Roy.

Dinah poczuła się lekko urażona.

- Ale ja tego właśnie chciałam!

Roy był zaskoczony.

- Słucham?

- Co musiałabym zrobić, gdyby on naprawdę się mną interesował. Tak, żebym była pewna? Zabrakłoby mi wyzwania. Co musiałabym zrobić, żeby nie wyjść z wprawy?

- Ha - zauważył Roy z ulgą. - Wiem, o co ci chodzi i zgadzam się z tobą, ale nie sądzę, żeby to właśnie było ci potrzebne, by nie wyjść z wprawy. Nic nie jest doskonałe. Życie wciąż stawia wyzwania. Różne wyzwania. Rozumiesz, o co mi chodzi? - spojrział na nią wyczekująco. Temat wciągał go coraz bardziej. Rozpalił się na dobre. - Na przykład... - ciągnął dalej z przejęciem. - Proszę bardzo, masz niedorozwinięte dziecko.

Dinah nie wyglądała na przekonaną.

- Cóż?

- Chodzi mi o to, że życie samo stwarza problemy.

Nowa myśl zaabsorbowała Dinah.

- Więc co według ciebie powinna robić żona? Chodzi mi o to, czy Cindy gotuje? Pakuje twoje rzeczy? Masuje ci plecy?

- Ona jest teraz w klinice psychiatrycznej - odparł nieśmiało Roy.

- Wiem - powiedziała Dinah i machnęła ręką. - Mówię o tym, co było wcześniej. Teoretycznie.

- Ach, teoretycznie. Umieć dać sobie radę bez tych wszystkich usług, za które trzeba płacić. Ale nie możesz kupić...

- Masażu pleców? - przerwała mu Dinah z przejęciem.

- Nie, to można kupić.

Dinah kiwnęła bezmyślnie głową.

- Jasne, wiem. Można.

- Nie można kupić wrażliwości i moralności - przypomniał delikatnie.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- I seksu - dodała. - To znaczy, można?

- Nie, nie można kupić prawdziwego seksu.

Oboje usiedli zamyśleni i wyczerpani. Nad zlewem latała mucha; usiadła w końcu na brudnym widelcu. Toni mruczał przez sen. Roy wpatrywał się w pustą przestrzeń. Westchnął prawie ze smutkiem.

- Nigdy nie byłem tak bardzo zakochany i nigdy nie byłem z nikim tak blisko, żebym mógł poczuć głęboką duchową więź. Zawsze się tylko umawiałem.

Palcami wyłowił z kieliszka kawałek korka. Dinah słuchała go uważnie. Roy mówił dalej.

- Albo jestem na tyle upośledzony, że nie potrafię odróżnić, czy to jest właśnie ta osoba, czy nie. Żadna z moich kobiet, ani Cindy, ani Karen nie jest tą właściwą. Zawsze rezultat jest ten sam. I one obie muszą sobie z tym poradzić.

- Tak - powiedziała lekko zbита z tropu. - Bo to jest idealna wymówka. Ale ma swoją przyczynę - przerwała na chwilę, zebrała myśli i mówiła dalej. Jej orzechowe oczy błyszczały z rozbawienia. - Oto jak rozumują mężczyźni - popatrzyła surowo na Roya. Postanowiła wypróbować na nim swoje najlepsze sztuczki. - Goto- wy? - spytała wesoło.

- Gotowy - powiedział.

Nachylił się do przodu i położył ręce na stole.

- W porządku - odparła i zaczęła wyliczać na palcach. - Najpierw seks, potem praca - te dwie rzeczy mogą wymieniać się miejscami zależnie od wieku. Seks, praca, jedzenie, sport i na samym końcu - niechętnie - związki z kobietami - Roy chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa. - A oto jak rozumują kobiety - znów wyliczała na palcach. - Związek z mężczyzną..., związek, związek, praca, seks, zakupy, waga, jedzenie.

Roy pokiwał ze zdumieniem głową. Dinah poczuła się trochę głupio.

- To nie jest dowiedziona teoria, ale masz przynajmniej ogólne pojęcie o panującej tendencji.

Roy potarł ręką brwi.

- Chyba tak. Kobiety przywiązują dużą wagę do związków.

Zamilkli. Przez okno wlatywał lekki wiatr. W oddali słychać było samotny gwizd pociągu. Mucha wpadła do tłustej wody i machała przeraźliwie skrzydłami, próbując się z niej wydostać.

- Ciężko być samemu - powiedział w końcu Roy.

- Teraz rzeczywiście jesteś sam - zauważyła Dinah.

- Nie - odparł. Trochę było mu przykro, jednak zażartował. - Teraz jestem z tobą.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała lekko strofującym tonem.

Roy poruszył się. Nie spojrzął jej w oczy.

- Tak, cóż... Rozmawiam dużo przez telefon, a kiedy tego nie robię... wzruszył ramionami. - Jest mi ciężko. Wieczorem nie mogę zasnąć.

- Ja też.

- Lepiej mi się śpi, kiedy ktoś leży obok.

- Nie mam nic przeciwko samotności - powiedziała. - Nawet ją lubię. Nauczyłam się ją lubić przez ostatnich kilka lat. Ale z zasypianiem mam wciąż kłopoty. Zawsze miałam.

- Nie cierpię tego. Nie cierpię zostawać sam na sam ze swoimi myślami. Od zawsze miałam kłopoty ze snem. Właśnie dlatego piję.

- Ja piję tylko wtedy, kiedy brakuje mi śmiałości albo kiedy chcę zrobić coś, czego bez tego bym nie zrobiła. Przeważnie coś związanego z seksem.

Dlaczego to powiedziała? Przecież teraz właśnie piła. Postawiła kieliszek i usiadła zmieszana, mając nadzieję, że Roy nie zauważy stojącego na stole wina. Wydawało się, że tak rzeczywiście jest. Przechylił głowę na bok i z ciekawością się jej przyglądał.

- Zwykle nie starasz się być seksowna?
- Sądzę, że raczej nie.

Z jednego palca zaczęła ściągać plaster. Delikatnie. Pod stołem.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Byłam wychowywana raczej surowo, poza tym jest to dziedzina, którą ciężko jest kontrolować. To znaczy, kiedy ma się już za sobą totalny seks...

Roy przerwał jej i nachylił się do przodu. Oczy błyszczały mu z rozbawienia.

- Totalny seks? - zapytał ze zdumieniem.
- Akt prokreacji, no wiesz - wyjaśniła mu niezbyt ochoczo.

Spuściła oczy i wlepiła wzrok w swoje kolana. „Jakim cudem zeszedliśmy na ten temat?” - zastanawiała się ponuro. - „To moja wina. Przynajmniej w połowie.”

- Uprawianie miłości?

Skrzywiła się.

- To brzmi jak coś, do czego potrzebna jest wiedza ogrodnicza. Poza tym trzeba mieć grządkę i motykę.

- W takim razie stosunek - poprawił grzecznie.

Kiwnęła głową.

- Owszem, można to tak nazwać - powiedziała, wciąż na niego nie patrząc. - Więc kiedy już się ma to za sobą - mówię teraz z pozycji kobiety - zaczynają nagle pojawiać się coraz to nowe oczekiwania. Razem z seksem pojawia się dociekanie. W głowie przybiera to całkiem inną treść. Czy on mnie kocha? Czy zadzwoni? Co to znaczy? Czy nam się uda? Oddajesz się czarnej magii i przestajesz panować nad sobą. Całe myślenie podporządkowane jest tylko temu.

Spojrzała przez okno, wyobraziła sobie ludzi żyjących w jakiejś dalekiej przestrzeni, jakiegoś mieszkańca Long Island, który z trudem przedziera się w jej kierunku przez roztapiający się i zmienny krajobraz. Jakby ziemia składała jej w ofierze swojego jedyne go syna - jedyną ludzką istotę, jaką była w stanie stworzyć. Czekała, żeby się przekonać, co takiego ziemia chciała jej podarować - wtedy zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie przyniosła jej Roya.

- To brzmi dosyć ponuro - powiedział.

O czym rozmawiali? O tym, o czym zwykle rozmawiają dziewczęta i chłopcy.

- Dlatego właśnie przeważnie udawało mi się tylko jakoś układać stosunki z innymi ludźmi. Miałam nadzieję, że nie będą się złościć, a nie, że to wszystko będzie jakoś trzymało się kupy.

Plaster na palcu oderwał się. Złożyła go na pół i dyskretnie rzuciła pod krzesło. Roy zmieszał się.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- To nie ma znaczenia - powiedziała. - To tylko takie moje dziwactwo. Lubię się całować. To znaczy, umiejętność zrozumienia sytuacji to dla mojego umysłu pestka. Ale nie chcę cię zanudzać.

Czy to był rodzaj autoreklamy? Dinah zaczęła zdierać plaster z drugiego palca.

- Masz rację - zgodził się Roy. - Całowanie jest przyjemne.

- Prawda?

O czym tak naprawdę rozmawiają?

- Ja też, rzecz jasna, jestem fanem seksu. Jak to nazwałaś - seksu prokreacyjnego?

Roześmiała się.

- Prokreacyjnego voodoo. To jest... Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o seks. Radzę sobie jakoś, ale nie jest to moja najmocniejsza strona.

Roy zaśmiał się i pokręcił głową. Kolejny raz spojrzeli sobie głęboko w oczy. Plaster na drugim palcu oderwał się.

- Prokreacyjne voodoo - powtórzył pod nosem.

Dinah poczuła uderzenie gorąca, ręce miała jak z waty. Wstała.

- Powinnam się położyć - powiedziała, spoglądając w kierunku sypialni, po czym ponownie skierowała wzrok na Roya.

Roy podniósł się.

- Ja też.

Odprowadziła go do drzwi. Stanęli naprzeciw siebie.

- Cóż? - zaczęła Dinah, wyciągając ku niemu rękę. Częściowo widać było jej zraniony kciuk. - Dobranoc - dokończyła zwyczajnie.

- Dobranoc. Dzięki za... wyśmienitą kredę.

- Za kolorową kredę - poprawiła go.

- Za kolorową kredę - powtórzył posłusznie.

Wyczerpali wszystkie możliwe tematy. Stali nieruchomo. Jakby wrosli w ziemię. Trzymała ich niewidoczna siła feromonów. Nie spodziewanie Roy pochylił się i pocałował ją. Odwzajemniła pocałunek. Pożądanie zmieszało się z ulgą.

Mucha w zlewie nagle uwolniła się i poleciała do światła.

- Co my robimy? - wyszeptał Roy, nie mogąc złapać tchu.

- Robimy tak mało jak jest to możliwe - wymamrotała ledwie słyszalnym głosem prosto w jego usta.

Objęła go. Henry Stark i czwartkowe wieczory. Nie, to nie był Henry. Więc kto to był? To nie był Rudy, tego była całkowicie pewna. Kim byli ci mężczyźni? Żyli jej kosztem, a ona się nimi żywiła. Palcami przeczesywała jego włosy, wdychali siebie nawzajem, on dotykał jej karku. Jego coraz bardziej napięte ciało naciskało na jej, które poddawało się łagodnie. Przesunęli się w stronę kanapy i upadli na nią. Roy był na górze. Przeszkadzili śpiącemu psu, który zeskoczył niezadowolony i położył się na podłodze. Dinah i Roy rozmawiali za pomocą pocałunków - to była bardziej intymna rozmowa.

- Nie spodziewałem się - powiedział.

- Czego? - spytała.

- Tego.

- Jak w średniej szkole - stwierdziła.

- W średniej szkole?

- Jakbyśmy byli w średniej szkole. Jesteś moją szkolną miłością i nazywasz się Andy Hardy.

Tak naprawdę tytuł brzmiał „Miłość odnajduje Andy Hardy'ego”. Ale przecież to nie była miłość?

Nie, to pewnie był tylko sam Andy. Kolejny. A ona jak się nazywała? Judy Garland. Nie, chodzi o imię głównej bohaterki. Nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała tylko zdanie: „Możemy pójść do naszej stodoły”.

- Będziesz musiała nosić specjalną obrączkę identyfikacyjną - mówił Roy z uśmiechem, ręce miał zanurzone w jej włosach.

Przekreśliła go na plecy, położyła się na nim i ponownie zaczęła go całować. Była teraz na górze, dominowała - wreszcie. Przecież z nikim nie mogła być, bo musiałyby go zniszczyć. Powoli, ale skutecznie. To był jej nowy Andy Hardy. Kolejny nie-Rudy, on.

- Dam ci coś na pamiątkę - powiedziała.

Rękami obejmowała jego głowę. Roy ugryzł ją w szyję.

- Pójdziemy razem na bal maturalny - obiecał jej.

Przycisnęli się do siebie mocniej. Dinah spytała:

- Możemy pójść? Naprawdę możemy?

Uniosła głowę, Roy odwrócił się do niej twarzą.

- Oczywiście.

Pocałowali się. Przeczesała rękami jego gęste, ciemne włosy.

Ich głowy dopasowały się do siebie jak dwie połówki brzoskwini. Próbowali siebie nawzajem.

Bolały ją kciuki. Roy delikatnie przekręcił ją na bok. Plecami była teraz odwrócona w stronę kanapy, on - w stronę pokoju. Ich samochód staczał się powoli drogą w dół.

- Co my robimy? - zapytał ją ponownie.

- To - odpowiedziała, całując go. Był tak blisko, że musiała zamknąć oczy. Mówiła dalej, z trudem łapiąc oddech, ich czoła dotykały się. - Byliśmy tacy spięci. To pozwoli nam się rozluźnić.

Roy zaśmiał się, po jego czole spłynęła kropelka potu.

- Prawda? Może ten suflet to był afrodyzjak?

- Raczej angłodyzjak - zażartowała Dinah.

Poruszyła się odrobinę i zarzuciła swoją nogę na jego.

- Co takiego?

- Angłodyzjak, jeśli w ogóle to można jakoś nazwać - odparła. - Po pierwsze, nie zostaliśmy otumanieni, a po drugie, musiałabym dodać do niego dużo więcej melaniny.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem.

- Teraz czuję się zdecydowanie lepiej - powiedziała. - A ty?

Roy pocałował ją.

- Ja również.

Byli jak zaczarowani; pocałunek palił się dalej, promieniował w ich ciałach, w jej głowie i w jego lędźwiach. Trwający chwilę wieczny ogień - ciężkie uderzenia serca, jak delikatne uderzenia młotkiem - najpierw gwałtowne, a po chwili ciche. Burza zmysłów.

- Roy - powiedziała tylko po to, by wymówić jego imię.

- Dinah - wyszeptał, przekręcając ją na plecy.

Przycisnęła go do siebie.

- Gdybym umiała mówić miłe słowa, wypowiadałabym je właśnie w tej chwili - powiedziała łagodnie.

Jego dłoń zakryła jej pierś jak chmura zakrywa słońce. Od-
dychali głośno, słychać było radosną muzykę pożądania, bliskości,
nowej, nie zdobytej dotąd krwi.

Roy wyciągnął rękę i wyłączył stojącą przy kanapie lampę.
Niechcący lekko uderzył Dinah w twarz. Gwałtownie chwyciła
powietrze. To nie był Rudy. Więc kto?

- Boże, przepraszam - wykrzyknął i cofnął się, by móc na nią
spojrzeć.

Dinah trzymała głowę na jego piersi, miała zaciśnięte zęby.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się trochę zażenowana. - Mało
tu miejsca.

Odnalazł w ciemnościach jej twarz i dotknął jej brody.
Pocałował ją.

- Nie chcę sprawić ci bólu - wyszeptał łagodnie, trzymając
w ustach jej dolną wargę.

Dinah poruszyła się niezręcznie, nagle o czymś sobie przypomi-
nając. Już to kiedyś słyszała, robiła, znała zakończenie; już kiedyś
musiała uciekać.

- Nie chciałbym cię kiedykolwiek skrzywdzić - powtórzył, od-
krywając dłońmi jej ciało.

Dotknął jej pośladków. Dinah spięła się lekko. Pod jej zamkniętą
powieką przemknęła twarz Rudy'ego.

- Fizycznie czy psychicznie? - spytała cicho, odgarniając z czoła
włosy.

Otworzyła oczy - Rudy zniknął. Pojawił się Roy.

Jeszcze raz przycisnął ją do siebie i pocałował.

- Ani tak, ani tak - powiedział.

- Więc nie rób tego - powiedziała tym samym tonem, co
przedtem, próbując usiąść.

Roy przytrzymał ją.

- Dokąd idziesz? - spytał z lekką pretensją w głosie i przyciąg-
nął ją do siebie.

- Puść mnie.

Próbowała uwolnić się z jego uścisku. Zrozumiał, że mówi
poważnie i puścił ją. Dinah usiadła. Roy położył się i przyglądał się
jej pogrążonej w półmroku sylwetce. Poprawiła ubranie. Toni
obudził się, czujnie nadstawiając uszu.

- Co się stało? - spytał Roy.

Rękę trzymał na jej nodze, szturchał ją lekko, namawiał, żeby się położyła.

- Chodź, syreno, rozbij się o moje skały. Daj się przekonać.

Dinah słyszała tylko wewnętrzne ostrzeżenie.

- Nie chcesz mnie skrzywdzić - powiedziała, wygładzając ubranie. - Nagle przypomniałam sobie, że ja też nie chcę, żebyś mnie skrzywdził.

- Chryste - wykrzyknął, patrząc w sufit. - Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Jak niby miałbym to zrobić?

Usiadł - on, potępiony mężczyzna. Skazany na życie w świecie kobiet. Wstał, żeby zapalić papierosa i wyjął pomietą paczkę z bocznej kieszeni.

- Nie wiem - odparła zmęczona. - Jestem pewna, że dla ciebie to również tajemnica. Ale znajdziesz jakiś sposób.

Wyciągnęła rękę.

- Daj mi jednego.

Podał jej papierosa i zaczął szukać po kieszeniach zapalek. Płomień zapałki przez chwilę rozjaśnił w ciemnościach ich twarze. Byli jak dwoje więźniów w celi. „Ile razy mogę to powtarzać” - zastanawiała się Dinah. - „Tę całą sprawę z facetami. Kim oni wszyscy są?” Westchnęła, wypuszczając dym. Mały obłoczek zawisł na chwilę przed jej twarzą, po czym rozpląnął się w wieczornych ciemnościach.

Pies wstał, pokręcił się koło kanapy i wskoczył na nią i usiadł obok Dinah. Pogłaskała go mimowolnie. Żałowała tego, co się stało i postanowiła być miła przynajmniej dla swojego psa.

- Boże - powiedział Roy chłopięcym, zmieszonym głosem. - Nie znamy się nawet cały dzień, a już mówimy o tym, że mogę cię skrzywdzić.

Dinah zaciągnęła się głęboko papierosem. Oczy ją piekły. Usiadła.

- Kiedyś i tak byśmy do tego doszli, więc po co czekać?

Roy usiadł obok niej.

- Po co czekać? - zapytał z niedowierzaniem. - Powiem ci, po co. Bo to jest przyjemne. Ten okres pomiędzy poznaniem kogoś, a stwierdzeniem: „Nie chcę, żebyś mnie skrzywdził” może być naprawdę przyjemny.

Spojrzała na niego, jej oczy przyzwyczyły się do ciemności.

- Mówiłam ci, że seks nie jest moją mocną stroną - powiedziała w końcu cicho.

Wstała i zmęczona wyszła do kuchni. Przetrzęsnęła kredens w poszukiwaniu talerzyka, którego mogłaby użyć zamiast popielniczki. Wyłączyła radio i wróciła do pokoju. Postawiła spodek przy kanapie, strzepując popiół z papierosa. Usiadła obok Roya. Przez chwilę zastanawiała się, jak wygląda; cieszyła się, że jest ciemno. Do diabła. Roy westchnął i skrzyżował nogi.

- Jestem przykładem romantycznej przegranej - stwierdził. - Zupełnie jak hiszpańska wojna domowa.

Dinah spojrzała na niego.

- Czy wojna domowa w Hiszpanii była romantyczna? - spytała.

- Oczywiście. Nie czytałaś „Komu bije dzwon”?

Zapadła cisza. W milczeniu pogrążyli się w ciemności. Poczuli się, jakby wpadli w pułapkę i nie mogli się z niej wydostać.

- Jest tak cicho - zauważyła Dinah ze smutkiem i przeczesła dłońią włosy. - Boże! - wykrzyknęła przepraszającym głosem. - Przepraszam. Jednak mężczyźni zawsze powtarzają, że nie chcą nikogo skrzywdzić, wiesz? Zresztą, skąd miałbyś to wiedzieć? Przecież jesteś po drugiej stronie... Co wy sobie wszyscy myślicie? Że jesteśmy w was bezgranicznie zakochane? Że żyjemy nadzieją na jakieś wspólne życie? Że jestem kolejną dziewczyną, która rzuca się ofiarnie na złowrogi stos twojej łaski? Wiem, że mam skłonność do nadmiernego fantazjowania, ale z drugiej strony mam duże doświadczenie - przerwała nagle i zaciągnęła się papierosem. - Nieważne - dodała szybko, wypuszczając dym nosem i ustami.

Zamilkła.

- Bardzo się boję, że mógłbym powiedzieć teraz coś niewłaściwego - odezwał się Roy.

Pokręcił głową.

- Chciałem tylko, żebyśmy mogli nacieszyć się sobą.

Dinah westchnęła, uśmiechając się lekko.

- Myślę, że w pewien sposób jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Aprobata brzmiąca w jej głosie trochę go uspokoiła.

- Podobni? W jaki sposób?

Dinah odłożyła papierosa.

- Cóż, my rozgrywamy - zaczęła mówić z namysłem. - Pełnimy tę samą rolę. Obdarowujemy się czymś archaicznym. Jak wiejskie

głupki. A wiesz, jest takie powiedzenie - zbyt wielu głupków niszczy wioskę.

Roy nachylił się, zgasił papierosa. Westchnął, czy może się roześmiał.

- Rozumiem - powiedział, choć wcale nie rozumiał.

- Bo wiesz, według mnie są dwa rodzaje facetów - mężczyźni, którzy są trochę jak ojcowie i mężczyźni, którzy są trochę jak rodzeństwo. Ty jesteś tym drugim typem.

Ostrożnie zdjęła z języka okruch tytoniu.

- Rany, ty naprawdę dużo nad tym myślałaś - powiedział Roy z uznaniem w głosie i zapalił drugiego papierosa.

- Chcesz jeszcze jednego? - spytał uprzejmie.

Pokręciła głową.

- Jaki jest ten mężczyzna, który ma w sobie coś z brata? - zapytał.

Z ust zwisał mu papieros. Wyglądał jak gangster ze starego filmu.

- To facet bardziej wyluzowany, ktoś kto szuka aprobaty. Natomiast ten pierwszy typ to taki, od którego próbuje się ową aprobatę uzyskać - odpowiedziała po prostu. - Pomijając fakt, że jesteś związany z dwiema innymi kobietami, to łączy nas to, że nie możemy zdobyć siebie nawzajem, bo jesteśmy zbyt zajęci zdobywaniem siebie samych. Wiesz, sprawdzamy swoje reakcje zamiast je po prostu mieć. Stwarzamy je zamiast je odczuwać. Zamiast dać się zauroczyć, sarni jesteśmy pełni uroku. Zdobywamy, zamiast dać się zdobyć. Zawsze musimy mieć przed sobą coś, co można osiągnąć, do czego można kogoś przekonać lub zachęcić. Zaprosić do środka, samemu stojąc na krawędzi obojętności - ostatnie słowa wymówiła z sarkazmem.

Roy pokręcił głową.

- Ty naprawdę to wszystko sobie przemyślałaś.

Dinah odchyliła się do tyłu, ręce trzymała na kolanach.

- Myślę o tych sprawach bez przerwy - powiedziała. - To moja praca. Oprócz innych rzeczy zajmuję się również czytaniem swoich własnych myśli.

- Jeśli chcesz, żeby między nami zupełnie nic nie wyszło, to w porządku - odparł Roy zirytowany.

Dinah uniosła ze zdziwienia brwi.

- Ale wiesz, co myślę? Chcesz być pierwsza. Zdaje się, że można to nazwać „wyścigiem w kierunku wyjścia”. Możesz skończyć sama, ale przynajmniej będziesz tam pierwsza, więc?

- W każdym razie - przerwała mu, tłumiac udawane ziewnięcie - ty nie potrzebujesz już dodatkowych komplikacji. Będziemy po prostu przyjaciółmi - odwróciła się i spojrzała na niego z uroczym uśmiechem. - Czy w związku z tym, skoro i tak nie zostaniesz już moim drugim mężem, możesz coś dla mnie zrobić?

Roy zakrył rękami twarz i zajęczał:

- Co ja takiego zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć?

- Coś pewnie musiałeś - odparła Dinah słodkim głosem. -Więc mógłbyś?

Odsłonił twarz.

- Co takiego?

Kiedy już ustalili plany na najbliższą przyszłość i typ wzajemnych relacji, mogli wreszcie odpocząć. Będą tylko przyjaciółmi, będą się cieszyć swoją obecnością bez konieczności myślenia o wspólnej przyszłości. Skoro oboje już wiedzieli, że jadą oddzielnie w bliżej nie określonym kierunku, mogli po prostu cieszyć się samą przejażdżką.

Dinah nie mogła sobie pozwolić na żądania. Jednak kiedy nie dostawała tego, co pragnęła dostać - przestawało jej po prostu zależeć. Zaprzyjaźniała się z mężczyznami szybko, ale nie opuszczała swoich obronnych pozycji. Taka przyjaźń kryła w sobie nadzieję na dalsze uwodzenie. Wymagała, by akceptowano ją nie jak kobietę, ale jak kumpla. Jak małżonka. Dostawała mało, ale w gruncie rzeczy to jej wystarczało. To była uczta szybko zawieranych przyjaźni, która działała jak uodparniająca szczepionka.

„Jak myślisz, w jakim to wszystko zmierza kierunku?” - tego nie powiedziałyby nigdy. Wybierała mężczyzn dla ochrony i bezpieczeństwa. Musiała spiskować, żeby zaczęli jej pragnąć, więc z nią wspólne gniazdo, żeby chcieli założyć rodzinę. Wstydziała się i bała.

W czasie tej wędrowki donikąd zbierała okruchy ciepła i bliskości. Miała osobowość, którą musiała dzielić z kimś innym - podwójną osobowość. Któregoś dnia otoczy ją rodzina i wszyscy będą wydzierać z niej po kawałku cząstki uczuć. Dinah - córka, żona,

mama, babcia, prababcia, zupełnie przyzwoita osoba, idąca do grobu. To była jej fantazja na temat podwójnej osobowości, fantazja, która rzucała na nią zły urok.

Nie.

Ona będzie żyła w swoich myślach. Na bezpiecznym terytorium, którego nie będą mogli zdobyć. Wysoko w latarni morskiej swojego umysłu, ponad wzburzonymi dookoła wodami, będzie obserwowała głośny śmiech i wielkie zamieszanie.

Czasami dobrze się czuła, gdy nadchodził kryzys i zamęt - szukała wtedy okazji, żeby stanąć na wysokości zadania. Zdarzało się, że sama nie wiedziała już, kim jest. Stawała się taka jak wszyscy wokół. Może jednak było w tym coś pociągającego. Twardy grunt. Dinah zastanawiała się, kiedy zdarzenia i odczucia przestaną być czymś, co będzie opisywać i kiedy wreszcie zacznie je przeżywać. Kiedy będzie odczuwać coś więcej niż tylko zrozumienie. Chciała odczuwać to, co opisywała i doświadczać tego, co próbowała wytłumaczyć.

Dinah pragnęła wszystko dobrze pojąć. Była dumna z tego, że umiała rozróżniać różne rzeczy, że umiała radzić sobie z czymś, czego inni ludzie się bali i nie potrafili nazwać. Ona umiała. To było jej. Informacje, które zdobywała, należały tylko do niej. Sprawiało jej to przyjemność, podobnie jak wrażenie, jakie wywierała na ludziach. Czuła się, jakby jej jedyna istotna więź ze światem była więzią z nią samą. Zawsze tak było, kiedy przebywała z innymi. Musiała mieć pewność co do jednego - chciała być rozumiana. Żeby nie było żadnych wątpliwości.

Całą wieczność szukali miejsca, żeby zaparkować. Wzięli samochód Roya, bo Dinah uznała, że to męczyzna powinien prowadzić. Roy jeździł małym, ciemnozielonym MG, który, ze względu na niewielkie rozmiary, łatwiej było zaparkować. A poza tym, samochód Roya był ładniejszy od tego, który wynajęła Dinah.

Na skrzyżowaniu utknęli w korku. Jadąc w stronę wybrzeża, widzieli auta, zaparkowane w odległości ponad półtora kilometra od właściwego parkingu przed „Boy's Bay”.

- Trzeba było wcześniej wyjechać - stwierdziła Dinah.

Obserwowała, jak z samochodów wysypują się całe rodziny, nie wyłączając nastolatków i małych dzieci, i maszerują z koszykami załadowanymi jedzeniem w stronę oczekujących ich atrakcji.

- Nie martw się, mój wóz jest świetny, jeśli chodzi o parkowanie w małych dziurach.

Roy wisiał na kierownicy i wypatrywał przez okno odpowiedniego miejsca. Grupki ludzi kierowały się w stronę brzegu, skąd pokaz fajerwerków byłby najlepiej widoczny. Na końcu drogi, na wodzie kołysały się pogrążone w wieczornym świetle łódki.

- Może powinniśmy zrezygnować - powiedziała Dinah. Oparła się o siedzenie i skrzyżowała ręce. - Może to znak.

- To wyzwanie, a nie znak - burknął Roy z wyraźną kpina, patrząc najpierw na nią, a potem na sznur samochodów, który ciągnął się po obu stronach drogi.

Miał teraz lepszy humor. Dinah była rozluźniona i przyjacielska, radio grało wesoło, a oni byli coraz bliżej małego życiowego dramatu, który szczęśliwie nie jego miał dotyczyć. Tego dnia rozmawiał zarówno z Karen i z Cindy, i obie rozmowy obyły się bez większych incydentów. Udało mu się oczarować je obie, a żadna z nich nie domyśliła się, że jego zachowanie wynikało z lekkiego poczucia winy, jakie odczuwał po nieudanym spotkaniu z Dinah. Prawdą było, że nie dopuścił się zdrady, mógł więc odetchnąć z ulgą wiedząc, że jego status wiernego mężczyzny nie uległ zmianie.

Dinah opuściła daszek nad siedzeniem, poprawiła włosy i spojrzała w lusterko. Z wyniosłą miną, choć pełna nadziei, oceniła swój wygląd, po czym rozczarowana osunęła się na fotel. To wciąż była jej twarz. Zawsze ta sama.

- Nie wiem, dlaczego tak bardzo chcesz tam iść - powiedziała ponuro. - Jeśli opiszesz to w książce, zabiję cię.

Roy roześmiał się krótkim, złowrogim śmiechem.

- Pamiętaj - powiedział - ja to robię zamiast pisać, a nie po to, żeby napisać o tym później.

Zobaczył nagle puste miejsce na szczycie piaszczystej skarpy.

- Nareszcie - odetchnął, zapalił silnik i ruszył pod górę.

- Nareszcie, co? - spytała Dinah, patrząc w tamtym kierunku.

Zrozumiała ambitny plan Roya.

- Tamto? - zauważyła niepotrzebnie, bo właśnie manewrowali na wzgórzu; koła kręciły się po piasku. - Ach, to? - poprawiła się. - To nie jest miejsce na samochód, to jest?

Nie miało to już większego znaczenia, co to takiego było, bo Roy dokonywał herkulesowego wysiłku, żeby tam wjechać.

- Słuchaj - zaczął, patrząc przez ramię i z trudem obracając kierownicą. Jego niewielki samochód piszczał i jęczał. - Chcesz trochę potortuować swojego eks-męża, czy nie? - dokończył z wysiłkiem, próbując wjechać w miejsce, gdzie było to prawie niemożliwe.

- Tak, ale?

Roy przerwał. Rozmowa nie była łatwa, bo właśnie próbował ominąć drzewo. Piasek unosił się wszędzie. Dinah ukryła twarz w dłoniach.

- I dalej nie zgadzasz się z tym, że prowadzenie samochodu to męskie zajęcie, i że to ja chwilowo jestem twoim mężczyzną? .

- Tak - zgodziła się wciąż zasłaniając twarz. Siedziała skulona, z nogami podwiniętymi pod siebie, próbując wyjść cało z tej bezsensownej samochodowej opresji.

Samochód zawył i lekko przechylił się do przodu. Roy wyłączył silnik i usiadł z miną zwycięzcy.

- W związku z tym, jako twój oficjalny mężczyzna stwierdzam, że nadszedł czas męki - powiedział z szelmowskim uśmiechem.

Nad brzegiem rojło się od ludzi. Wpadali na siebie, potykali się, rozkładali koce, i ręczniki, ustawiali się kolejkach, chcąc kupić coś do picia lub do jedzenia. Z boku stała niczym złowieszczy znak karetka pogotowia. Impreza miała rozpocząć się za chwilę. Był ciepły, jasny wieczór. Nad zebraniem nad brzegiem tłumem powiewał słaby wiatr.

Dinah i Roy szli ścieżką, po obu stronach porośniętą wysokimi, ciemnymi drzewami, która prowadziła w kierunku mrowia ludzi, niecierpliwie czekających na rozpoczęcie imprezy. Kiedy byli już coraz bliżej i przechodzili obok karetki, Dinah poczuła łomotanie serca. Gdzieś w tym tłumie spacerowali Rudy i Lindsay. Dinah wzięła Roya za rękę.

- To nic intymnego - zapewniła go na wszelki wypadek, gdy przepychali się przez falujący tłum. Śmiech, głośne rozmowy, płacz dzieci. Wzdłuż ścieżki leżały zużyte plastikowe kubeczki. Wieczorny

wiaterek niósł zapach kukurydzy i pieczonych kurczaków. W dole, na wodzie kołysały się łódki, widać było ich ciemne kontury.

Stojący na nabrzeżu budynek jaśniał światłem; przed nim, obok niewielkiego pustego basenu urządzono bufet. Tu i ówdzie pozapalano świeczki. Dinah szukała Rudy'ego i Lindsay, wciąż trzymając Roya za rękę. Gdzieniedzie grały małe radyjka i szczekały psy.

- Napijmy się czegoś - zaproponował Roy i ruszyli w stronę bufetu.

- Jesteś taki praktyczny - pochwaliła go Dinah. Oparła się o niego, jedną ręką przytrzymując jego dłoń, a drugą obejmując go za ramię. Jej krótka, czarna sukienka powiewała lekko na wietrze. - W takich chwilach jak ta prawie żałuję, że nie jesteś moim drugim mężem - powiedziała z uśmiechem.

- Samo „prawie” nie wystarcza - wyszeptał Roy strofującym tonem.

Dinah ścisnęła jego ramię i wciąż wpatrywała się w tłum. Kiedy już dostali drinki, postanowili znaleźć miejsce, gdzie mogliby usiąść. Przeszli obok małej, zgarbionej staruszki.

- Tak będę wyglądała za cztery lata - stwierdziła Dinah.

Kiedy ją mijali, przypomniała sobie nagle, że to było medium, któremu obiecała, że wróci z kilkuset dolarami. Niepotrzebnie odwróciła głowę, patrząc na starą kobietę przeciskającą się w stronę bufetu.

- Co się stało? - spytał Roy.

- Nic - odparła.

W ich stronę szedł wysoki mężczyzna z wielkimi, odstającymi uszami.

- A to ty, tańczący podczas snu z diabłami - poinformowała Dinah Roya.

Kiedy to mówiła, pocisk z pistoletu na wodę trafił go w nogę. Zniósł to po męsku.

- Nic takiego - zapewnił ją. - To tylko rana do żywego.

Zatrzeszczał mikrofon.

„Dobry wieczór państwu. Witamy na dwunastym rocznym pokazie sztucznych ogni w Boy's Bay” - powiedział skrzeczący męski głos. Głos bostończyka. Rozległy się skąpe brawa, dzieci zaczęły wiwatować. Dinah i Roy doszli do małego, wilgotnego

skrawka ziemi niedaleko krótkiego, otoczonego ludźmi ogrodzenia i usiedli ostrożnie, żeby nie zamoczyć sobie ubrań. Trzymali w rękach papierowe kubki i patrzyli na niebo w oczekiwaniu, że coś nareszcie się stanie. Z wielkich głośników, umieszczonych gdzieś po ich obydwu stronach, ryczała muzyka z filmu „Rocky”.

- To twoja muzyka - szepnęła Dinah.

- Ciiiicho - skarciło ich jedno z siedzących obok dzieci.

Roy popatrzył na Dinah z udawaną powagą. Tymczasem na niebie pojawiło się pierwsze małe, jasne światełko. Rozległ się szmer, gdy światełko wybuchnęło, wpadło na gwiazdy i rozbłysło niczym elektryczna chryzantema, oświetlając zebrany na brzegu tłum. Ludzie wiwatowali i klaskali. Świetlisty kwiat zniknął. Miał pozostać już tylko w pamięci. Impreza została oficjalnie otwarta.

Dinah i Roy uśmiechnęli się do siebie. Roy szarmancko zdjął sweter i rozłożył go na ziemi, żeby mieli na czym usiąść.

- Nie zasługuję na ciebie - szepnęła.

- To prawda - odpowiedział jej również szeptem.

Niebo rozbłysnęło trzema kolorami, zagwizdało i ponownie zapadło w ciemność. Wszyscy mieli odchyłone do tyłu głowy i otwarte usta. Amerykanie - stłoczeni w tłumie, z rozdziawionymi gębami, ze wzrokiem utkwionym w niebiańskie cuda. Niebie iskrzyło się i błyskało, wybuchało gwałtownie kolorami i światłem. Dinah pomyślała, że tak właśnie powinno być każdego dnia, i nie z powodu święta sztucznych ogni. Wyglądało to jak zwarcia w niebiańskiej telewizji - błyskawice, tworzące choreograficzny układ, syczące i wspaniałe. Setki radosnych pochodni rozbłyskiwało na ciemnoniebieskim niebie. Były jak ginące gwiazdy - zapadały w ciemność; przypominały targaną wiatrem wierzbę płaczącą, która rozpaczliwie wznosi ku niebu swe gałęzie, przez krótką chwilę rozjaśnione światłem. Srebrny, złoty, zielony, czerwony, niebieski, karmazynowy. Elektryczna sztuczka, wymyślona przez Boga - błogostawieństwo beztroski i zabawy. Rój robaczków świętojańskich - miniaturowe spadające gwiazdy, z kokieterią ciągnące za sobą swoje dymiące ogony, żarzące się musujące tabletki, które przynoszą ulgę.

Niebo lśniło, tonęło w feerii barw i wybuchało bogactwem kolorów. Po kilku minutach Dinah nie mogła sobie przypomnieć,

jak było przedtem. Zresztą nie chciała pamiętać innego nieba. Zwarła kolana i patrzyła, jak niebo przedstawia jedną ze swoich najstaranniej opracowanych sztuczek.

Na wielki finał popłynęła z głośników „Ameryka” Neila Diamonda. Niebo zmieniało kolory - biały, niebieski, czerwony... Widzowie nie mogli się nadziwić. Z wysokości spływał strumień światła. Przedstawienie zbliżało się do najbardziej wzniosłego i kulminacyjnego momentu - trwało to chwilę, po czym znów zapadła czerń, a zaraz po niej błękit. Pokaz dobiegł końca. Wróciło szare niebo, na którym blado błyszcząły gwiazdy.

- Cóż? - odetchnął Roy.

- O rany - wydusiła z siebie Dinah.

Stanęli na niepewnych nogach, strzepując z siebie piasek. Roy złożył swój wilgotny sweter. I właśnie tam, tuż za ogrodzeniem, stał Rudy. Wpatrywał się w Dinah, a potem spojrzał na Roya. Lindsay stała tuż za jego plecami.

Dinah poczuła, że robi jej się słabo. Całe jej opanowanie gdzieś uleciało. Roy popatrzył na nią, a zaraz potem na Rudy'ego i Lindsay. Zmrużył oczy, próbując ich rozpoznać.

- Dinah... - odezwał się Rudy.

Lindsay odgarnęła włosy ze swojej rozświetlonej, szczerzej twarzy. Była ubrana w długą, białą, bawełnianą suknię ze złotym haftem przy szyi i na mankietach.

- Witaj, Rudy - powiedziała Dinah z lekkim uśmiechem.

A więc nadeszła ta chwila. Obojętni ludzie kłębili się wokół nich. Dym z fajerwerków powoli opadał. Gdzieś za nimi płakało dziecko. Wszyscy czworo stali w milczeniu, speszeni i zażenowani. Roy przestępował z nogi na nogę. Cisza otoczyła ich ze wszystkich stron. W końcu Roy rzucił Dinah pytające spojrzenie i wyciągnął do Rudy'ego rękę.

- Roy Delaney. Bardzo mi miło.

Rudy podał mu dłoń, ale wciąż patrzył na Dinah.

- Rudy Gendler.

Przez moment przytrzymał rękę Roya, po czym puścił ją i spojrzał niespokojnie na Lindsay.

- Lindsay - powiedział z odrobiną współczucia - to jest... - zawałał się. Kim ona w zasadzie teraz była?

Dinah mężnie sama pociągnęła za sznurek.

- Dinah - przedstawiła się, wyciągając rękę z zabandażowanym kciukiem. - Dinah Kaufman. Miło mi cię poznać.

Lindsay uściśniła jej dłoń. Kątem oka spojrzała na Rudy'ego - wyczuła jego napięcie i próbowała ustalić przyczynę.

Dinah zauważyła, że Lindsay jest nie umalowana. Włosy okalały jej bladą twarz - zielone oczy z gęstymi rzęsami i zabawny, zadarty nosek. Dinah nieśmiało dotknęła swojej twarzy - podkład, umalowane oczy, usta podkreślone konturówką i pokryte pomadką. Poczowała się jak falsyfikat, jak wymalowana komediantka. Starła dłonią szminkę.

Roy trzymał ręce głęboko w kieszeniach swoich kremowych spodni i kołysał się na piętach do przodu i do tyłu. W jego oczach widać było figlarną iskrę. W końcu to nie było jego przedstawienie. Przynajmniej ten jeden raz. Rudy chciał coś powiedzieć, ale Roy nie dał mu dojść do słowa.

- Czy wy przypadkiem - odezwał się niemal radosnym głosem - nie byliście kiedyś małżeństwem, czy czymś w tym rodzaju?

Popatrzył uszczęśliwiony na Dinah i Rudy'ego. Lindsay zbladła jeszcze bardziej. Spojrzała z trwogą na Rudy'ego. Dinah wbiła paznokcie w ramię Roya.

- „Coś w tym rodzaju” to chyba lepsze określenie - wydusił z siebie Rudy.

Rzucił Lindsay niemalże błagalne spojrzenie. Dotknęła ręką szyi, jakby chciała dodać sobie odwagi, jakby to miało przynieść jej szczęście, a potem popatrzyła na nich dwoje, być może próbując ich jakoś ze sobą połączyć. Zatrzymała wzrok na Dinah.

- Rozumiem - powiedziała spokojnie. - Ty jesteś tą Dinah.

Roy niemalże parsknął śmiechem.

- Więc ile was w końcu jest? - zapytał z ironią, próbując przywołać wesoły nastrój. - No, oprócz Dinah Shore i kota w „Ali-cji z Krainy Czarów”?

Dinah posłała mu miazdzące spojrzenie. Zamilkł. Przez głośnik podano informację o zaginionym dziecku. Dinah potraktowała to jako znak. Znak lub metaforę.

Lindsay patrzyła na Rudy'ego, chcąc uzyskać wskazówkę, jak powinna się zachować.

- Cóż - odezwał się z wahaniem. - Miło było was...

- A co powiecie - przerwał mu Roy wesoło. - Co powiecie na to, żebyśmy poszli na drinka? Będziecie mogli nadrobić zaległości. Ja stawiam.

Usiedli przy małym stoliku w prowizorycznym bufecie przy basenie w „Boy's Bay”. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie w gorącym, nieruchomym powietrzu. Siedzieli w milczeniu, a wokół nich unosiło się wszystko to, czego nie chcieli powiedzieć. Nad nimi wisiały chińskie lampiony; w górze utrzymywało je to, co prawie już zostało powiedziane i to co dopiero miało zostać wyrażone słowami.

Na czole Roya pobłyskiwały kropelki potu, świeciły niewyraźnie w bladym świetle kolorowych lampionów. Koszula mocno przyległa mu do wilgotnych pleców. Dinah założyła nogę na nogę i spoglądała na Lindsay. Zauważyła, że jasne włosy dziewczyny lekko lśnią w mroku. Smutne, jasnozielone oczy miała utkwione gdzieś daleko, a jej szczupła twarz była skupiona na tym, co było dla niej najważniejsze, na Rudym. Miała rozchylone wargi. Dinah odwróciła wzrok.

To była twarz szczerego, pełnego uroku dziecka. Lindsay była bardzo szczupła i wiotka. Dinah poruszyła się, czując boleśnie swoje zbędne kilogramy. Tymczasem wydawało się, że Lindsay kończy się w tym samym miejscu, w którym się zaczyna - leciutka, ledwie widoczna opuszczona istota. Jak pszeniczny kłos, jak promień światła, jak smuga księżyca, lecąca w stronę Rudy'ego. Dinah siedziała przy nich i była jak obca planeta, grożąca kolizją w przestrzeni, zderzeniem dwóch światów. Dla nich wszystkich nie starczało orbity.

Patrząc na delikatną, pełną nadziei twarz Lindsay, dzielnie zwróconą w przyszłość, Dinah zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Teraz chciała wrócić do domu. Do jakiegokolwiek domu, w którym nie było Rudy'ego. Do jakiegokolwiek, nawet najmniejszej cząstki swojego życia, w której on nie istniał.

Rudy chrząknął. W odpowiedzi na to Dinah poprawiła ręką włosy. Czuła każdy centymetr swojego ciała. Dookoła nich przepychali się ludzie, torowali sobie drogę pod prąd. Nagłe Roy uderzył rękami w kolana, wyrывая wszystkich z zamyślenia. Z trudem wracali do nie chcianej rzeczywistości.

- Czyż te sztuczne ognie nie były wspaniałe? - powiedział z wymuszoną wesołością i spojrzął na wszystkich wyczekująco.

- Piękne - odparła Dinah, zaskoczona brzmieniem własnego głosu.

Uśmiechnęła się sztucznie do Roya i kiwnęła głową. Obok niej przepłynął obłoczek papierosowego dymu. Lindsay zakaszłała.

- Kiedy przyjechałaś? - zapytał Rudy, patrząc znacząco na Dinah, odnajdując drogę dzięki dobrze znajomej gwieździe, jaką kiedyś dla niego była.

Dinah zastanowiła się, lekko marszcząc nos.

- Zaraz. Kiedy tu przyjechaliśmy, kochanie? - spytała Roya.

Dwóch małych chłopców z krzykiem przebiegło między stojącymi przy basenie stolikami. Jeden z nich wymachiwał nad głową sztucznym ogniem.

- Dopiero co tu dotarliśmy - odparł Roy, patrząc z uśmiechem na Rudy'ego i Lindsay. -A wy? -ciągnął dalej. Przechylił głowę, by spojrzeć na Lindsay.

Mocno zacisnęła dłonie, rzuciła okiem na Rudy'ego i spojrzała na Roya.

- Jesteśmy tutaj prawie od początku lata - odparła nerwowo.

Roy skinął ze zrozumieniem. Rozmowa urwała się po raz kolejny. Roy nie przestawał kiwać głową, od czasu do czasu przerywając tę czynność, żeby podrapać brwi. Rudy przyglądał mu się zmrużonymi oczami.

- Czym się zajmujesz? - zapytał w końcu, krzyżując ręce na piersiach.

W milczeniu czekał na odpowiedź.

- Ja? - spytał Roy i wskazał palcem na siebie, jakby chciał oddzielić swoją zewnętrzną powłokę od prawdziwego „ja”.

- Tak. Co...

- Zajmuję się pisaniem - powiedział Roy, nagle sobie przypominając. - Pisaniem scenariuszy. Ale za to wiem, co ty robisz. Piszesz sztuki. Jesteś jednym z najlepszych współczesnych dramaturgów.

Rudy jeszcze bardziej zmrużył oczy, wyraźnie obawiając się ironii.

- Kiedyś nazywałam go „pan Turg” - szybko dodała Dinah. - „Pan DramaTurg”.

Uśmiechnęła się z trudem, wypychając przy tym na bok policzki, które nagle zrobiły się bardzo ciężkie. Zwróciła się do Lindsay.

- Rudy mi mówił, że jesteś dekoratorką wnętrz.

Lindsay ze zdziwienia otworzyła szerzej oczy.

- Kiedy ci to powiedział? - spytała, patrząc na nich oboje.

Rudy wyprostował się. Chrząknął.

- W Los Angeles - poinformował ją zwyczajnie. - Widziałem się z nią, kiedy tam byłem. Myślałem, że ci mówiłem. Nie mówiłem?

Lindsay spojrzała na niego bez słowa. Roy pochylił się i z niewinnym, kpiącym wyrazem na swojej przystojnej twarzy spytał:

- Kto ma ochotę na coś do picia?

Z uniesionymi wyczekująco brwiami przyglądał się kolejno każdemu - jak towarzyska pszczoła, która zapyla ulubione kwiatki słodkim nektarem swojego nastroju.

- Nie wiem, jak z was, ale ze mnie te fajerwerki wyciągnęły całą wilgoć. Rudy, jakiś napój?

Rudy niemalże odetchnął z ulgą.

- Z przyjemnością - powiedział. Ręce trzymał złożone przed sobą, jego niebieskie oczy błyszczały, trudno było cokolwiek z nich wyczytać. - Myślę jednak, że sami będziemy musieli się obsłużyć. - Wskazał głową w stronę budynku.

Roy wstał nagle i popatrzył na niego.

- To może my pójdziemy, a panie popilnują stolika?

Rudy podniósł się z wahaniem.

- Dobrze - powiedział i odsunął krzesło.

Przez megafon podano informację, że zaraz rozpocznie się loteria, w której główną wygraną będzie motocykl i tydzień w hotelu „Gurney's Inn”.

- Ja poproszę rum z colą - powiedziała Dinah do Roya, starając się by jej głos zabrzmiał wesoło i beztrudnie.

- Dla mnie wino - zwróciła się Lindsay do Rudy'ego z odrobiną paniki w oczach.

Odgarnęła z twarzy jasne włosy, odkrywając mocno zarysowane, błyszczące czoło. Roy i Rudy poszli w stronę budynku, przedzierając się przez tłum. Dinah spojrzała na Lindsay, próbując zmusić się do uśmiechu. Nagle odwróciła głowę i zawołała w stronę znikających mężczyzn.

- I może jakieś papierosy!

Lindsay popatrzyła na nią ze smutkiem - pszeniczny kłós o smutnym spojrzeniu, kołyszący się na stęchłym powietrzu.

- Chyba cię nie usłyszeli - odezwała się niepewnie.

Dinah wyprostowała zgarbione, bojące plecy.

- W zasadzie i tak prawie nie palę. Pomyślałam sobie? - przerwała i wzruszyła ramionami. -Wydawało mi się, że to dobry pomysł - dokończyła bez przekonania.

Oparła się znowu o krzesło i popatrzyła w rozgwieżdżone niebo.

- Zajmujesz się pisaniem seriali dla telewizji - powiedziała Lindsay prawie z radością.

Przyglądały się sobie pełne obaw, nad ich głowami brzęczały moskity. W powietrzu unosił się zapach hot dogów.

- Właściwie tylko jednego - odparła Dinah. -Piszę „Pragnienie serca”.

Lindsay pokiwała głową ze zrozumieniem. Usiadła wyprostowana na krześle. Jej biała, bawełniana sukienka miała mały dekolot i za każdym razem, kiedy dziewczyna poruszała się, widać było na jej szyi połyskujący, okrągły diament.

- Myślę, że słyszałam o tym - powiedziała. - Właściwie prawie nie oglądam telewizji. Zwykle pracuję w ciągu dnia. A nawet jeśli mam wolne, to jestem przeważnie poza domem. Lubię zajmować się ogrodem.

Dinah strzepnęła z ramienia moskita.

- Rudy wspominał o tym - odparła, strącając owada z ręki.

- O czym? - spytała Lindsay.

Pomiędzy jej zielonymi oczami pojawiła się zmarszczka. Loteria rozpoczęła się.

- Że lubisz pracować w ogrodzie.

- Rozumiem - powiedziała. Zmarszczka na jej czole zastygła.

Dinah poczuła, że zaraz kichnie. Dotknęła ręką nosa. Lindsay przyglądała się jej.

- Masz jakieś zainteresowania? - spytała w końcu wspaniało-myślnie.

- Zainteresowania? - powtórzyła Dinah głucho. - Boże, nie wiem..- Zawsze kojarzyło mi się to ze zbieraniem znaczków albo uprawianiem kajakarstwa...

- Albo ogrodu - przerwała jej Lindsay sucho.

Miała wydęte usta, zmarszczka na czole pogłębiła się, myślała intensywnie. Dinah zaburczało w brzuchu.

- Nie - powiedziała żywo gestykulując. - Uprawianie ogrodu jest mniej... republikańskie - obejrzała się za siebie, szukając pomocy, która mogłaby stamtąd nadejść. Na próżno. Dotknęła ręką czoła i policzków. Chciała sprawdzić, czy nie ma gorączki. Nie czuła się najlepiej. Z powodu tej rozmowy o zainteresowaniach była zdenerwowana i czuła się źle. Z powodu tych fajerwerków i tych mężczyzn. - Uprawianie ogrodu brzmi bardzo... Zen. Koi nerwy, jest takie proste.

- Cóż, to z pewnością uspokaja. Ale nie wiem, czy jest proste.

- Nie, nie miałam na myśli tego, że jest łatwe. Jest proste w innym sensie - to takie zwyczajne zajęcie. Czyste. - Diament na szyi Lindsay zaiskrzył się, przykuwając wzrok Dinah. - Jak chciałabym mieć jakieś hobby! Kiedyś to było moje pisanie, ale teraz... to już obowiązek, a nie przyjemność... - wzruszyła bezradnie ramionami.

Lindsay obrzuciła ją szczerym, prawie przyjaznym spojrzeniem. Oblizwała wargi.

- Powinnaś spróbować pracy w ogrodzie - zaproponowała jej cicho.

- Zrobię to na pewno - odparła Dinah z wdzięcznością, nachylając się ku niej, żeby podkreślić wagę swojej decyzji.

Spod jej lewej piersi wymknęła się kropelka potu i spłynęła w dół. Na przemian zakładała nogę na nogę. Lindsay odgoniła fruwiącego wokół jej głowy moskita. Rozmowa po raz pierwszy utkwiała w martwym punkcie. „Rudy powinien z nią być” - pomyślała Dinah. „A ja powinnam być z jakimś zniewieściałym facetem. Jestem za mało kobieca dla stuprocentowego mężczyzny. W takich związkach jest zbyt dużo konkurującej ze sobą energii. Podwójny yang nie zdaje egzaminu. Wróżka mówiła, że spotkam wielu delikatnych mężczyzn. Jakiś delikatny Japończyk... jak maskotka.”

- Co sprowadza cię do Long Island? - spytała Lindsay, wyrывая Dinah z zamyślenia.

Dinah zmarszczyła lekko brwi i westchnęła. Dlaczego wszyscy ją wciąż o to pytają? Czy wyglądała tak, jakby pomyliła miejsca? Pewnie tak.

- Nic szczególnego - odparła nieśmiało. - W Los Angeles trwa strajk pisarzy, więc pomyślałam sobie, że... przyjadę tutaj.

- Masz tu dużo znajomych?
- Dużo? - zmarszczyła brwi. - Nie, nie dużo. A ty?
- Trochę - odparła. - Niewielu. Ale jestem tutaj z Rudym.
Dinah pokiwała głową.
- Wiem - powiedziała, wciąż idiotycznie kiwając głową. - To musi być przyjemne.
- Jest - stwierdziła Lindsay znacząco. - To jest przyjemne.
Spojrzały na siebie w napięciu, gotowe niemalże na wszystko. „Po co tu przyjechałam?” - pomyślała Dinah. - „Jaki miałam plan?”
- Przyjemne - powtórzyła ze smutkiem, odganiając nie istniejącego owada.

Odczytano nazwisko szczęśliwca, który wygrał motocykl. Ktoś zaczął krzyczeć i skakać do góry. Dinah próbowała dostrzec go w tłumie. Lindsay wygładziła spódnice.

- Roy wygląda na bardzo miłego faceta - powiedziała.
Dinah pokiwała niewyraźnie głową.
- Prawda? Tak naprawdę nie jesteśmy razem, dopiero co się poznaliśmy. Jest moim nowym sąsiadem.
- Aha - odparła Lindsay. - Szkoda.
- Może, kto wie. Nie znam go aż tak dobrze, żeby wiedzieć, czy jest czego żałować.
- Rozumiem.
- Roy ma bardzo skomplikowane życie osobiste. Nie potrzebuje nikogo, kto mógłby je jeszcze bardziej skomplikować.
- Myślałam, że krótko się znacie...
- Czasem nie trzeba kogoś długo poznawać, żeby go dobrze znać.
Lindsay zmrugała oczy.
- Co masz na myśli?

Dinah dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak to zdanie mogło zabrzmieć.

- Nic, ja...
- Jesteśmy! - nagle pojawił się Roy z drinkami, rozwiewając wiszące w powietrzu napięcie na tysiące niewidzialnych kawałków. Ostrożnie postawił przed Dinah rum z colą. Rudy podał Lindsay wino. Obaj trzymali w rękach piwo.

- Przepraszam, że trwało to tak długo - odezwał się Rudy, wpatrując się najpierw w twarz Lindsay, a potem podejrzliwie spoglądając na Dinah. - Była duża kolejka - wyjaśnił i usiadł.

Roy także usiadł. Napił się piwa.

- Miło wam się rozmawiało? - zwrócił się wesoło do Dinah.

Dinah posłała mu jedno ze swoich najbardziej ponurych spojrzeń, jakby to on wszystkiemu był winien.

- Oczywiście - odparła uprzejmie. - Rozmawialiśmy o zainteresowaniach.

- O zainteresowaniach - Roy pokiwał głową z udawanym przejęciem. - Naprawdę? My mówiliśmy trochę o pisaniu - powiedział, przenosząc spojrzenie z jednej na drugą.

Dinah udało się stłumić śmiech.

- O pisaniu i sporcie - dodał Rudy, biorąc Lindsay za rękę.

Dinah zrobiło się niedobrze. Poczowała się samotna, wyobcowana - ktoś, na kogo nikt nie czeka. Wszyscy wokół tworzyli pary, a w przypadku Roya - nawet trójki - i gotowi byli wejść na zbliżającą się arkę i przejść przez wszystkie punkty kontroli.

- Co poczęliby mężczyźni, gdyby nie wymyślono sportu? Chciałbym to wiedzieć - powiedział Roy, zabijając ręką moskita i wycierając ją o nogawkę spodni.

Dinah poruszyła się niezręcznie. Przez chwilę patrzyła na złączone dłonie Rudy'ego i Lindsay. Szybko odwróciła wzrok,

- Mężczyźni mają dobrze z tymi typowo męskimi rodzajami sportu - powiedziała z rozpaczą w głosie. - Kobiety są tego pozbawione.

Rudy popatrzył na nią zniecierpliwiony i napił się piwa.

- A co powiesz na kobiecą koszykówkę? - spytał.

- A siatkówka? - wtrącił Roy wesoło.

Lindsay wyglądała nieswojo, nad jej rozświetloną twarzą zawisły chmury. Dinah była zupełnie zbita z tropu - popatrzyła najpierw na Rudy'ego, a potem na Roya, zgodnie zresztą z kolejnością ich wypowiedzi.

- Oglądaliście kiedykolwiek kobiecy sport? - spytała wyniośle, przybierając pozę przewodniczącej Towarzystwa na Rzecz Wątpiących.

Lindsay z aprobatą pokiwała głową.

- One są beznadziejne - powiedziała cichym, tajemniczym głosem, uśmiechając się lekko.

- KobiECE drużyny, które wyglądają jak te panie na lotnisku zajmujące się rewizją pasażerów - stwierdziła Dinah.

- Właśnie - zgodziła się Lindsay z uśmiechem.
Prawie zapomniały o wcześniejszej pełnej zgrzytów rozmowie.

- Nie możecie mówić poważnie - dodała Dinah - że kobiecy sport ma cokolwiek wspólnego z męskim.

- A co z organizacjami zrzeszającymi kobiety-sportowców? - spytał Roy, mrugając okiem do Rudy'ego.

- Bądź poważny - odparła Dinah. - Czy jest w tym cokolwiek, co mogłoby budzić emocje?

- Nie wiem - odparł Rudy. Chciał jak najszybciej przejść do następnego tematu. Bał się, że Dinah nie da łatwo za wygraną. - No to w porządku, kobiety nie muszą rozmawiać o sporcie. Więc my rozmawiamy o sporcie. Zresztą nie tylko o tym.

- O sporcie i o pracy - wtrącił Roy ze smutkiem w głosie.

- Zgadza się. A kobiety rozmawiają o mężczyznach - powiedziała Lindsay.

- Zgadza się - dodała Dinah z uśmiechem.

Rudy i Roy wymienili długie spojrzenia. Roy przechylił głowę, wpatrując się w Dinah.

- Myślałem, że powiedziałaś, że rozmawialiście o zainteresowaniach - przypomniał złośliwie.

- O zainteresowaniach jako o możliwości dotarcia do mężczyzn - odparła Dinah.

Rudy westchnął.

- Nawet nie wiecie, jak działają mi na nerwy babskie rozmowy na tematy męsko-damskie.

- Jakie tematy męsko-damskie? - spytała Dinah, nachylając się ku niemu z udanym zainteresowaniem.

Lindsay także przyglądała mu się ostrożnie.

- Nie wiem - odparł lekko poirytowany. - Na przykład to, że świat należy wyłącznie do mężczyzn.

Spojrzał na Roya i bezradnie wzruszył ramionami.

- Jeśli słyszy się to z ust tak wielu kobiet, to może tkwi w tym ziarno prawdy - stwierdziła Dinah.

Roy pokręcił głową i roześmiał się.

- Jakiej prawdy? Obiektywnej?

Dinah nachyliła się jeszcze bardziej, przesuwając krzesło do przodu. Tym razem zwróciła się do Roya.

- No może nie - zaczęła z przejęciem. - Ten temat wywołuje wyjątkowo dużo emocji. Być może trzeba być kobietą, żeby to zrozumieć.

Lindsay także przesunęła się do przodu, wciąż trzymając rękę Rudy'ego.

- Kobiety są obywatelami drugiej kategorii - powiedziała, ale po chwili poprawiła się - no, może pierwszej i pół.

- Ten świat jest światem mężczyzn - podsumowała Dinah i dla podkreślenia wagi swojej teorii, uderzyła ręką w stół.

Rudy spojrzął na nią. Chciał coś powiedzieć, jednak zmienił zdanie i odwrócił się do Lindsay.

- Pod jakim względem?

Lindsay również odwróciła się do niego, bawiąc się swoim naszyjnikiem.

- Boże, pod wieloma - odparła. - Mężczyźni rządzą światem... w ekonomii, polityce...

Przerwała nagle i utkwiała wzrok w stojącym przed nią kieliszku.

- Słuchajcie - powiedziała Dinah - na tej planecie po prostu łatwiej jest być mężczyzną niż kobietą. W każdej dziedzinie. Możecie się rozmnażać praktycznie bez ograniczeń. My nie. Możecie założyć rodzinę, nawet jeśli stracie wzrok i powypadają wam zęby. Możecie odkładać decyzję o małżeństwie i o dzieciach, my pod tym względem mamy jeszcze Większe ograniczenia. Proszę bardzo. Mężczyźni zarabiają więcej niż kobiety.

Rudy lekko zmarszczył brwi.

- Cóż, nie powinno tak być.

- Świetnie. Może spróbujesz to naprawić.

Roy nachylił się do Dinah i zająknął jej w oczy z udawaną skruchą.

- Gwiazdy porno płci żeńskiej zarabiają więcej niż gwiazdy porno płci męskiej.

Dinah skrzywiła się. Rudy wyglądał na zaniepokojonego.

- To prawda? - spytał.

Roy kiwnął głową. Dinah westchnęła.

- Świetnie. Poniżają się dla pieniędzy.

Rudy wzruszył ramionami.

- Nie możecie zwalać winy na mężczyzn za to, że mają przewagę pod względem biologicznym.

- To nie wasza wina, to jest przecież wasz świat - odparła Dinah. - Ale to się nie zmienia, więc...

- Za to już wszyscy ponosimy winę - powiedział Roy.
- Mężczyźni mają władzę, rządzą - zauważyła Lindsay.

Wciąż miała bardzo bladą twarz. Dotykała błagalnie ramienia Rudy'ego. Roy skończył pić piwo i szerokim gestem postawił pustą butelkę przed sobą. Szach i mat.

- A Anglia? - przygadał Lindsay. - A Pakistan? - zwrócił się do Dinah.

Patrzył to na jedną, to na drugą. Dinah czuła, że serce jej wali.

- Właśnie - poparł go Rudy.

Dinah popatrzyła na niego. Co ona kiedyś w nim widziała? Potem spojrzała na Roya. Co w ogóle mogła widzieć w jakimkolwiek mężczyźnie?

- A pieprzona Islandia? - zaśmiała się z ironicznie. - A pewne amazońskie plemiona w północnej części Ameryki Południowej? Ale przecież my rozmawiamy o innych miejscach - dokończyła, ledwo łapiąc oddech.

Na szyi Lindsay błyszczał diament. Dotknęła go niespokojnie. Chmura dymu z papierosa przepłynęła obok jej twarzy, zakaszła, zakrywając usta czterema palcami.

Rudy poruszył się, jego krzesło zaskrzypiało.

- Może wynika to z tego, że kobiety na ogół sobie nie ufają - powiedział. - Myślisz, że jeśli jedna kobieta ubiegałaby się o jakiś urząd, to inne by na nią głosowały?

Lindsay z ciekawością popatrzyła na Rudy'ego.

- Być może nie - odparła. - Bo, jak sam mówisz, kobiety nie zawsze sobie ufają.

- Tak - zgodziła się z nią Dinah. - Ponieważ wychowywałyśmy się w kulturze, w której to was uczy się tego, że macie przewagę, a mężczyzna może sprzedać swoją starszą żonę i kupić młodszą i nikt nawet nie mrugnie okiem.

- Nie obwiniamy was o to - dodała Lindsay łagodnie, kładąc dłoń na ramieniu Rudy'ego. Potem spojrzała nieśmiało na Roya. - I tego nie oceniamy. Po prostu stwierdzamy fakt, że tak właśnie jest.

- Że takie przynajmniej robi to wrażenie - zgodziła się z nią Dinah i energicznie skinęła głową.

Roy nachylił się i zasłonił dłonią pustą butelkę po piwie.

- A czy ta kobieta, która ubiegała się o fotel wiceprezydenta, pocziwa Geraldine Ferraro, przypadkiem nie płakała po przegraniu wyborów? - zadał nietaktowne pytanie.

- Proszę cię, przestań, to jest właśnie to, co dzieje się w wielkim świecie - odparła Dinah. - Właśnie na takich rzeczach koncentrują się mężczyźni, jeśli chodzi o kobiety polityków. Nie wiem, czy to prawda, że ona płakała. Nixon też płakał, frajerze, i nikt o tym nie mówi.

- Jak to nikt o tym nie mówi? Boże, tylko mu się przyjrzyj - powiedział kpiąco Roy.

- Sam mu się przyjrzyj - odparła.

Rudy przerwał.

- Słuchajcie - powiedział. - Mężczyźni istnieją po to, by odnieść sukces. To jest ich główne zadanie. Kobiety też pragną sukcesu, ale nie czują aż tak wielkiej presji. Kiedy kobiecie się nie uda, to nie jest to znowu aż tak wielka katastrofa. Powiedzmy sobie szczerze.

- Pewnie - powiedziała Dinah. - Mężczyźni to żywiole, a kobiety to istoty do rodzenia dzieci. Bogaci mężczyźni i piękne kobiety. Pomarszczone, stare dziwaki i młode, ponętne dziewczyny.

Rudy przerwał jej z widocznym napięciem.

- W obecności pięknych ludzi czuję się nieswojo. To tak, jakby się przebywało z kimś, kto posiada coś wielkiego i wspaniałego, ale z osiągnięciem tego nie ma nic wspólnego.

Lindsay siedziała u jego boku i nerwowo sączyła wino, podczas gdy Dinah posyłała mu krótkie, namiętne spojrzenia. Po chwili milczenia powiedziała:

- Jeśli starszy bogaty mężczyzna żeni się z piękną i młodą, ale biedną dziewczyną, to jest to historia o Kopciuszku. Jeśli ja zrobię to samo, to nikt się nie wzruszy, a tylko się ośmieszę. Przypomnijcie sobie te plotki o Cher, kiedy chodziła z tym młodym chłopakiem...

- Robem Camiletti - wtrąciła Lindsay.

- Wszystko jedno - powiedziała Dinah, przez chwilę odnotowując jej istnienie, po czym spojrzała ponownie na Rudy'ego, a potem na Roya. - Mówiono, że kiedy go zobaczyła, kazała go umyć i przyprowadzić do swojego namiotu. Cher wszyskiemu zaprzeczyła. To jest właśnie to bagno. Na tym polega ta zamiana: mężczyzn ceni się za to, co osiągną - za władzę, pieniądze albo sukces - a kobiety ceni się za ich urodę - za to, czym przypadkowo są obdarowywane przy urodzeniu.

- Lub za udaną operację plastyczną - powiedziała Lindsay. - Jeśli kobieta nie wyjdzie za mąż, uważa się to za katastrofę. Jest starą panną. Jeśli mężczyzna się nie ożeni, to zawsze jest kawalerem do wzięcia.

- Jeśli jest bogaty - stwierdził Roy ze smutkiem. - A ludzie dziedziczą pieniądze z taką samą łatwością, z jaką dziedziczą urodę.

Dinah uśmiechnęła się zjadliwie. Lindsay popatrzyła na nią i spuściła wzrok. Rudy uśmiechnął się również.

- Ale nie zapominaj, że kobiety mają więcej o te siedem darowanych lat.

- Jakich siedem darowanych lat? - spytała Lindsay.

Patrzyły na niego, nie rozumiejąc o czym mówi. W oddali rozległ się szum łodzi.

- Kobiety żyją średnio o siedem lat dłużej niż mężczyźni - wyjaśnił Rudy. - Zamienię się z wami - oddam tę rzekomą władzę, a wezmę siedem lat...

Dinah zbladła.

- W porządku - odparła.

Rudy roześmiał się z pogardą.

- Tak, teraz się zgadzasz, ale ja widziałem ludzi u kresu i - wtedy te siedem lat ma bardzo wielkie znaczenie - oświadczył.

Dinah nachyliła się do niego. Zaciśnęła pięści.

- Byłam ostatnio u lekarza i rozmawiałam o jednym facecie. Lekarz zapytał mnie, ile ten facet ma lat, a ja odparłam, że czterdzieści dwa. Na co lekarz odpowiedział: „Jak na mężczyznę, to jeszcze młody wiek”. A wiesz, dlaczego dla faceta to jeszcze młody wiek, a dla kobiety już nie? Prokreacja. W tym wieku kobieta jest stara, jej jajniki obumierają, za to plemniki ruszają się do samego końca. Dlatego pieprzę te wasze dodatkowe siedem lat. Wy możecie odkładać wszystko w nieskończoność, opóźniać dojrzewanie jeśli chodzi o konieczność ustabilizowania się - wystarczy tylko, że będziecie się wiązać z coraz młodszymi kobietami, których zegary biologiczne nie...

Roy przerwał jej, lekko poklepując ją po ramieniu. Dinah pomyślała, że chce ją uspokoić.

- A łysienie? Kobiety nie łysieją.

Lindsay przerwała mu nagle.

- Nie wszyscy mężczyźni łysieją - powiedziała z przekonaniem. - Dwadzieścia procent traci włosy w wieku dwudziestu lat, trzydzieści procent w wieku trzydziestu lat, czterdzieści procent w wieku czterdziestu lat i tak dalej - spojrzała na Dinah. - Mój brat jest dermatologiem. Łysym dermatologiem.

- Czy chcesz powiedzieć, że jeśli dożyjemy setki, to z całą pewnością wszyscy będziemy łysi? - zapytał Roy śmiertelnie poważnym tonem.

- Chcemy powiedzieć, że w średnim wieku połowa z was jest łyśa, natomiast my wszystkie mamy smętnie wyglądające, obwisłe piersi - powiedziała Dinah.

Roy jakby nieobecny pokiwał głową.

- W każdym razie - stwierdził - teraz wszystko się zmienia. Większość kobiet pracuje, są w rządzie, w urzędach... szala władzy przechyla się na drugą stronę. Kobiety pokazują, na co je stać.

- Racja - zgodziła się Dinah z ironią, przeczesując ręką włosy. - Teraz kobiety muszą i pracować, i obsługiwać mężczyznę, i...

- Dinah, daj spokój - odezwał się Rudy zniecierpliwionym głosem. - W jaki sposób ty kiedykolwiek mnie obsługiwałaś i dbałaś o nasz związek?

Rzucił okiem na Lindsay i napił się piwa.

- Ja? A w jaki sposób ty miałeś na względzie dobro związku? Zdaje się, że wszystko rozpadło się dlatego, że ja nie dotrymałam ze swojej strony umowy - to znaczy, nie wytrzymałam do końca. Wierz mi, to nie była umowa, i właśnie w tym rzecz.

Z twarzy odpłynęła jej cała krew. Dotknęła szyi - była gorąca. Czuła, że kręci jej się w głowie. Spojrzała z wściekłością na stojącą przed nią szklanekę.

Lindsay popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Jesteśmy pokoleniem - powiedziała nieśmiało - które wychowywało się w przekonaniu, że należy znaleźć dobrą partię - dobrze wyjść za mąż i mieć dzieci. Potem powiedziano nam, że trzeba sobie również znaleźć pracę. Albo odwrotnie. Nigdy nie mogłam tego zapamiętać, to wszystko było takie zagmatwane.

- Powinnyście odzyskać wiarę w siebie i przestać ciągle narzekać - próbował rozładować sytuację Roy. - Zachowujcie się po męsku.

Rudy bezskutecznie próbował zachować powagę.

- Powinnyście rozpocząć tydzień dumy heteroseksualnych kobiet - roześmiał się Roy. - I wybrać sobie hasło „Bycie dziewczyną sprawia mi przyjemność”.

- Albo „Jestem kobietą, usłysz mój krzyk” autorstwa Helen Reddy - dodał śmiejąc się Rudy.

W tej chwili Roy roześmiał się głośniej - obaj pękali ze śmiechu. Rudy jedną ręką zasłaniał usta, a z oczu leciały mu łzy. Dinah i Lindsay spojrzały na siebie znacząco, po czym Lindsay wysunęła rękę z uścisku Rudy'ego i sięgnęła po kieliszek.

- Proszę, dajcie spokój - powiedział Roy. - Nie zapominajcie, że kobiety mogą mieć wielokrotne orgazmy.

- Także miesiączki i o dwadzieścia trzy procent więcej tłuszczu.

- Oprócz tego możliwość niezwykłych przeżyć, towarzyszących rodzeniu - dodał Rudy. - A także dłuższy, później występujący czas najwyższej aktywności seksualnej.

- Pewnie, żeby wynagrodzić im okres przekwitania - odparła Lindsay, zaczesując włosy za ucho.

- A ile znasz kobiet, które miały wielokrotne orgazmy? - spytała Dinah Roya.

- Bez używania jakiegoś sztucznego urządzenia - dodała Lindsay z uśmiechem.

- Jasne - odparła Dinah, patrząc na nią z czułością swoimi błyszczącymi oczyma. - A Bóg zabrania korzystania z pomocy oralnej, bo głowa jest częścią ciała, która powstaje na samym początku.

Rudy zaczerwienił się i popatrzył na Dinah z dezaprobatą. Lindsay zaśmiała się cicho, jej oczy błyszczały od łez. Rudy po chwili przeniósł na nią swoje karcące spojrzenie. Spuściła głowę i śmiała się dalej bezgłośnie. Ramiona jej drżały. Roy nachylił się do Dinah.

- Cóż, przynajmniej nie musicie mieć zwodu - powiedział. - A jeśli nie możecie? Oczywiście, wy zawsze możecie, kiedy wam na tym nie zależy. Ale ostatecznie to my okazujemy się impotentami.

Dinah bezwiednie wpatrywała się w szklanekę, którą trzymała w ręku.

- O dwadzieścia trzy procent więcej tłuszczu - powiedziała śpiewnym głosem, kręcąc głową z przerażenia. - Wszystko po to, żeby płód miał ciepło - a nie wystarczyłby koc? Takie jest przynajmniej moje zdanie.

- Albo pożar - dodała Lindsay.

Przez dłuższą chwilę uśmiechały się do siebie szeroko, po czym oniemiałe odwróciły wzrok.

- A co powiecie na to, że my w wieku trzydziestu dziewięciu lat chorujemy na zawały? - zapytał Roy. - A tymczasem wy do ukończenia pięćdziesiątki macie spokój, bo chronią was estrogeny.

- Raczej prześladują - odparła Dinah i, nie mając już nic więcej do powiedzenia na ten temat, popatrzyła na leżące na kolanach dłonie - zwłaszcza na tę, na której nie było obrączki.

Zapadło milczenie. Rudy wpatrywał się przed siebie, Lindsay spoglądała na złożone przed sobą ręce, Roy patrzył na pustą butelkę, a Dinah - na moskita, który chodził po tej dłoni, na której nie było obrączki.

Roy westchnął i przeciągnął się.

- W zasadzie wszystko sprowadza się do maksy my me go ojca: „Mężczyźni uważają, że kobiety są szalone, a kobiety - że mężczyźni są dziećmi”.

- Takich powiedzeń są tysiące - odparła Dinah. -A co powiesz na „Mężczyźni nienawidzą kobiet za to, co robią, a kobiety nienawidzą mężczyzn za to, jacy są”?

Lindsay przysunęła się do Dinah.

- Albo „Kobiety nie czują tego, co wiedzą, a mężczyźni nie wiedzą tego, co czują”.

Roy przerwał jej i nachylił się do Dinah.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście - odparła niepewnym głosem.

- Zastanawiam się, jakie urządzenia umożliwiają wielokrotny orgazm? Chodzi o wibratory, tak?

Wszyscy czworo zatrzymali się na skrzyżowaniu. - Za chwilę mieli się pożegnać. Dinah uściśnęła chłodną i bladą dłoń Lindsay, w jakimś sensie miała nadzieję, że w ten sposób odda jej pałeczkę, którą niosła przez całe lata.

- Miło było cię poznać - powiedziała. Tą banalną formułą chciała przekazać jej coś więcej - dobrą wolę, dobre życzenie, spokój. Naprawdę - dodała, ściskając jej rękę mocniej, żeby to podkreślić.

- Mnie również - powiedziała Lindsay, kiwając swoją jasną główką. - Mnie również.

Dinah wzięła Roya pod ramię, drugą rękę podniosła na pożegnanie.

- Dobranoc - powiedział Roy.
- Dobranoc - zwrócił się Rudy do Dinah.

Uśmiechnęła się.

- Nie powtarzaj naszych błędów - dodała.
- Zaraz się rozpłaczę - powiedział Roy rzewnym głosem. - Będę płakać jak Nixon.

Lindsay i Rudy patrzyli jak tamci znikają za wzgórzem i wysadzaną drzewami aleją idą w stronę samochodu.

Dinah pożegnała się z Royem. Pożegnała się ze wszystkim, co zdarzyło się tamtego wieczoru. Wróciła do domu, do swojej kryjówki. Toni ucieszył się na jej widok jak nigdy. Wypuściła go na dwór i zaczęła szykować się do spania - rozkładała na części swoje „ja”, które z takim trudem próbowała zebrać w całość przez ten cały, nie kończący się dzień. Zanim jednak zgasiła światło, jeszcze raz wykręciła numer swojego ojca. Przez chwilę wsłuchiwała się w głuchoy szept. Odłożyła słuchawkę i poszła spać.

Hipopotamy mogą czasem zachowywać się wobec siebie bardzo dziwnie. Zdarza się, że ojciec może odgryźć głowę synowi, a syn swoimi olbrzymimi kłami rani śmiertelnie matkę. Dlatego właśnie samice, chcąc ułatwić sobie życie rodzinne, trzymają się razem i spotykają się z samcami jedynie w celu kopulacji.

10

Dinah śniła, że ma dziecko, ale nie wiedziała, kto jest jego ojcem. Być może był to jeden z dwóch mężczyzn. Jednak najdziwniejsze było to, że poród okazał się niezwykle łatwy. Przypomniała sobie, jak kiedyś zastanawiała się, dlaczego wszyscy robią wokół tego tyle hałasu. No i samo dziecko - było niesamowite. Bardzo szczęśliwe i bardzo czujne. Pomyślała sobie, jakie ma wielkie szczęście, mając tak cudowne maleństwo. Było wspaniałe, a ona nie musiała nic robić, żeby takie było.

Kiedy przyjrzała mu się z bliska, zauważyła na jego maleńkiej główce króciutkie, czarne, pokręcone włoski. Nie mogła sobie przypomnieć, jak to się stało, że jest kolorowe, ale nie stanowiło to dla niej żadnego problemu. Nakarmiła je piersią - było to zupełnie inne uczucie, niż to jakiego się spodziewała. Dziecko nie było bardzo głodne. Wydawało się, że jest zbyt zajęte rozglądaniem się dookoła, żeby jeść. Miała nadzieję, że Rudy nie będzie na nią za bardzo zły, bo to nie było jego dziecko. I miała jeszcze nadzieję, że wciąż będzie chciał mieć z nią jeszcze jedno. Właściwie liczyła na to, że w ogóle nie będą o tym rozmawiali - na temat tej niezwyklej istoty.

Potem śniło jej się, że jest na sali sądowej, gdzie ława przysięgłych właśnie ma ogłosić decyzję w sprawie niedawnego rozpadu jej związku z Rudym. Na stole przed sędzią stała czarna skrzynka ich miłości. Przysięgli patrzyli, jak sędzia ją otwiera, by przewinać taśmę z nagraniem rozmowy, jaką prowadzili niedługo przed ostatecznym zerwaniem. Dinah wyteżyła wzrok i słuch, próbowała powstrzymać

sędziego. Jednak on nacisnął „play” i obudziła się zlna potem. Do pokoju przenikały promienie słońca.

Z westchnieniem zwlokła się z łóżka. Jeśli coś cię nie zabija, to z pewnością cię umacnia. Czy to nie aforyzm Nietzschego? Nietzsche, który nienawidził kobiet i umarł na syfilis? Raczej - to, co nie zabija mężczyzn, to ich umacnia. A to, co nie zabija kobiet? - każe im przygotowywać dla mężczyzn śniadanie. Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki trzy jajka. Rozbiła je po kolei, wymieszała w misce i wylała na posmarowaną masłem patelnię. Dodała do tego trzy plasterki bekonu i postawiła patelnię na małym ogniu, po czym wyjęła z lodówki puszkę dietetycznej coca-coli i otworzyła ją. Zawołała Toniego, który leniwym krokiem wyszedł z sypialni i skierował się w stronę otwartych drzwi. Nagle ruszył przed siebie, wymachując radośnie ogonem, prosto pod nogi Rudy'ego Gendlera, który stał na ścieżce tuż przed domkiem. Wyglądał jak ktoś, kto przysłuchuje się muzyce, płynącej z drugiego pokoju - cichej i pięknej.

- Mogę wejść? - zapytał.

Dinah przeczesła ręką rozczochrane włosy i bez przekonania wygładziła pomietą koszulę nocną.

- Jasne - powiedziała cicho. - Właśnie próbowałam o tobie zapomnieć, ale wchodź.

Przytrzymała drzwi. Otarł się o nią i wszedł do środka. Toni wbiegł za nim z radością.

- Robię śniadanie - powiedziała. - Zjesz?

- Pewnie, z przyjemnością. Ty gotujesz?

- Czasami - odparła, przekładając jajka z patelni na talerz.

Postawiła je przed Rudym, który usiadł przy stole. Przekręciła plasterki bekonu na drugą stronę, podeszła do lodówki, żeby wyjąć jajka dla siebie i nalała Rudy'emu szklanekę soku. Wymieszała kolejne trzy jajka i usmażyła je. Osuszyła bekon z tłuszczu i położyła plasterki na jego talerzu, przy którym stał sok. Rudy patrzył przed siebie życzliwym wzrokiem. Zaczął wolno jeść, nie przestając przyglądać się krzątającej się po kuchni Dinah. Delikatnie, jak zahipnotyzowana, wymieszała jajka na patelni.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

- Siostra mi powiedziała - odparł z pełnymi ustami.
- No tak.

Mówili chłodno, bez emocji, jakby cały ich problem był zabal-samowany i nie krążyła w nim krew.

- Może gdybym wcześniej gotowała, wciąż bylibyśmy razem - ciągnęła Dinah, nakładając sobie jajka. Sprawiała wrażenie, że mówi o jakiejś innej, ledwie jej znanej parze.

Rudy przełknął i westchnął.

- To nie chodzi o gotowanie, Di... zaczął. - Chodzi o to, że ona jest absolutnie przekonana o tym, że mnie chce. Jest tego pewna. Ty nigdy nie byłaś. Owszem, kochałaś mnie, ale nigdy nie wiedziałaś czy chcesz być ze mną, czy nie. A ona pragnie, pragnie żebyśmy byli razem bardziej niż... czegokolwiek na świecie. To nie znaczy, że ze wszystkiego innego rezygnuje, po prostu właśnie tego chce najbardziej. I to jest wspaniałe. Ty mi towarzyszyłaś, ale nie zostałąbyś ze mną.

Dinah patrzyła na swoją prawą rękę.

- Złamał mi się paznokieć - powiedziała cicho, podnosząc palec do góry, żeby mógł zobaczyć. - Widzisz, do żywego mięsa.

Rudy unióśł dłoń, chcąc ją uciszyć.

- Pozwól mi dokończyć. Może ona nie jest takim partnerem, jakim ty byłaś, ale jest przy mnie. Nie miałem już siły czekać na ciebie. Chcę mieć prawdziwy dom. A ona jest gotowa dać mi to, czego chcę. Ty mnie kochasz, ale to nie zapewnia mi spokoju. Tobie również. A ja muszę być spokojny. Przez ten ostatni czas, kiedy byliśmy razem, nie byłem w stanie pracować. Było tyle zamieszania, że nie mogłem pisać, a to doprowadzało mnie do szaleństwa - i zawsze doprowadzałoby mnie do szaleństwa. W moim świecie to jest niemożliwe - przerwał nagle i odechnął.

Dinah postawiła na stole talerz z jajkami i bekonem. Usiadła, spojrzała na niego przelotnie. W zamyśleniu popijała swoją dietetyczną colę. Rudy wodził oczami po krawędzi swojego talerza. Gdzieś w oddali słychać było klakson. Toni przyglądał się Rudy'emu z wyraźnym smutkiem, mając nadzieję, że dostanie coś za swoje cierpliwie, pełne poświęcenia oczekiwanie, ale Rudy go zignorował. Przyszedł tu po to, by dostać rozgrzeszenie. I jeszcze odrobinę współczucia. Pewny siebie, jakby był zupełnie w porządku i umiał

przewidzieć przyszłość. Popatrzył na Dinah pozbawionym uczuć wzrokiem, zachowując je na potem, i chrząknął.

- Muszę dbać o swój prestiż - powiedział z namysłem, nagle zauważając psa. - Może ta moja nowa sztuka okaże się wielkim sukcesem, a to ugruntuje moją pozycję. Nie będę już pod taką presją.

Oderwał kawałek bekonu i dał psu, który złapał mięso łapczywie i z wdzięcznością. Rudy cofnął rękę z obawą. Dinah obserwowała całą scenę, jakby chciała ją nagrać sobie na potem, gdy zostanie sama - opanowana i samotna.

- Jak bardzo możesz jeszcze podnieść swój prestiż?

Rudy westchnął.

- Nie wiem. Może to tylko gra, w którą gram sam ze sobą, żeby nie przestawać pisać. Ale właśnie w tym sęk. Muszę mieć przed sobą jakiś cel.

Popatrzył na nią niemal proszącym wzrokiem.

- Muszę coś zrobić, bo inaczej co ze sobą zrobię?

Uśmiechnęła się smutno i spojrzała przez okno. Żałowała, że nie umie zareagować obojętnie na ten nieunikniony koniec. Właśnie na koniec tego, a nie żadnego innego związku.

- Mieliśmy tyle dowodów na to, że nie powinniśmy być razem - powiedziała wzruszając ramionami. - Staralam się znaleźć jakieś argumenty, że jednak powinno być odwrotnie. Wiesz, jak to się mówi „Nie taki diabeł straszny?”. Wiesz, jeśli nie możesz mieszkać z kimś i nie możesz mieszkać bez tego kogoś, to po prostu bądź w pobliżu.

- Dinah, ja nie mam zamiaru angażować się w żadną znajomość aż do tego stopnia. Nie zamierzam zachowywać się jak hazardzista. Wyrzucam sobie, że byłem taki głupi. Zobacz -jesteśmy razem i nie jesteśmy razem, dochodzimy do pewnych wniosków, po czym cała sprawa zaczyna się od początku. Przecież nigdy tak naprawdę nie lubiłaś być ze mną -mówiłaś, że byłem taki... krytyczny.

Dinah poruszyła się i założyła nogę na nogę.

- Przy tobie nigdy nie czułam się wystarczająco dobra. Jakbym wszystko zawsze psuła. Albo byłeś zły na mnie, albo - nie byłeś. Nigdy nie można było cię uszczęśliwić. Albo była kara, albo jej nie było. Nagrodą był brak kary. Wiesz co - nawet psy są lepiej szkolone. Jeśli nie dostawałeś tego, czego chciałeś, to zachowywałeś się tak, jakbyś nie dostawał zupełnie nic.

Rudy odsunął resztę jajek na brzeg talerza i chrząknął.

- Więc po co, Dinah, pojawiaasz się znowu? Jeśli jestem aż taki zły, to dlaczego nie jesteś teraz gdziekolwiek indziej, gdzie mogłabyś nareszcie poczuć ulgę?

Dinah roześmiała się.

- Nie należę do tych, którzy czują ulgę. Poza tym zdaje się, że - wzruszyła ramionami - kocham cię.

- Cóż - westchnął - ja też cię kocham, ale...

Dinah przerwała mu.

- Znaczy, że jestem tą osobą, której pragniesz, ale nie umiem dać ci tego, czego potrzebujesz, więc?

Tym razem on jej przerwał:

- Nie możemy być razem.

- Wiem - powiedziała z ustami pełnymi jajek. - To, że tu jestem nie jest rozsądne. I to, że cię kocham, też nie...

Rudy wtrącił się:

- Twój paradoks polega na tym, że stanowisz centrum uwagi, które jest przyciągane do osób, które także stanowią centrum uwagi.

Dinah zaśmiała się.

- Przecież to masło maślane.

- Kochanie, przecież ciebie tak naprawdę w ogóle nie interesują sprawy domowe. Więc jeśli chodzi o dom, to nie ma nic, co moglibyśmy dzielić.

Napiła się trochę wody sodowej.

- Myślę, że łatwiej jest udomowić intelektualistę niż odwrotnie.

Rudy pokiwał niewyraźnie głową.

- Tak, chociaż z drugiej strony to mogłoby być interesujące. No wiesz - pomaganie komuś w jego edukacji, udzielanie mu wskazówek, obserwowanie, jakie robi postępy, nadawanie kształtu jego myślom...

- Mówisz o posłaniu kogoś na Uniwersytet Bycia Dziewczyzną? - spytała. - Ale nawet jeśli tak zrobisz, to ten ktoś będzie się uczył tylko po to, by tobie sprawić przyjemność. A nie z powodu jakiegoś... instynktu czy własnej pasji. To nie jest naturalny bodziec. I wcale nie chodzi mi o Lindsay. Podobała mi się. Wyglądała na inteligentną.

- Ona jest inteligentna. Jest skryta i bardzo dobra. Zrozum, nie poradzę na to, że chcę właśnie tego o czym mówię. Inni ludzie

mają to bez problemu. I nie chcę czuć się winny. Nie chcę być krytyczny. Chcę kogoś, kto będzie tworzył razem ze mną zespół i wiem, że udział w tym zespole nie jest łatwy. Często nie mogę wprost znieść brzmienia mojego głosu. Powtarzam wtedy sobie; „Wytrzymaj, wytrzymaj, powiedz, co naprawdę myślisz”, ponieważ przeważnie nie mówię tego, co myślę.

Patrzyła na niego spokojnie - w prawym ręku trzymała puszkę coli, a paznokciami lewej zdierała skórę ze zranionego kciuka. Uśmiechnęła się.

- To zabawne - powiedziała cicho. - Boisz się wyglądać głupio. Ja też boję się wyglądać głupio.

Rudy zmarszczył brwi, kąciki jego ust lekko opadły do dołu, wyrażając tym samym niechętną zgodę.

- Myślę, że tak właśnie jest.

- Tak też myślałam - odparła z lekkim uśmiechem, - Jesteś taki cyniczny.

Przechylił głowę i uśmiechnął się.

- Aż tak cyniczny nie jestem. Jest we mnie tyle cynizmu, ile powinien mieć człowiek w moim wieku i z moim doświadczeniem - powiedział i nachylił się do przodu, trzymając ręce oparte na stole. - Dinah, twoje życie jest bogatsze niż moje i bałem się, że nim zawładniesz. Ja w pewnym sensie chcę, żeby ktoś mną zawładnął, ale... w odpowiedni sposób. Każda sytuacja wymaga kompromisów - myślisz, że ja o tym nie wiem? Zaczynam teraz spostrzegać, jakich kompromisów będzie wymagała znajomość z Lindsay i nie wiem, czy będę w stanie... Westchnął- Boże, małżeństwo. Te wszystkie złudzenia, jakie ludzie kładą na tacy w kościele. To jest tak trudne i skomplikowane, że te proste formuły „I ślubuję ci... dopóki... że nigdy... nie opuszczę cię, aż do...” - Stają się niemożliwe do powiedzenia. Chce mi się krzyzczyć „Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Kto wie, jak będzie potem?” To tak, jakby te, które są miłe, były nudne, a te, które są mądre - były trudne. Wychodzi na to, że z żadną z was nie jest łatwo.

Dinah połknęła naraz wszystko, co miała w ustach. Jajka i bekon stanęły jej w gardle. Zrobiła się czerwona i zaczęła się krztusić. Zakryła ręką usta i podniosła się. Rudy wpatrywał się w swój talerz.

- Słuchaj, to wcale nie jest śmieszne - powiedział. Spojrzał na nią i zrozumiał, że ona bynajmniej się nie śmieje. - Co ci jest? - spytał z lekkim niepokojem. - Wszystko w porządku?

Dinah podeszła do zlewu i próbowała złapać oddech. Nie mogła. Oczy zaszczyły jej łzami, wpadła w panikę. Odwróciła się do Rudy'ego, nie mogła ani mówić, ani oddychać.

- Boże - powiedział. - Chodź tutaj.

Dinah była już purpurowa, z całych sił próbowała przypomnieć sobie, co należy robić w przypadku zadławienia. Nic z tego. Rudy stanął za nią i uderzył ją w plecy. Nic. Dinah za wszelką cenę usiłowała nabrać powietrza. Bezskutecznie. Rudy objął ją rękami od tyłu i mocno uderzył pomiędzy żebra. Raz, drugi, trzeci i połknięte jedzenie wyleciało na zewnątrz. Stała, z trudem łapiąc oddech, Rudy wciąż ją obejmował.

- Oddychaj - powiedział łagodnie. - Oddychaj.

Dinah powoli osunęła się na podłogę i spuściła głowę. Serce waliło jej mocno, głowa ją bolała. Rudy klęknął przy niej. Objęła go i położyła głowę na jego ramieniu. Siedzieli na kuchennej podłodze, w ciszy, przytuleni do siebie.

- Twój czarny łabędź z piekła wciąż żyje - odezwała się w końcu.

- Na świecie jest więcej niż jedna osoba dla każdego, bądź pewna - wyszeptał do niej po chwili.

Oczy ją piekły, gardło miała suche i podrażnione.

- Nie wierzę w to. Chciałabym wierzyć, ale nie mogę - westchnęła. - Wierzę, że... wierzę, że miłość przychodzi rzadko... i kiedy ją znajdziesz, ona...

- Nie byłabyś szczęśliwa w Nowym Jorku. Skończyłoby się na tym, że i tak wróciłabyś do Los Angeles.

- Kto ty jesteś - jasnowidz? Powinieneś grać na giełdzie. Skąd niby to wiesz?

- To właśnie obserwuję.

- Obserwujesz to, czy boisz się tego?

- Możliwe, że to i to. W każdym związku powinno być przyjemnie.

- No jasne, zwłaszcza tobie.

- W porządku, Di - nie chodzi o przyjemność. To jest bardziej produkt uboczny, ale... przerwał na chwilę, chrząknął i mówił

dalej. - Sama wiesz, wcześniej nam nie wyszło, a mój psycho-
terapeuta mówi, że ludzie się nie zmieniają - nie diametralnie.

- Więc po co do niego chodzisz?

Rudy pokręcił głową.

- Trochę można się zmienić - odchrząknął i kontynuował. -
Myślę, że mówisz mi to, czego w dzieciństwie nie mogłaś powiedzieć
swoim rodzicom. Wyrażasz sprzeciw, którego nigdy wtedy nie
mogłaś, albo nie umiałaś wyrazić - westchnął. - Wiesz, Dinah,
czasami nie chcę, żeby mnie rozumiano. Po prostu chcę być... z kimś.
To, że ktoś mnie rozumie, może stać się chwilami bardzo... natrętne.

- W takim razie czego ty chcesz? Chcesz, żeby cię podziwiano
i obsługiwano i żebyś mógł się przeistoczyć w jakąś inną, nową
osobę?

Rudy popatrzył na nią i odgarnął jej włosy z czoła. Dotknął jej
policzka. Przyglądała mu się w ciszy. Nachylił się do niej, próbując
ją pocałować. Odepchnęła go. Siedzieli, wpatrując się w siebie. Rudy
przysunął ją do siebie z powrotem.

- Więc po co mnie znowu nachodzisz, jeśli mnie nie chcesz? -
zapytał.

Dinah poczuła płomień na twarzy. Pomięta koszula nocna
przykleiła się do jej spoconych pleców. Tym razem odepchnęła go
mocniej, z pasją, jakby walczyła o swoje życie.

- Ja? - wykrzyknęła. - Ja ciebie nachodzę?

Oddychali z trudem, Rudy jeszcze raz przyciągnął ją do siebie,
tym razem delikatniej- w końcu jednak była kobietą. Dinah
niemalże oparła się o niego, oplatając rękami jego szyję.

- Ty to wszystko zacząłeś! - mówiła dalej. - Ty przyjechałeś do
Los Angeles i przespałeś się ze mną!

Rudy chwycił ją za rękę, jego opalona twarz nagle pobladła,
w jego oczach błysnęła wściekłość. Bez trudu uwolnił się z jej
uścisku. Dinah usiadła na podłodze z koszulą podciągniętą do
kolan.

- Jestem ci potrzebna tylko do...

- Ja nie chcę...

Dinah opuściła koszulę.

- Czeakać na mnie - dokończyła za niego. - Całe życie czekałam
na ciebie, spałam z tobą, a ty tymczasem...

Rudy machnął ręką i zaczął się podnosić.

- Rób, co chcesz! Chryste, nie jesteś naprawdę warta...

Nie dokończył jednak swojej myśli, ponieważ Dinah rzuciła się na niego i przewróciła go na podłogę. Próbowwała usiąść na jego piersi. Koszula podciągnęła się jej do samych pleców. Rudy z trudem zepchnął ją z siebie. Słaba i zdyszana przewróciła się na bok. Toni podbiegł do nich, machając wesoło ogonem, próbując przyłączyć się do zabawy. Rudy przytrzymał Dinah, czerwoną i wściekłą, na odległość ramienia i nie pozwalał jej się zbliżyć. Kiedy się upewnił, że Dinah nie zdoła go zaatakować, puścił ją i próbował wstać.

- Tyegoistyczny... - krzyczała w furii.

Rudy podniósł się. Starł się uspokoić.

- Ja już dłużej tak nie mogę - powiedział bardziej do siebie, niż do niej. Nagle poczuł ulgę.

- Nieugięty... - wyszeptła pod nosem, usiadła, przyciągnęła do siebie kolana i obciągnęła koszulę.

Cofnęła się do tyłu, aż poczuła za plecami ścianę. Oddychała ciężko, obserwowała go spod przymkniętych powiek.

- Po prostu przestańmy - powiedział Rudy.

* - Nie ma sprawy - odparła z pewnym wysiłkiem, ścisnęła ją w gardle.

- A co, gdybym się zmienił i nie byłbym już dłużej ani nieugięty, ani niezadowolony, ani arogancki - gdybym nie miał żadnych z tych cech, jakie mi przypisujesz - to kto mówi, że jeszcze byś mnie chciała? Powiedzmy, że rozbiłem samochód i doznałem szoku, to zaś spowodowało, że stałem się kimś innym.

- Może i co z tego? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że... może po prostu narzekanie i biadolenie sprawia ci przyjemność.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w jego słowa. Czuła się tak, jakby znowu - niczym duch - nawiedzała ten sam dom. Spojrzała na swoją prawą dłoń.

- Paznokciec mi się złamał - zauważyła. - Już po nim.

Rudy zatrzymał się w drzwiach. Spojrzała na niego. Zatrzymała wzrok na jego kochanej twarzy, której pewnie już nie zobaczy.

- Więc to koniec. Żadnych kontaktów - powiedziała.

Powoli ruszył do wyjścia. Zawahał się w drzwiach.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy ze sobą rozmawiać... czasami - odparł cicho, nie patrząc na nią.

Oparła brodę na kolanach i popatrzyła na niego z taką obojętnością, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć. Toni usiadł pomiędzy nimi, patrząc ze smutkiem raz na jedno, raz na drugie. Rudy podrapał się po brodzie i westchnął.

- Ale zdaje się, że nie można mieć wszystkiego naraz.

- Nie można - odparła Dinah, zamykając oczy i chowając głowę między kolana, żeby nie widzieć, jak Rudy otwiera drzwi odwraca się i wychodzi.

Chrząknął ostatni raz i powiedział:

- Wiesz, gdybyś wtedy przyjechała do Nowego Jorku - prawdopodobnie wciąż bylibyśmy razem.

Kiedy skończył, drzwi zatrzasnęły się za nim, szczotką do zamiatania potraściły radio, które samo się włączyło. Leciąca piosenka:

Przez ciebie porzuciłem dom,
zabrałaś moją miłość i odeszłaś,
bo zakochałem się w tobie.
Miłość przynosi cierpienie i ból.
Wiem, że nigdy nie będę już taki sam,
Bo zakochałem się w tobie.
To jest smutne i złe,
ale wciąż cię kocham.
Kochasz, a potem odchodzisz.
Co więc mam robić?
I tak wciąż cię kocham.
Pewnie nigdy nie ujrzę światła,
prawie w każdą noc
przychodzi smutek.
Bo zakochałem się w tobie,
bo zakochałem się w tobie.

Dinah westchnęła.

- Żegnaj - szepnęła. - Dzięki za uratowanie mi życia.

Toni podszedł do niej. Merdał ogonem i próbował wczołgać się jej na kolana i polizać po twarzy. Pogłaskała go mimowolnie. Czowała, że jej ręce ważą tony, jakby ktoś nadmuchał je zimnym powietrzem. Ogarnął ją niepokój. Złączyła dłonie, w efekcie załamując je. Ręce jej opadły, niby bohaterce we francuskiej powieści, lecz jako bohaterka powieści amerykańskiej - siedziała z psem na kolanach, z załamany-
mi rękami i słuchała smutnej, pełnej ironii piosenki.

- Żegnaj - powtórzyła z oczami ukrytymi w białobrazowej sierści Toniego.

Była przerażona i zdruzgotana. Przycisnęła psa i szlochała tuląc go do siebie. Toni polizał ją po twarzy. Zaczęła jeszcze bardziej płakać, gdy pomyślała, że on wyczuł jej ból i próbuje ją pocieszyć. Odsunął się do tyłu, chciał przekręcić się na plecy, żeby Dinah mogła go podrapać po brzuchu. A ona wciąż płakała.

- Wszystko ma swoją cenę - powiedziała.

Podniosła się z trudem i podeszła do radia. Wyłączyła je i powłócząc nogami poszła do sypialni. Położyła się do łóżka i nakryła głowę kołdrą.

Bała się, ale była zupełnie spokojna. Miała zbyt wiele wad. Nie umiała znaleźć w sobie nic, co pozostałoby nietknięte, niezranione, tylko jej własne. Była przestraszona, ale dotarła do przytulnego miejsca - wtulona w swój lęk. Ukryta za kurtyną słów, przyczajona gdzieś pomiędzy zaimkiem i przyimkiem.

Była typem osoby, która lubi wyjaśniać sprawy i dlatego ciągle wypatruje sytuacji konfliktowych. Teraz znalazła się w piekle, które dla niej było niebem. To była walka, w której się zwycięża, albo ostatecznie przegrywa. Gówniany świat. Jej słabość stawała się w rezultacie częścią jej siły. Jej siła była w pewnym sensie wynikiem jej słabości. Wszystko jedno. To, że go kochała, sprawiło, że ją odepchnął. Dlatego nie mogła zgodzić się na to, by chodzić za nim jak cień.

Zebrała wszystkie siły, by wyrzucić z siebie cały ból, jednak bezskutecznie. Co się z nią stało? Zagubiona, płacząca nad sobą... Nie. Nie chciała być kimś takim. Chciała być beztroską i pełną życia dziewczyną. Tak, właśnie tego chciała.

Spuściła głowę - to właśnie było miejsce, w którym krył się jej strach. Położyła się w ciemności. Nie mogła zasnąć. Czuła, że pali ją prześcieradło. Chciała odpocząć, jednak bez przerwy analizowała w myślach to, co się zdarzyło. „Co takiego mogłam zrobić? Co teraz mogę zrobić dobrego? Mężczyzna niczym parasol ochronny? To niesprawiedliwe”.

Leżała teraz w ciemnym pokoju - jak w ciemnym lesie, daleko od domu, gdzieś zgubiona, w miejscu, w którym ma zdecydować, jak pozwolić mu odejść. Jak znaleźć w sobie to, czego szukała w nim. Kurczowo trzymała się deski na rozszalałym morzu. Pomyślała, że

tą deską jest Rudy, a tym rozszalały morzem - ona. Pragnęła usłyszeć jakiś ciepły głos, który jak słońce rozjaśniłby jej świat.

Szukała kolejnej myśli, którą mogłaby rzucić w ogień płonący w jej umyśle. Przekreśliła się i podniosła słuchawkę, by jeszcze raz wykręcić numer ojca. Wsłuchiwała się w głuchy, hipnotyczny sygnał.

Miała już odłożyć słuchawkę, kiedy odezwał się głos. Żalostny głos ojca.

- Tata? - spytała Dinah. To było jak płynąca z otchłani jej umysłu mantra. - Tato, to ja.

- Witaj, kochanie, dawno cię nie słyszałem - powiedział jakby lekko zaspanym głosem.

- Obudziłam cię? - spytała. Skuliła się, położyła głowę na kolanach. Słuchawkę trzymała w wyciągniętej ręce jak obronną tarczę,

- Nie, nie, leżałem tylko. Co słychać?

- Tato, czy uważasz, że żona powinna umieć gotować?

Roześmiał się.

- Rany, kochanie, nie wiem. Myślę, że to miło, kiedy umie, ale nie jest aż tak bardzo istotne. To znaczy, twoja matka z pewnością nie umiała gotować. Zresztą, żadna z moich żon nie umiała.

- Tak, ale z żadną z nich nie jesteś już żonaty.

- Masz rację - powiedział wesoło. - Ale nie dlatego, że nie umiały gotować.

- Więc dlaczego?

Westchnął.

- Chyba jestem romantykiem. Wiem, że to dziecinne. Jestem jednym z tych niemądrych facetów, ale... jeśli kogoś kochasz i on kocha ciebie - to wystarczy. Zdaje się, że ja wciąż szukam tego, czego zawsze szukałem - namiętności. Wiem, że to brak realizmu, ale kiedyś wiedziałem, co to jest wielka namiętność i wydaje mi się, że zawsze będę jej szukał. Ale wiesz, namiętność jest czymś, co trwa krótko. W moim przypadku -jakieś trzy lata. Jednym z dzisiejszych problemów jest to, że ludzie muszą być ze sobą dłużej, bo żyje się dłużej - zapadła krótka cisza, podczas której Dinah siedziała porażona w swoich myślach, w swoim szaleństwie, chłonąc głos ojca, który słyszała tak rzadko. -

W końcu odezwał się ponownie.

- Dlaczego pytasz, kochanie - czy ktoś próbował zmusić cię do gotowania?

Roześmiała się i zamknęła oczy.

- Nie, tato, niezupełnie. Ja po prostu... - przerwała nagle.

- Posłuchaj Dinah, niektórzy są po to, by się z nimi żenić, a niektórzy - by ich kochać.

Wyprostowała się.

- Co masz na myśli?

Ojciec roześmiał się, zaskoczony.

- To, że może jesteś taka, jak ja. Zawsze przyciągały mnie kobiety, które mnie nie chciały. Ich obojętność... pociągała mnie. Nie wiem, zdaje mi się teraz, że moje starania były zawsze mylnie odbierane. Nie interesowały mnie kobiety, które interesowały się mną. To mnie nudziło. A dzisiaj, gdy jestem stary, wiem, że lepiej byłyby się nudzić niż dać się zabić.

Dinah przechyliła na bok głowę, próbując to zrozumieć. Drugą ręką bezwiednie pogłaskała Toniego, który spał u jej boku. Ojciec ciągnął dalej:

- Dlatego po czterech małżeństwach, kiedy już jest prawdopodobnie za późno na zmiany, wydaje mi się, że może niektórzy powinni wybierać sobie partnerów kierując się raczej rozsądkiem niż uczuciami. Że ten dreszcz, który czujemy poznając kogoś, to wcale nie jest miłość, lecz jakiś... nerwowy przeblysk, który jest ostrzeżeniem. Ja nigdy nie słuchałem ostrzeżeń. Ale ty tak nie rób. Rób to, co teraz mówię. Idź tam, gdzie cię chcą. Może w każdym związku powinno chodzić o bezpieczeństwo... no właśnie... zamiast tych wszystkich innych rzeczy. Ponieważ wszystko inne i tak w końcu umiera, a wtedy - co zostaje? Popatrz na mnie - jestem zupełnie sam. Jednak mojej pogoni za namiętnością nie zamieniłbym na nic innego. Ale ty jesteś jeszcze młoda, umiesz myśleć. Wybierz kogoś, kto też to potrafi. Chciałbym zobaczyć cię z mężczyzną, z którym wyglądałabyś na szczęśliwą.

- Ja też bym chciała, tato - powiedziała cicho. - Tato?

- Tak, córeczko?

- Chciałbyś być kobietą?

Ojciec odparł, tłumiąc ziewanie:

- Czy chciałbym być kobietą? Nie, myślę, że trudniej jest być kobietą. Ja i tak jestem wystarczająco skomplikowany. Jak to niektórzy mówią: „Mężczyźni są niewolnikami swojej płci, a kobiety - swoich mężczyzn”.

- Kto tak mówi?

- Nie pamiętam, chyba mój przyjaciel Sydney z Palm Springs - westchnął. - Cztery małżeństwa, nieprawdopodobne, co? Wiesz, czasami wydaje mi się, że to był sposób na przedłużenie młodości. Patrzysz na postarzałą twarz żony i myślisz „Jestem stary”, ale kiedy patrzysz na młodą twarz swojej kolejnej żony, myślisz „Jestem młody!” Może po prostu chcesz pożyczyć trochę młodości. Czasami czułem się trochę jak wampir. Uwielbiałem sam początek każdego związku. To był prawdziwy festiwal nowości. Nowa sytuacja, w której aż roi się od możliwości, a dopiero potem... Potem okazuje się, jak jest naprawdę - roześmiał się. - Trudno mi mówić, bo nie włożyłem dolnej sztucznej szczęki.

Dinah uśmiechnęła się i mocno zwarła kolana. Poczuła, że kocha ojca jeszcze mocniej, kochała go, by móc doznać miłości, by ktoś ją pokochał, by zmniejszyć dystans pomiędzy nią a... czym? Wszystkim. Pomiedzy wszystkim tym, co było na wyciągnięcie ręki, śmiechem innych, który dochodził do niej zza drzwi.

- Wszystko w porządku, kochanie? - ciągnął dalej.

- Tak, tato. Ja tylko... czekam, żeby pociągnąć za mocniejszą strunę. Wiesz, jeśli nie toczę jakiejś walki, to wydaje mi się, że nic wokół mnie się nie dzieje.

Ojciec roześmiał się.

- Cóż, kochanie, jedyna rada, jaką mogę ci dać, to żebyś nie próbowała szukać w tym wszystkim ostatecznych rozwiązań. Z tego, co obserwuję, one ciągle ulegają zmianom. Jedno mogę ci obiecać - jeśli znajdę to jedyne, najwłaściwsze rozwiązanie, podzielę się tym z tobą.

Dinah uśmiechnęła się. Zgasiła światło i weszła pod kołdrę.

- To wspaniale, tato.

- Dobrze, kochanie, idę spać.

- Ja też, tato. Dobranoc.

- Kocham cię, córeczko.

- Ja ciebie też, tatusiu.

Kiedy skończyła rozmawiać, zrobiła to, co każda rozsądna osoba o złamanym sercu powinna zrobić - włączyła telewizor. Leciął program o ludziach z odrażającymi zniekształceniami twarzy. Prowadzący program powiedział:

- Gdyby każdy położył teraz na środku stołu swoje problemy, to jestem pewien, że nikt nie zamieniłby swoich na żadne inne.

„Racja” - pomyślała Dinah. Racja. Złamanego serca nie da się porównać z czymś takim, co tutaj pokazują. O czym oni teraz mówili? Że dzieci z takimi zeszpeceniami często są wrażliwymi, utalentowanymi osobami. Tak... „Chcę, żeby ludzie nie patrzyli tylko na to, jak wyglądam, ale zauważali, że jestem dobrym człowiekiem.” Dobrze, w porządku. Życie czasem obdarowuje ludzi w ten sposób, że coś im zabiera. Kaleka może poruszać się sprężystym krokiem. Przełączyła na inny kanał. Podawali wiadomości. Chorzy na AIDS szturmowali siedzibę rządu w proteście przeciwko trudnościom w zdobyciu niezbędnych lekarstw - chyba że ktoś był bogaty lub umierający. Połóżcie wszystkie swoje problemy na środku stołu.

Postanowiła pozbierać się i zacząć nowe życie. Była przecież zdrowa, miała pracę, samochód, dom, psa, normalną twarz. Co by zrobiła, gdyby miała naprawdę poważny problem? Pomyślała, że z czymś poważnym umiałaby sobie lepiej poradzić. Stałaby na wysokości zadania - trudniejszego zadania. Ogromne oczekiwania, słaby wynik. Natychmiast.

- Ścigamy się, kto pierwszy dotrze do końca mojej rozpacz - powiedziała do Toniego.

Radośnie pomałał ogonem. Dinah podrapała jego włochatą głowę.

- Wygrałeś.

Czuła się jak pozbawiona drugiej połowy istota, której ewentualnym partnerem było jakieś rzadkie, kruche stworzenie, żyjące gdzieś daleko w Chinach lub na obrzeżach Mongolii i które z pewnością umrze zanim do niej dotrze.

Przełączyła na jeszcze inny kanał. Laurence Olivier stał nad umierającą Merle Oberon w sypialni domu w Yorkshire.

„Cathy, kochałaś mnie! Jakim prawem odrzuciłaś miłość dla tego żałosnego uczucia, jakim darzyłaś Lintona? Ponieważ ani cierpienie, ani poniżenie, ani śmierć - nic, co Bóg lub diabeł mógł zesłać na nas - nie mogłoby nas rozdzielić. A ty zrobiłaś to z własnej woli.”

Dinah jęknęła i zmieniła kanał.

- Tak jest chyba ze mną - powiedziała z przekonaniem do Toniego, który przyczołgał się do niej. Merdał ogonem i lizał ją po twarzy.

Rose siedzi w samochodzie na przednim siedzeniu i przez okno patrzy na Blaine'a, stojącego w zacinającym śniegu. Jak zahipnotyzowani patrzą na siebie przez sztuczne białe płatki, które spadają na kurtkę Blaine'a, ale wcale się nie topią. Rose na kawałku papieru pisze swój numer telefonu i podaje karteczkę stojącemu na śniegu mężczyźnie. On chowa ją do kieszeni i mówi: „Jesteś niezwykłą dziewczyną”. Nachyla się i przez szybę całuje ją w usta. Jego jasne włosy pokrywa papierowy śnieg. „W jakim sensie?” - pyta Rose, spuszczać powieki. „W najlepszym” - odpowiada. Na jego ustach pojawia się pełen zdziwienia uśmiech, po czym Blaine z rękami w kieszeniach odchodzi w wirującą zamieć. Rose patrzy w jego stronę, najej uroczej, smutnej twarzy pojawia się rozmarzony uśmiech. Kamera najężdża na nią, obraz znika i zaczyna się reklama kosmetyków Oil of Olay.

Dinah sięgnęła po torbę, wyjęła z niej długopis i rozpoczęła poszukiwania papieru. Nic jednak nie znalazła, zaczęła więc pisać na szarej, dużej kopercie.

„Mój umysł przejeżdża jak samochód po drodze twoich słów. Słyszę je wokół siebie, słyszę warkot silnika - jak pracuje na przyspieszonych obrotach. Jadę w kierunku następnej chwili, czuję podmuchy łagodnego wiatru. Dachem mojego samochodu jest czaszka, przednią szybą - oczy, kierownicą - usta. Kręcę się po autostradzie, raz po raz wpadam w poślizg.

Mój umysł jest moim towarzyszem. Cały czas miałam nadzieję, że ktoś, tak jak w sztafecie, zmieni mnie i przejmie moje delikatne zadanie. Mój samochód-umysł warczy cicho, grzeje silnik i przejeżdża prosto po mojej dłoni. Zapadam się w tobie, próbuję wczłogać się w twoje zakamarki.

Moje szaleństwo jak słodki krem rozpuszcza się w moich ustach. Leży w mojej głowie jak na dłoni - tu, gdzie on mnie kocha. Uderza o sufit mojego umysłu, rozbija się o jego ściany. Ktoś mnie przelicytował, gdy próbowałam kupić nieśmiertelność. On jest gdzieś tam, poza mną, w świecie żywych. Pomóż mi ogarnąć wzrokiem to wszystko.

Mój silnik pracuje na bardzo wolnych obrotach. Czekam, pogrążona w ciemności, próbując ją nazwać. Płyn na falach mózgu, pocuj je pod sobą.

Nie umiem dopasować się do miłości. Jest jak za duże ubranie. Przypomina atak epilepsji. Kocham cię. Tam na zewnątrz jest coś, co niszczy bat jego szaleństwa, zacina mnie pasem do żywego, ujeżdża mnie aż do świtu jak bestię.

Jestem tą, której pragniesz, ale jestem napiętnowana - coś czego nie znam wgryza się w moją osobowość. Myślałam, że kochałam cię takim, jakim byłeś.

Zabawnie byłoby rozwinąć kłębek świata - pozwolić mu toczyć się w dół po schodkach historii."

- Halo! - zawołał głos z zewnątrz.

Głos Roya. Ciepłe słońce weszło w jej zimnym świecie. Dinah wyprostowała się i odłożyła długopis.

- Roy? - zawołała z obawą.

- Tak jest - odparł. - Zostało trochę sufletu?

Dinah uśmiechnęła się, ściągnęła nogi z łóżka, wstała i podrepatała do drzwi. Otworzyła je - w blasku słońca, z gazetą w dłoni, stał uśmiechnięty Roy. Popatrzyła na niego z radością.

- Wyglądasz jak bohater - powiedziała.

- Czyj bohater? - spytał podejrzliwie.

- Mój.

Przyjrzał się jej z bliska.

- Dobrze się czujesz?

Wzruszyła ramionami i poszła do kuchni. Roy podążył za nią.

- Twój ukochany był tutaj, mam rację? - spytał. - Wydawało mi się, że widziałem go, jak szedł tą ścieżką.

Dinah nalała soku.

- Skończę w samotności - westchnęła.
- W twoim wieku nie możesz używać słowa „skończę”.
- Tak, ale wiesz, jak ludzie mówią - „Z upływem lat zarobki stają się coraz szczuplejsze, w przeciwieństwie do ludzi”.

Dinah usiadła i położyła głowę na stole.

- Kto to powiedział?
- Moja przyjaciółka Connie.

Podniosła głowę i spojrzała na niego prawie błagalnie.

- On mówi, że mnie kocha, ale...

Roy nachylił się do niej. Powiedział z przejęciem:

- Nie ma znaczenia to, że on cię kocha. Ważne jest jak on cię traktuje. Mężowie, którzy zabijają swoje żony, też je kochają. Rodzice, którzy biją swoje dzieci - również. Miłość jest sprawą drugorzędną. Ważne jest to, jak ktoś cię traktuje.

Dinah z rozpaczą pokiwała głową.

- Tak - powiedziała. - Mój ojciec mnie kochał, ale nigdy go nie widywałam. Równie dobrze mógł mnie wcale nie kochać. Zdaje się, że myślę miłość z nieobecnością. Ona jest idealna. Mogę poważnie się z kimś związać, a tego kogoś wcale nie będzie. Kiedy nic zaczyna wystarczać - wszystko, co wychodzi poza to, zaczyna budzić niepokój. Rudy, na pewnym poziomie, jest tak samo przywiązany do mnie, jak ja do niego. Tyle, że on jest jeszcze bardziej przywiązany do swojego wyobrażenia, jak on powinien być traktowany, a ja - rzecz jasna - wcale się nad tym nie zastanawiam - westchnęła i pokręciła głowę ze smutkiem. - Wciąż jednak nie mogę zrozumieć, jak on mógł tak ze mną postąpić.

- Prawdopodobnie dlatego, że mu na to pozwoliłaś - powiedział Roy. - Nawet gdybyś rozumiała, dlaczego zachował się tak, a nie inaczej - co by ci to dało? Gdyby cię zabił - czy robiłoby to różnicę, z jakiego powodu? Jakby ze względu na jakieś braki w twojej osobie mogłoby to być usprawiedliwione. A czy krzywdzenie kogoś może być w ogóle usprawiedliwione? Czy kiedykolwiek istnieje uzasadniony powód? Gdyby powodem tego był jakiś jego wewnętrzny konflikt, od ciebie niezależny - wtedy można uznać to za powód, ale nie za powód uzasadniony.

- Mój ojciec mówi, że powinnam znaleźć sobie kogoś kierując się raczej rozsądkiem niż sercem, ponieważ moje życie emocjonalne jest zupełnie pogmatwane.

Roy pokręcił głową.

- Nie, to ryzykowne. Co zrobisz, jeśli będziesz musiała czekać całe lata, by się przekonać, że to jest właściwa osoba?

- A czy ja sprawiam na tobie takie wrażenie? - spytała Dinah. - Poza tym, czy ty uważasz, że Rudy to moja największa miłość, czy może jakiś mało istotny romans?

- Najbardziej się obawiałem - kontynuował Roy poważnie - że gdybym ożenił się z rozsądku, to następnego dnia po ślubie prawdopodobnie odnalazłbym miłość mojego życia. To znaczy - wciąż musimy szukać.

- Ale kiedyś musisz przecież przestać.

- Wcale nie muszę. Nie wierzę w to. Przecież ludzie wygrywają na loterii.

- Trzy osoby wygrywają na loterii.

- Słuchaj, jeśli lubisz być bita, to powinnaś...

Dinah przerwała mu.

- Bardziej nie lubię być głodzona.

Oczy wypełniły jej się łzami i spuściła wzrok. Roy powiedział łagodnie:

- Tak jak mówi Steely Dan: „Każdy facet, który ma choć serca pół / Powie ci, przyjacielu mój / Że każdy mały świat, co wali się / Powstać na nowo ma”

Dinah wytarła oczy i oparła łokcie na stole, obiema rękami podpierając brodę. Patrzyła na Roya z ciekawością.

- Czy jesteś szczęśliwy?

Uśmiechnął się.

- Między innymi - tak. Jeśli chodzi o to uczucie - towarzyszy mi ono w każdej dowolnej chwili. Ty też będziesz jeszcze szczęśliwa. Nie musisz teraz w to wierzyć, ale to prawda.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo miłym człowiekiem.

- Pewnie - odparł. - Dokładnie takim, na jakiego ty nie lecisz.

- Cóż - powiedziała Dinah - może kiedy poczuję się lepiej, a ty nie będziesz trwał w dwóch związkach jednocześnie? - wzruszyła ramionami - to kto wie? - Uśmiechnęła się. - Kto wie, co będzie? Raczej „kto będzie”.

- Słucham?

- Nie, nic.
- Pozwól, że cię o coś zapytam - powiedział. - Jeśli spotykasz faceta na piątkę z minusem, któremu się nie podobasz, i takiego na czwórkę z plusem, któremu się podobasz - to którego wybierasz?
- Tego na piątkę z minusem. A ty?
- Ja? - wzruszył ramionami, i napił się soku. - Korzystam z czwórki z plusem, dopóki nie dostanę tej na piątkę z minusem.

scandalous

EPILOG

Rose z poważną miną stoi przy łóżku Blaine'a. Przez cienkie rurki sączy się do jego żył przezroczysty płyn. Na górze, w rogu pokoju stoi włączony telewizor którym bez dźwięku leci mecz koszykówki. Ulubiona drużyna Blaine'a przegrywa, ale jego oczy są zamknięte, jest nieświadomy zbliżającej się przegranej, nieświadomy nawet tego, że Rose stoi bezsilna przy jego łóżku i obserwuje, jak jego klatka piersiowa niczym delikatna fala unosi się i opada. Pielęgniarka mierzy mu puls i sprawdza przebieg zielonej linii na monitorze. Sprawia wrażenie osoby znudzonej, ale dobrze wykonującej swoją pracę. W tle słychać zwykłe szpitalne odgłosy.

- Jak on się czuje? - Rose pyta z wahaniem pielęgniarkę.

- Czy pani jest krewną chorego?

Rose prostuje lekko.

- Jestem jego żoną - mówi, napotykać niewzruszony wzrok pielęgniarki. - Jego była żoną - dodaje, jakby ją do tego siłą zmuszano.

Pielęgniarka patrzy na nią poważnie, jednocześnie wygładza swoją białą, wykrochmaloną spódnicę. Jednak coś w zachowaniu Rose sprawia, że staje się łagodniejsza:

- Jego stan jest krytyczny - informuje sucho. - Szczerze mówiąc, nie wiem, co tak długo trzyma go przy życiu.

Kiedy Rose odwraca od niej wzrok i kieruje go na błądą, śpiącą twarz Blaine'a, jej oczy wypełniają się łzami. Kosmyki jego jasnych włosów odstają lekko, nad pełną bólu twarzą rysuje się szlachetny

zarys czoła. Pielęgniarka znów patrzy na monitor i wychodzi z pokoju.

- Godziny odwiedzin kończą się za dziesięć minut, proszę pani - mówi i zostawia za sobą lekko uchylone drzwi.

Rose zaczyna płakać. Drżą jej ramiona, jej ciałem szarpia, urywane oddechy.

- Blaine - mówi cicho - Blaine.

Ostrożnie siada obok niego na łóżku. Złote, długie włosy ma przerzucone na jedną stronę. Szuka jego ręki, chwytając ją i całuje. Widząc na jego palcu obrączkę, zaczyna płakać jeszcze bardziej. Blaine porusza się, jego powieki unoszą się lekko, próbuje skupić się na tym, co dzieje się wokół. Po chwili odzyskuje świadomość i w jego oczach pojawia się niedowierzanie.

- Rose? - odzywa się zachrypniętym głosem. - Czy to ty, Rose?

Mówienie okazuje się być dla niego zbyt dużym wysiłkiem, zaczyna kaszleć. Przerazający, głęboki kaszel, wstrząsa nim jak śmiertelny spazm. Rose najpierw wygląda na zdziwioną. Po chwili jest wyraźnie zaniepokojona.

- Nic nie mów, przepraszam... myślałam, że...

Zaczyna znowu płakać, jej płacz miesza się z jego kaszlem. Pierwszy uspokaja się Blaine.

- Cieszę się, że przyszedłeś - mówi słabym głosem. - Tęskniłem... za tobą.

Rose kicha głośno, patrząc na przeraźliwie bladą dłoń Blaine'a, którą trzyma mocno w swojej dłoni. Jej gorące łzy spadają na nią.

- Pamiętasz, jak kiedyś zrobiłam dla ciebie deser? Coś z banana - i jak pokroiłam je na jednym z drewnianych blatów w kuchni? - przerywa na chwilę, żeby wytrzeć nos - A ty następnego dnia rano popatrzyłeś na mnie surowo i spytałeś: „Chyba nie kroiliś tutaj bananów?! Boże, tylko popatrz!” Na drewnie widać było wszystkie cięcia noża. Czuję się okropnie. Okropnie i głupio. Powiedziałeś: „Trzeba było użyć deski do krojenia”, a ja odparłam: „Nie możesz tego zetrzeć papierem ściernym albo czymś takim?” Roześmiałeś się ironicznie, a ja powiedziałam: „Przepraszam, myślałam, że skoro to też jest drewno, to deska jest niepotrzebna”, a ty odparłeś „To nie jest twoja mocna strona”.

Rose znowu zaczyna płakać. Blaine wygląda na zaskoczonego i zmęczonego.

- Odwiedziłaś mnie na łożu śmierci, żeby mi to powiedzieć?

Rose przysuwa się do niego, jedną ręką wyciąga chusteczkę a drugą wciąż trzyma dłoń Blaine'a. Wyciera głośno nos. Blaine odwraca wzrok.

- Przyszłam, by ci powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tych śladów na drewnie i że kiedyś nie domknęłam drzwi na taras. Przepraszam, że nam nie wyszło.

Blaine wzdycha i lekko pokasłuje. Na zewnątrz słychać odgłosy windy.

- Rose - odzywa się łagodnym głosem i z całej siły, jaka mu pozostała, ściska jej rękę.

Rose wyciera oczy.

- Rose?

- Przepraszam, myślałam, że miłość zdarza się bardzo rzadko i że trzeba o nią walczyć. Dla ciebie miłość to rzecz, którą się sprzedaje, kiedy jest już niepotrzebna.

Blaine zaczyna kaszleć. Wydaje się, że będzie to trwało bez końca. Już tylko śmierć pozwoli mu złapać oddech. Złapać i na zawsze zatrzymać w piersiach. Rose podnosi się w panice, podchodzi do wezgłowia łóżka i próbuje poklepać Blaine'a po plecach. Blaine rozpaczliwie kręci głową, żeby tego nie robiła.

- Nie możesz podnieść do góry rąk? Chcesz wody?

W odpowiedzi Blaine wciąż kręci głową. Rose stoi obok niego blada jak płótno, zaciskając dłonie.

- O Boże - szepcze - nie dość, że nie umiałam uczynić cię szczęśliwym, to jeszcze cię zabiję.

Blaine zaczyna kaszleć i śmiać się. Po chwili się uspokaja. Rose stoi obok niego z przeproszającą miną. Twarz Blaine'a jest spocona i śmiertelnie blada.

- Wiesz, czego najbardziej nie mogę się doczekać po śmierci? - mówi słabym głosem. - Tego, że nie będę musiał rozmawiać o tym, co łączy kobietę i mężczyznę.

Oczy Rose ponownie wypełniają się łzami, pochyla swoją jasną głowę.

- Nie umieraj, Blaine - prosi. - A jeśli umrzesz - wracaj do mnie. Robiłeś to przez całe życie — dlaczego miałybyś nagle przestać?

Blaine uśmiecha się lekko i zamyka oczy.

- Któregoś dnia spotkamy się na ośnieżonych polach naszego życia po życiu - odzywa się słabym głosem. - Ty i ja, i wiele innych par. Będziemy doprowadzać się do wściekłości przez całą wieczność - otwiera na chwilę oczy, patrzy na nią obojętnym wzrokiem i znów je zamyka. Słysząc cichą, smutną melodię. - Nie zapomnij o gorączce całowania - mówi półszepem.

Rose niezwykle ostrożnie siada obok niego i ponownie bierze go za rękę.

- Nie zapomnę - mówi, patrząc na niego tak intensywnie, jakby obraz jego twarzy chciała zatrzymać na zawsze.

- Cóż, może na to właśnie umieram - na gorączkę całowania.

- Całowania mnie - dodaje Rose.

Muzyka staje się coraz głośniejsza. Za chwilę będzie reklama.

- Nie umiałabyś się mnie pozbyć, nawet gdyby mnie już nie było - szepcze Blaine z zamkniętymi oczami. - Dlaczego myślisz, że uda ci się to właśnie teraz?

W drzwiach pojawia się kobieta - piękna, ciemnowłosa kobieta. Jest zaskoczona.

- Blaine? - mówi zdziwiona.

W jednym ręku trzyma dłoń małej dziewczynki, a w drugim - domowe ciasto. Rose odwraca głowę, odrzuca do tyłu włosy i patrzy na nią.

- Leslie - mówi.

Obie kobiety patrzą na siebie przez długą, pełną dramatyzmu chwilę, podczas której nie cichnie muzyka. Ujęcie wciąż trwa.

Cięcie - rozległ się głos Dinah z kabiny reżysera.

- Cięcie - powtórzył Nick, reżyser na planie.

Melisa i Josh, aktorzy grający Rose i Blaine'a, popatrzeli wyczekująco na Nicka, z którym przez słuchawki porozumiewała się Dinah.

- Dobrze - powiedział. - Powiem im.

Nick na plan.

- Panie twierdzą, że scena jest w porządku i że oboje jesteście wspaniali — uspokoił ich. - Przejdźmy może teraz do kuchni.

Dinah siedziała w kontrolce z Connie. Palily papierosy i wpatrywały się w pusty, wiszący nad ich głowami monitor. Mimo że Rudy

odszedł, miłość Dinah trwała dalej, świeciła jak małe światełko, którego promień spada na pustą scenę. Stała się skutkiem bez przyczyny. Dinah i jej zagubiona przyczyna. Trzepotała skrzydłami jak koliber, uwięziony w pudełku po butach. Nauczyła się akceptować sytuację, nie rozumiejąc jej i nie wierząc w nią. Zresztą, wierzyła, bo kiedy patrzyła przed siebie - jego nie było. I rozumiała, bo przecież mówiła po angielsku. Jednak ostatecznie - to w ogóle nie mogło się zdarzyć.

Nie zrezygnowała więc z samego skutku - wróciła do swojego świata zagubionych przyczyn, mając nadzieję, że znajdzie tam taką, którą będzie można dopasować do tego skutku. Nosiła przy sobie miłość do Rudy'ego jak nigdy nie otwary, zniszczony list.

Connie nachyliła się do niej i klepnęła ją lekko po plecach.

- Chcesz zamówić chińskie jedzenie?

Dinah zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

- Pewnie - odparła, wypuszczając z ust obłoczek dymu. - Coś z sosem o smaku masła orzechowego, niskokalorycznego. Takie jedzenie na niby.

Connie podniosła się i podeszła do stojącego na stole przy drzwiach telefonu. Wykręciła numer restauracji. Podała zamówienie:

- Sałatka z kurczaka dla dwóch osób i cztery podwójne porcje kurczaka po chińsku. Do tego dwie dietetyczne cole i ciasteczka szczęścia. Tak. Świetnie. Sorkin i Kaufman. Drugie piętro, NBC - tak, doskonale, pan pamięta. Nie ma sprawy, dziękuję.

Connie odłożyła słuchawkę i spojrzała na Dinah ze zbolaną miną.

- Masz aspirynę? - spytała.

Pojękując cicho wróciła na miejsce. Usiadła obok Dinah, krzesło zaskrzypiało głośno. Dinah sięgnęła po torebkę.

- Wątpię - odparła, przewracając jej zawartość. - Zresztą, mam skłonność do wątpienia we wszystko.

Connie położyła ręce na pulpicie i oparła na nich głowę.

- Mam okres - jęknęła. - Przesiąkła mi największa podpaska i...

Dinah podała jej opakowanie tabletek przeciwbólowych.

- Connie, proszę cię, nie chcę słuchać opisów twojej miesiączki.

Connie wzięła tabletkę z wdzięcznością i połknęła ją bez popicia.

- Dinah, Roy Delaney na drugiej linii do ciebie - rozległ się męski głos.

Wymieniły między sobą znaczące spojrzenia. Dinah podeszła do telefonu, wcisnęła świecący guzik i podniosła słuchawkę.

- To ja we własnej osobie. Żyję, oddycham i produkuję seriale - powiedziała z uśmiechem. - Zdaje się, że to gdzieś zagubiony Roy Delaney.

- Zagubiony - to może i się zgadza - zapewnił ją Roy swoim chłopcym głosem - ale nie wiem, kiedy to się stało. Z kim przed chwilą rozmawiałaś? Myślę, że jestem przeciętnikiem. Jeśli przagniesz mężczyzny... pełnego zalet, to może...

Dinah przerwała mu.

- Mężczyzna z olbrzymim penisem nigdy nie był obiektem moich marzeń - powiedziała dobitnie. - Równie dobrze może świetnie grać w bilard. A poza tym, duży penis i umiejętność gry w bilard nawet nie mieszczą się na liście tego, czego szukam w mężczyźnie. Tacy faceci należą raczej do kategorii „Ci, których należy unikać, gdy szukasz odpowiedniego partnera”.

- Co słyszać? - przerwał jej z zapalem w głosie - Mówisz tak... podobnie.

Dinah zaśmiała się i spojrzała najpierw na Connie, a potem gdzieś w bok.

- To chyba niezbyt dobrze - powiedziała niemal nieśmiało. - Tamte czasy... to nie był dla mnie zbyt pomyślny okres.

Krótką pauza.

- Rozmawiałaś z Rudym?

- Nie rozmawiałam z nim od dziewięciu miesięcy - odparła. - Dzwonił kilka razy, ale... przerwała.

- To wspaniale, że dostał tę nagrodę...

- No - powiedziała, błędząc gdzieś myślami. — Za sztukę o końcu świata.

Dinah zdjęła z rękawa niewidzialną nitkę.

- Wciąż jest z Lindsay?

- Nie - odparła z satysfakcją. - Słyszałam od jego siostry, że to już skończone. Lindsay wróciła do swojej pracy. Ale słyszałam też, że Rudy jest teraz z kimś innym. Z kobietą, która poważnie zajmuje się swoją karierą i nie mieszka w Nowym Jorku. To tyle, jeśli chodzi

o zastrzeżenia, jakie miał wobec mnie. Czy ty wciąż jesteś... z obiema paniami?

Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się nim głęboko, czekając na jego odpowiedź.

- No... nie... - powiedział poważnie. - Pomyślałem, że skoro w zasadzie jestem wolny i ty również, może moglibyśmy... Mógłbym traktować cię w taki sposób, jaki ci odpowiada. Moglibyśmy się umówić... A później... Czy ty nie jesteś dziewczyną, którą podnieca rozczarowanie?

Dinah roześmiała się.

- Co ty tu w ogóle robisz?

- Kręcą mój film, więc od czasu do czasu nawiedzam plan.

- Rozumiem - odparła. - Pisarz-duch.

- Dokładnie. Wiec?

- Cóż - odparła Dinah. - Myślę, że wystarczająco długo dzieliła nas taka odległość.

- To część mojej strategii uwodzenia cię - powiedział. - Kazać ci czekać.

- A ja się zastanawiałam, co takiego właściwie zrobiłam.

- Teraz już wiesz.

- Wydaje się, jakbym ponad połowę mojego życia spędziła czekając na jakiegoś faceta. A teraz się okazuje, że robię to nawet wtedy, gdy nie zdaję sobie z tego sprawy.

- To tak jak w tej reklamie o czyszczeniu piekarnika - odparł Roy.

- Cóż - powiedziała Dinah, zgasiła papierosa i przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. - Chyba każdemu z nas udało się w końcu jakoś ułożyć życie.

- Co za ulga, no nie?

- A to - kto powiedział?

- Czy to ważne?

- Chyba nie.

- Przyjadę po ciebie o ósmej.

- Masz na myśli o dziesiątej.

- To już należy do mnie. Musisz się tylko odpowiednio przygotować.

- To doprawdy nadzwyczajne.

- Nie masz o tym pojęcia nawet w połowie.

- Nie, nie - zapewniła go z ironią. - Ja to znam właśnie w połowie. Lepiej niż ktokolwiek inny. Znam to na pamięć.

- Wiesz, jak się mówi - zaczął Roy.
- Jak?
- Powiem ci później. - Jedno mogę ci obiecać - rozczarujesz się.
- Kotku, ty wiesz, co ja lubię.
- Nie mam zamiaru nawet cię dotknąć - powiedziała śpiewnym głosem i odłożył słuchawkę.

Dinah zrobiła to samo i spojrzała na Connie.

- On nie wie, gdzie mieszkam - powiedziała zdumiona.

Connie pokręciła głową, otoczona chmurą dymu. Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich posłaniec z restauracji z dwoma torbami pikantnej chińszczyzny. Przez otwarte drzwi, gdzieś z daleka, słychać było piosenkę...

Miłość przynosi cierpienie i ból.
 Wiem, że nigdy nie będę już taki sam,
 bo zakochałem się w tobie.
 To jest smutne i złe,
 ale wciąż cię kocham.
 Kochasz, a potem odchodzisz,
 Co więc mam robić?
 I tak wciąż cię kocham.
 Pewnie nigdy już nie ujrzę światła,
 prawie w każdą noc,
 przychodzi smutek.
 Bo zakochałem się w tobie,
 bo zakochałem się w tobie?

Connie i Dinah przełożyły jedzenie na talerze, znad których unosiła się zachęcająco gorąca para. Dinah otworzyła wyjęte z lodówki piwo, które miało służyć jako ewentualna konkurencja dla jej dietetycznej coli. Connie łapczywie zlizwała z palców sos.

- Czy świat robi się mniejszy, czy to ja robię się coraz grubsza? - zamyśliła się. - Zastanów się nad tym, co mi teraz odpowiesz.

Dinah napiła się piwa i popatrzyła na nią.

- Kiedyś miałam deja vu... - powiedziała, grzbietem dłoni wycierając usta.

- Dobra odpowiedź - odparła Connie z pochwałą w głosie, wgrzyzając się w swojego kurczaka. - Wymijająca, ale dobra-mówiła dalej z pełnymi ustami.

Zadzwonił telefon. Ich spojrzenia spotkały się, po czym każda popatrzyła z zawstydzeniem w inną stronę. Dinah podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

- To ja - odezwał się w niej głos. - Chcesz jeszcze deser?

- Tak - odparła ze wzrokiem, wbitym w podłogę, zwrócona tyłem do Connie. - Świetnie - dodała i odłożyła słuchawkę. - Tylko mi obiecaj, Connie, że nie będziesz się ze mnie śmiała.

- Śmiała, z ciebie? Dinah, każda kobieta powinna mieć romans z młodszym od siebie facetem, zanim będzie od niego zbyt dużo starsza. On jest Wspaniały, poza tym ma do ciebie słabość i jest chyba w twoim typie. Czego można jeszcze chcieć, nie płacąc za to zbyt wygórowanej ceny?

- Ale on mnie traktuje jak jakąś przygodę. Nie znoszę tego.

- Słuchaj, przecież to nie jest tak, jakbyś musiała mu kupować pierwsze kalesony i pomagać w lekcjach. Między wami jest tylko pięć lat różnicy, tak?

- Ale do czego taka znajomość może prowadzić?

- Dinah, po prostu baw się dobrze. To może zakończyć się kłeską, ale póki co może dać trochę przyjemności.

Dinah dokończyła piwo, wyprostowała się przed Connie jak przystało na dobrego żołnierza i zasalutowała.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedziała i z gracją wymaszerowała z kontrolki.

Dinah przyłapała się na tym, że kupuje wytworną bieliznę, jakby szykowała dla siebie jakiś wymagany posąg. Zwiewne, przezroczyste koszule nocne, gorsety, podwiązki i czarne pończochy. Próbowwała zdobyć fortecę kobiecości i miała nadzieję, że jej się to uda. Cóż, jeśli miała być kobietą niezależną, kobietą pozbawioną kobiecości, kobietą robiącą karierę, to również mogła być trochę tajemniczą niewolnicą czyjś wyobrażenia o miłości.

Zadowolenie, którego nigdy dotąd nie doznała w żadnym ze swoich związków, teraz zaświeciło w jej oczach. Z całej jej postaci - z rąk, z ust przenikała jej prawdziwa osobowość. To było obietnicą. Jakby chciała powiedzieć - chodź, ogrzej się przy moim ogniu. To

było tak, jakby jej dawno temu zagubione przyczyny wysyłały list miłosny do nieoczekiwanej odnalezionego skutku.

Na jej plecach leżała jego płaska, ciepła dłoń - ale to przecież nie dłoń Rudy'ego. Ta ręka była nowa. Ona nie mogła należeć do Rudy'ego. Siła tamtego polegała na tym, że umiał zasiewać ziarno niepewności. A ten mężczyzna się nie waha. On podnosi zasłonę pewności. Jego oczy są bardziej niebieskie, a dotyk - lżejszy i bardziej spłoszony, ukradkowy, niepewny. Każe jej zgadywać, a ona jest w tym dobra. Rudy, który kochając ją musiał odchodzić, który razem z nią tworzył iluzję, na którym mściła się jego własna osobowość, przestał jej być potrzebny. Odszedł.

Jego miejsce zajął Josh. Była z nim w jego garderobie. Grał w serialu rolę Blaine'a MacDonalda, którego Dinah stworzyła na wzór i podobieństwo Rudy'ego. Dinah była ubrana w sukienkę, której Josh nie znosił, zaś Josh miał na sobie jedynie szorty i szpitalną bransoletkę identyfikacyjną jeszcze z planu filmowego. Byli jak uciekinierzy z dobrze poinformowanego świata.

Josh był zaskoczony - nie był przyzwyczajony do takich sytuacji, ona za to czuła się w swoim żywiole. Potargała mu delikatnie włosy.

- Co się stało? Gwiazda popularnego serialu czuje się nieswojo? Odsunął jej rękę, zmieszany i zażenowany.

- Czy ty nigdy nie zmieniasz zdania na swój temat? - spytał. - To znaczy, nie próbujesz go nigdy jakoś modyfikować?

Dinah poruszyła się i popatrzyła w sufit, jakby tam chciała znaleźć odpowiedź.

- Chyba tak - powiedziała w końcu. - A ty?

- Ja też - odparł. - I to mnie właśnie przeraża. Bardziej boję się o ciebie niż o siebie. Co cię powstrzymuje przed... - przerwał i wydał usta.

Dinah przycisnęła go mocniej do siebie.

- Co mnie powstrzymuje przed czym?

Josh wzruszył ramionami.

- Przed wszystkim - powrotem do Rudy'ego, wszystko jedno. To wszystko stało się tak niedawno.

Dinah przerwała mu.

- A co ciebie powstrzymuje przed spotykaniem się z kimś w twoim wieku?

- Ty - odparł.

Uśmiechnęła się.

- No to w porządku. Wiemy już, na czym stoimy.

Pocałowali się. Te słodkie objęcia w kształcie litery X, twarz blisko twarzy. Ten dojrzały, ciemny owoc brzoskwini. Podczas pocałunku Dinah zastanawiała się, czy Roy zadzwoni do niej jeszcze, przyjedzie po nią do domu, znowu pojawi się w jej życiu, może w pewnych sprawach... posunie się trochę dalej? Czyjej umysł pozwoliłby mu posunąć się dalej?

Oddychała prosto w jasne włosy Josha.

- Oto, co ja lubię - wyszeptwała.

Uśmiechnął się z twarzą tuż przy jej szyi.

- Nie wolno dotykać naprawdę ważnych części ciała, dopóki nie jest to absolutnie konieczne. Dawaj mi tak mało do chwili, kiedy jest już prawie za późno. Jestem twoją bestią, twoim małym Frankensem.

Josh wyczuł palcami, że dotyka górnej części jej uda.

- Czekanie mnie rozgrzewa - ciągnęła dalej uwodzicielsko.

- Jeśli mniej znaczy dla ciebie więcej, to zapewniam cię, że będzie trwało bez końca.

Dinah uśmiechnęła się, zamknęła oczy i odwróciła się do niego. Leżeli obok siebie na kanapie.

- Właśnie to lubię - wyszeptwała. -A raczej nie „to”, tylko „tego kogoś”.

To nie była miłość. Raczej wzajemne emocjonalne zobowiązanie. Może to lata odtwarzania postaci Rudy'ego sprawiły, że Josh zdawał się idealnie pasować do tej roli. A może po prostu był do niej stworzony. Ale bez względu na powód - on był teraz jej chłopcem, jej najnowszym narzeczonym.

Josh dotknął ręką jej pleców, dwa palce jego prawej dłoni wyczuły pod bawełnianą bluzą linię jej kręgosłupa.

- Nie znoszę myśli, że ty wiesz, że cię lubię - przyznał z rozpaczą.

- Dlaczego? - spytała, całując go w brodę.

Przytuliła się do niego mocniej i jak zwykle poczuła się jak podglądacz.

- Ponieważ... - zaczął. - Nie wiem. Zwykle nie przyznaję się kobietom, że je lubię. Ale z tobą... - w jednej chwili robi się za późno, żeby cokolwiek przed tobą ukryć.

Poruszył się. Dinah uniosła się nieco i popatrzyła na niego. Josh, unikając jej wzroku, powiedział:

- Czuję się, jakbym musiał przejść na drugi koniec pokoju, żeby się przed tobą obronić.

- Dlaczego ty, a nie ja? - zapytała. - Dlaczego to nie ja powinnam iść na drugi koniec pokoju i sama się bronić?

Josh popatrzył na nią.

- Bo ty możesz robić to z tej pozycji - wyjaśnił jej, kładąc palec wskazujący na jej dolnej wardze. - Ty możesz być jednocześnie i tu, i tam.

Jej wzrok złagodniał, uśmiechnęła się ciepło.

- Jesteś taki... - zamyślona przeczesła rękę jego włosy. - Jesteś taki... miły.

-. Mmmm - wyszeptał. - Hmmm?

Pokręcił wolno głową.

- Co?

- Nic - odparł.

- No co?

- No nic.

Przyciągnął ją bliżej i otoczył ramionami.

- Bałem się, że mogłabyś powiedzieć coś takiego.

- Co?

- Nieważne.

- Jak myślisz, dlaczego to robię? - zadała mu pytanie retoryczne.

Josh zawahał się przez chwilę, po czym powiedział stanowczo:

- Przeprowadzasz badania.

Dinah odsunęła gwałtownie głowę. Roześmiała się, zmieszana i zdenerwowana.

- To właśnie ja - powiedziała, czerwieniąc się. - Zwierzątko doświadczalne przeznaczone do wielkiego eksperymentu „Co to znaczy być romantyczną istotą”.

Przy Joshu czuła się, jakby odroczone jej egzekucję, darowano życie. Ta znajomość była bardziej przystanią niż ulem. Kiedy jej umysł usiłował zrobić coś niewłaściwego, potrafiła go powstrzymać.

Być może Josh tak długo udawał, że jest jej wersją Rudy'ego, że w końcu stał się nim naprawdę. Ta sama przystojna, obojętna twarz, nieobecny sposób bycia, charakterystyczna tajemniczość. Zamieniła jeden rodzaj obojętności na drugi i ta zamiana okazała się skutecznym lekarstwem.

Josh sięgnął ręką za jej głowę i wyłączył światło. Zaczął całować ją zapamiętane, ściągnął jej bluzkę przez głowę i rzucił na podłogę.

Dinah w oczekiwaniu wstrzymała oddech. W jego uścisku było coś niezwykle emocjonalnego. Jakby kochali się w schronie przeciwnym, a nad ich głowami przelatywały samoloty nieprzyjaciela. Delikatnie, namiętnie, jakby każdy kolejny raz miał być ostatni. Kiedy było już po wszystkim, nigdy nie mogła sobie do końca przypomnieć, jak Josh wyglądał. Tworzył z nią całość - pełną miłości i delikatności. Oddychał razem z nią w ciemności. Niebezpieczeństwo minęło, nalot się skończył.

- Ile jeszcze będę musiała wytrzymać? - spytała z trudem łapiąc oddech.

Josh skrzywił się, przesunął dłoń w górę po jej spódnicy, przezornie coraz bliżej jej najczulszych miejsc.

- Jeszcze trochę - powiedział. - Tak jak lubisz.

Dinah gwałtownie nabrała powietrza i przyłożyła rękę do czoła.

- Zdobycie mojego telefonu nie zabrało ci zbyt dużo czasu - powiedziała z uśmiechem, głowę miała lekko przechyloną, oczy zamknięte.

- Zgadza się - odparł również z uśmiechem, całując jej szyję, dotykając niemalże jej ucha.

- Gdybyś teraz zdobył kolejne sześć cyfr, mógłbyś do mnie zadzwonić - powiedziała. - Moglibyśmy uprawiać seks przez telefon. Ale do tego czasu...

Josh przerwał jej krótkim, namiętnym pocałunkiem.

- Na razie będziemy musieli zrobić to osobiście.

Poczynając od jej piersi, zaczął przesuwać swoje usta w dół. Dinah w sprzecznie odchyliła się do tyłu.

- Co to znaczy „osobiście”? - spytała rozmarzona.

Josh przerwał, zatrzymując się w okolicach jej piersi.

- To znaczy, że się w tym zatapiasz - powiedział, zanim powrócił do całowania.

Wziął jej sutek do ust, słychać było, jak oddycha. Prawdziwy znawca.

Dinah wyczekująco przechyliła głowę. Jedną rękę zarzuciła za głowę, a tę, którą trzymała na czole, zbliżyła do ust i ugryzła palec.

Dotyk jak ćma leciał w stronę jej ognia. Dinah westchnęła, drugą rękę oparła na jego głowie. Ogrzewała się ciepłem słów „Chcę z tobą być”. Ten mężczyzna chce z nią być. I jak dotąd, ona nie widzi w tym nic złego. Za drzwiami, w korytarzu usłyszała męski, zniekształcony głos - wzywano kogoś. Josh był coraz niżej. Dinah otworzyła na chwilę oczy, po czym ponownie je zamknęła. Znaleźć kogoś i sprawić, żeby się udało.

- Jedność - wyszeptwała nad jego jasną głową, taką jak głowa Lindsay.

Jego usta delikatnie przesuwają się wzdłuż jej boku. Dinah zdrzała, jej umysł zaczął błędzić bez celu po drodze usłanej marzeniami.

Co się działo? Jaki to był mężczyzna? A może nie można ich odróżnić? Roy? Nie. Rudy? Hmmm.

Jechała z Rudym samochodem, on prowadził. Dzień był piękny, przez gałęzie drzew prześwitywało słońce. Pędzili drogą przez wzgórze; Dinah trzymała dłoń na jego dłoni. Na kciukach nie było plastrów opatrunkowych, a na palcu miała złotą obrączkę. Kiedy zatrzymali się przy wjeździe na autostradę, niebo pociemniało. Gdzieś niżej huczała rzeka. Dinah odliczyła trzydzieści pięć dolarów i pięćdziesiąt centów i wręczyła je siedzącemu w budce swojemu ojcu. To, że tam był, wcale jej nie zdziwiło. Zauważyła tylko, że budka znajdowała się nie tam, gdzie powinna - nie po stronie kierowcy, ale po stronie pasażera. Nie po lewej stronie, ale po prawej. Kiedy samochód wolno przejeżdżał przez most, Rudy wysunął swoją rękę spod jej dłoni. Dinah popatrzyła na płynącą pod mostem rzekę.

Przejechali na drugą stronę i wjechali w ciemny las. Nagle samochód wymknął się spod kontroli, kierując się prosto na drzewa. Dinah spojrzała w bok - Rudy'ego nie było, miejsce kierowcy było puste. Złapała kierownicę, omijając drzewo, i przesiadła się na siedzenie kierowcy. Zastanawiała się, gdzie się podział Rudy i jak

znajdzie z powrotem główną drogę. Jechała wyboistą ścieżką przez ciemny las, zdążyła już się zgubić. Na polanie rośnię wysokie drzewo. Kiedy "podjechała bliżej, zobaczyła, że pod nim stoi mężczyzna. Murzyn. Zatrzymała się przy nim, a on wsiadł do jej samochodu. Powiedział, że nazywa się Szekspir i że czekał tam na nią bardzo długo. Gotów był czekać całą wieczność. Pokazał jej, jak dojechać do głównej drogi. Niebo było jaśniejsze, a ona poczuła powiew nieskończoności. Dinah i Szekspir, patrząc prosto przed siebie, jechali prosto w stronę horyzontu. Czerwone słońce wisiało nisko nad ziemią. Na nim wypisane były słowa „Pragnienie serca”.

Związek Dinah i Rudy'ego trwał nadal, choć już bez ich udziału. Jak statek, który odpłynął lub z którego wyskoczyli wszyscy pasażerowie. Jak autobus, który bez przerwy zmienia kierunek jazdy - jedzie wciąż dalej i dalej przed siebie, wzniesając tumany kurzu, zmierzając prosto w słońce. Ten kurz osiadał na ich kolejnych partnerach, wyciskając z oczu Dinah łzy, a Rudy'ego zmuszając do kichania.

Zrezygnowali ze spotkań, których dawniej tak chciwie pragnęli. Jednak, o dziwo, nic, która ich łączyła, nie została zerwana do końca. Istniała gdzieś tam, poza nimi, stanowiąc odległy, choć niezaprzeczalny fakt. Ich wysepka na morzu miłości nie została zatopiona. Trzeba tylko zmienić mapy i wykresy i będzie można dalej sterować statkiem, kierując się tą samą gwiazdą - po wodach skażonych przeszłością, które nie przestają omywać ci pleców.

Z dala od domu, to, co łączyło Dinah i Rudy'ego - bez względu na to, jak bardzo było zniszczone - teraz zmieniło się i przybrało nowy kształt. I choć kiedyś służyło z gwałtowności i uniesień, teraz było podrapanym, zgarbionym, bezzębny, ledwo zauważalnym widmem chwały swoich dawnych dni.

Ponieważ, mimo wszystko, nic tak naprawdę się nie kończy. Zatrzymuje się tylko w miejscu.